

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Nie wszystkich migrantów wpuścimy
- Mały kraj szykuje się na wojnę
- Artyści przepraszają Putina
- Aktywiści atakują muzea



WYSOKIE OBCASY
Barbara Nowacka
Nie byłam prymuską

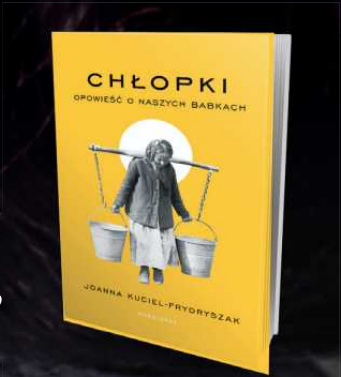


GAZETA
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

JOANNA
KUCIEL-
-FRYDRYSZAK

Ze wsi? Wstyd

O NASZYCH BABCIACH, DZIADKACH, RODZICACH
I O NAS OPOWIADA AUTORKA SŁYNNYCH „CHŁOPEK”



FOT. LUKASZ GIZA

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Szli od domu do domu z maczetami
Ludobójstwo w Rwandzie



Szukamy Białej Wieży
Są dwie puszcze, dwa narody, dwa białowieskie światy

Mogłem zastrzelić
komendanta KL Plaszow

Agnieszka
Kublik

Co Duda wie o nastolatkach i seksie

Prezydent zawetował ustawę dotyczącą pigułki „dzień po”. Zaczniemy od faktów i mitów. Ta pigułka opóźnia owulację. Nie wywołuje poronienia, nie przerywa istniejącej ciąży, nie wpływa na przyszłą płodność. To antykoncepcja awaryjna, rekomendowana przez WHO, dostępna niemal w całej Europie (poza Węgrami, Turcją i Serbią – tu na receptę). Nazywana też ratunkową, bo tabletkę „dzień po” stosuje się np. wtedy, gdy zawiodły zastosowane metody antykoncepcji.

Rząd chciał, by dla dziewczyn po 15. roku życia była dostępna bez recepty.

Ale Duda „wsluchując się w szczególności w głos rodziców, nie mógł zaakceptować rozwiązań prawnych umożliwiających dostęp dzieci poniżej osiemnastego roku życia (...) bez kontroli lekarza oraz z pominięciem roli i odpowiedzialności rodziców”.

Rodziców? Dominika Wantuch, sprawdziła, o co chodzi. Otóż do prezydenta wpłynęła petycja Fundacji Grupa Proelio „Nie dla sprzedaży pigulek »dzień po« 15-latkom bez recepty”. Założycielami fundacji są Magdalena Korzekwa-Kaliszuk, działaczka anti-choice, która domagała się odpowiedzialności karnej dla kobiet dokonujących aborcji, oraz jej mąż Zbigniew Kaliszuk, działacz katolicki.

Nastolatka w ciąży? Czyja to wina? Może dorosłych? Tych, którzy nie poświęcili jej tyle uwagi, ile trzeba, by była świadoma swojego ciała i konsekwencji tego, co z nim robi?

Duda zatem podjął decyzję dotyczącą wszystkich – wierzących i niewierzących – na podstawie grupy działaczy, przeciwników aborcji, antykoncepcji i edukacji seksualnej.

Ciężko to wszystko zrozumieć. Czy ciąża u 16-latki może być chciana? Przez nią? Jej chłopaka? Jej rodziców? Jego rodziców?

Lęk rodziców, że nastolatki będą łykały te tabletki, jak regularną antykoncepcję, oznacza, że przyjmują założenie, że ich nastoletnie dzieci bardzo często uprawiają seks. Ale jeżeli tak jest, to tym bardziej powinno im zależeć, by tych nieplanowanych ciąży nie było.

I dlaczego w ogóle mogłoby do nich dojść? A może trzeba się zastanowić, dlaczego nastolatka może być w ciąży? Czyja to wina? Może dorosłych? Może tych, którzy nie poświęcili jej tyle uwagi, ile wymaga, by była świadoma swojego ciała i konsekwencji, tego, co z nim robi?

Czyż to nie jest odpowiedzialność właśnie dorosłych? Tych, którzy są przeciwko antykoncepcji, aborcji i edukacji seksualnej?

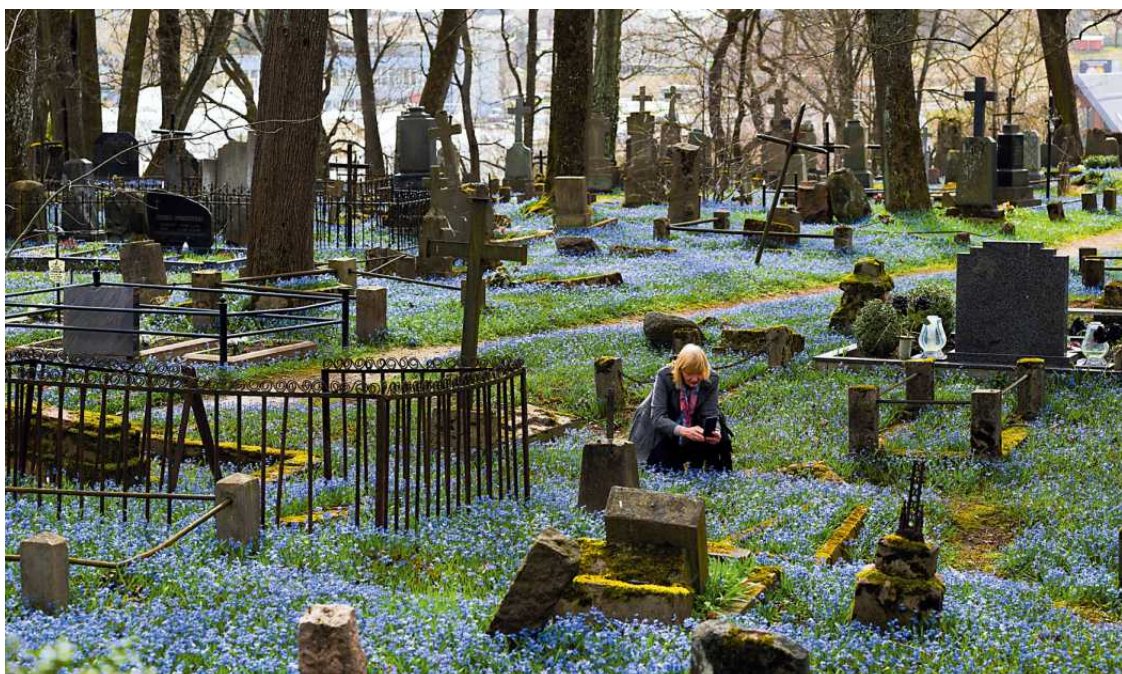
Duda w kampanii wyborczej obiecywał, że edukacji seksualnej w szkole nie będzie (mówiąc błędnie o „seksualizacji”: „Chcę nadal chronić i wspierać rodzinę. Ja się absolutnie nie godzę i nie zgodzę na żadne eksperymenty na naszych dzieciach, na ich seksualizację”).

Nie da się być przeciwko edukacji seksualnej, antykoncepcji, aborcji i pigułce „dzień po” i „wspierać rodzinę”.

Duda rodziny nie wspiera, on ją pozbawia wiedzy i możliwości. Czyli odbiera jej bardzo wiele. ●

Wilno

Wiosna jest ciemnoniebieska



Akurat na Wielkanoc zakwitła cebulica syberyjska na cmentarzu Bernardyńskim. Dla Litwinów pola błękitnych kwiatów pokrywające jedną z najstarszych wileńskich nekropolii są tym, czym dla nas krokusy w Dolinie Chocholowskiej – co roku depeszują o nich media, a zastępy turystów i miejscowych rywalizują, kto cyknie najbardziej czarowny kadr na Instagrama.

FOT. PAP/VALDEMAR DOVE/IKO

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata
czytaj teraz na

wyborcza.pl

UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU i bądź na bieżąco przez cały weekend *

XM6T32D

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 6-7.04.2024 r.

Jane Goodall

Szympanś też człowiek

Najsłynniejsza prymatolożka świata, edukatorka, pisarka, skończyła 90 lat. Ale nie ustaje w pracy na rzecz klimatu i podróżuje po świecie, spotykając się z dziećmi, które przyłączyły się do jej organizacji Roots&Shoots, obecnej w ponad stu krajach.

Urodziła się w 1934 r. w Londynie. W czasie wojny z siostrą i matką przeniosła się na południe Anglii, do domu z ogrodem. – Jak ja kochałam ten ogród! – opowiadała „Wysokim Obcasom”. – Urządzałyśmy z siostrą wyścigi ślimaków, obserwowałyśmy rośliny i owady.

Jane lubiła czytać, a mama podsycała tę pasję. Gdy miała 10 lat, kupiła jej „Tarzana i małpy”. – Wtedy postanowiłam: dorosnę, pojadę do Afryki, będę żyła pomiędzy dzikimi zwierzętami i pisała książki.

Gdy miała 23 lata, wybrała się do koleżanki, której rodzina przeniosła się do Kenii. W Afryce poznała słynnego paleontologa Louisa Leakeya. To on wymyślił, żeby zaczęła ob-



FOT. REUTERS/DENIS BALIBOUSE

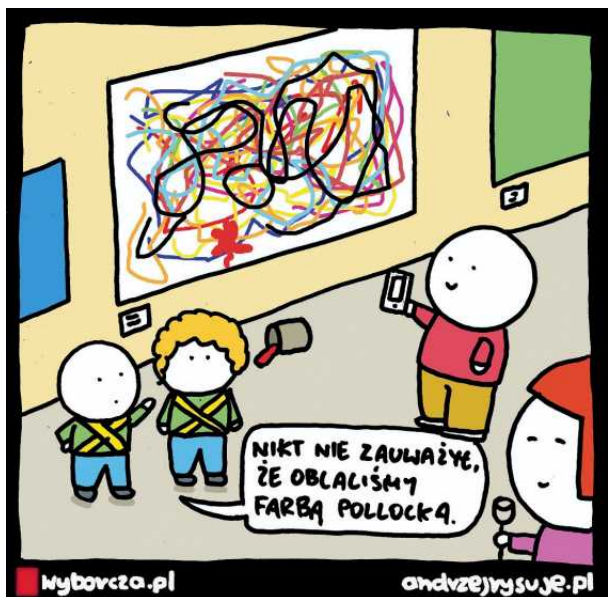
serwować szympansy w tanzańskim Gombe. I zaobserwowała – że używają narzędzi, np. patyka, by wyłowić termity z kopca. Do tej pory uważano, że tylko człowiek używa narzędzi. Stała się sławna.

Los szympanśów stał się jej misją. Rozmawiając, jak polepszyć ich warunki życia, dowiedziała się, w jakim ubóstwie żyją lokalne społeczności, więc zajęła się również losem ludzi.

Jest adwokatką nadziei. Choć bywa przygnębiona, to otrzępuje się i wraca do pracy. Wierzy, że nie jest za późno, by zatrzymać zmiany klimatu.

Wszystkiego najlepszego, dr Goodall! ● **Paulina Reiter**
• **Urodzinowa rozmowa z Jane Goodall** ► **Wysokieobcasy.pl**

Andrzej rysuje



Cytat tygodnia

*To nie nasz koniec,
to punkt zwrotny*



PREZYDENT TURCJI RECEP TAYYIP ERDOGAN
o porażce AKP w wyborach lokalnych. Jego rządząca od przeszło dwudziestu lat konserwatywno-narodowo-religijna partia przegrała w pięciu największych miastach

Wraca handel, czyli życie



SKLEPÓW otwiera w Ukrainie Zara. Czyli m.in. Pull&Bear, Bershka, Stradivarius, Oysho – to tylko niektóre spośród marek hiszpańskiego giganta odzieżowego. To na początek – na ponowne otwarcie muszą jeszcze chwilę poczekać 34 sklepy na najbardziej narażonym na rosyjskie ataki południu i wschodzie kraju. To już trzeci symboliczny powrót globalnej marki – chwilę wcześniej pojawiły się H&M i McDonald's

FOT. REUTERS/IGLEB GARANICH

80 proc. Ukraińców wierzy w UE i NATO

Putin trochę przestrzelił

150 tysięcy nowych rosyjskich poborowych niewiele zdziała

Czech

Wreszcie kończy się bardzo trudny czas dla Ukraińców. Przewodniczący Izby Reprezentantów Mike Johnson zapowiedział, że w przyszłym tygodniu przyspieszą prace nad ustawą o pomocy dla Ukrainy oraz Izraela, Tajwanu i Strefy Gazy. Nie wiadomo, jaki będzie jej ostateczny kształt, bo w lutym Senat przegłosował wariant z 61 mld dolarów dla Ukrainy (46 mld na potrzeby armii) w formie bezzwrotnej pomocy.

Johnson uważa, że suma powinna być mniejsza (bez wsparcia dla ukraińskiego budżetu), wydzielona jako kredyt, ma też umożliwić wykorzystanie środków z zamrożonych kont Rosji i jej oligarchów. Te pomysły demokratyczna administracja krytykuje jako kolejny dowód kręactwa Republikanów w sprawie pomocy Ukrainy pod wpływem zwolenników Donalda Trumpa.

Gdy Johnson podda pod głosowanie ustawę w jakiegokolwiek postaci, to zostanie uchwalona, bo „za” będzie zdecydowana większość Demokratów i duża część Republikanów.

Trumpiści zapowiedzieli, że nie darują „uległości” Johnsona wobec Bidena i postawią wniosek o odwołanie go. Podobnie jak to się stało 3 października z Kevinem McCarthym, poprzednim speakerem Izby Reprezentantów. Wówczas wniosek trumpistów poparli wszyscy demokratyczni kongresmeni, nie mogąc darować McCarthy’emu wszczęcia procedury impeachmentu Joe Bidena. Obecnie liderzy demokratycznej mniejszości zapowiedzieli, że Johnsona obronią, gdy tylko umożliwi przegłosowanie ustawy o pomocy dla Ukrainy.

Wspominam o odwołaniu McCarthy’ego również ze względu na wypowiedź Putina podczas dorocznego forum dyskusyjnego Władaj (5 października). Stwierdził on, że gdy ustanie pomoc zachodnia dla Ukrainy – szczególnie amunicja – „to wszystko się skończy w ciągu tygodnia”.

W Ameryce Putinowi niemal się udało osiągnąć zakładany cel, bo poza jedyną dostawą sprzętu w marcu, do Ukrainy nie popłynęło żadne wsparcie. W Europie też nie jest słodko, bo z obiecanego miliona pocisków artyleryjskich w 2023 r. dotarła jedna trzecia. W efekcie w ukraińskich jednostkach liniowych zapanował „głód” – stosunek pocisków używanych przez Ukraińców i Rosjan to 1:8. Sytuacja jak z kwietnia-czerwca 2022 r., gdy ukraińscy artylerzyści nie mieli strzelać.

Dyktator poczuł się na tyle pewnie, że udzielił wywiadu Tuckerowi Carlsonowi (8 lutego), w którym wiele mówił o historii („sztuczności” Ukrainy), Polsce i „umiłowaniu pokoju”. W istocie chciał pokazać, że na 10 miesięcy przed amerykańskimi wyborami to on odgrywa w nich kluczową rolę. Zażartował nawet, że Biden to lepszy wybór z jego punktu widzenia.

Ale przestrzelił w zadufaniu i przekonaniu, że sytuacja w świecie rozwija się zgodnie z jego planem.

Wypowiedziane dwa dni po wywiadzie Putina „zachęty” Trumpa do zaatakowania państw członkowskich NATO przez Rosję podziały na Euro-



• Ukraińcy szykują się na rosyjską ofensywę. „Żęby smoka”, czyli zapory przeciwpancerne, zainstalowane w ostatnim tygodniu marca w obwodzie zaporoskim
FOT. REUTERS/STRINGER

pe jak dodatkowy zimny prysznic. Już w grudniu i styczniu Unia Europejska nie pozwoliła Victorowi Orbanowi na storpedowanie zaproszenia Ukrainy i Moldawii do Unii oraz wydzielenie Kijowowi 54 mld euro pomocy finansowej na lata 2024-27.

W Europie następuje „wielkie przebudzenie” w sprawach obrony i uzbrojenia – odbudowywane są moce produkcyjne przemysłu zbrojeniowego, uaktualnia się plany obronne na wypadek agresji rosyjskiej.

Szwecja przystąpiła do NATO, Czechy zaś zainicjowały „koalicję chętnych” dla zakupu amunicji dla Ukrainy. I nawet do państw oddalonych od Kijowa dotarła świadomość, że rosyjskie wojska szykują się do marszu na Zachód przez terytoria państw Sojuszu.

Politycznym zwieńczeniem tego procesu stała się deklaracja prezydenta Emmanuela Macrona o wysłaniu wojsk do Ukrainy. Padły różne oceny tego oświadczenia, co nie zmienia faktu, że Francja zaczęła intensywniej pomagać Ukrainie, zaś amerykański sekretarz stanu Antony Blinken o sytuacji w Ukrainie i Strefie Gazy rozmawia właśnie z Macronem (2 kwietnia). A NATO przygotowuje pod swoimi auspicjami fundusz 100 mld dolarów dla długoterminowego wsparcia Ukrainy.

Jesień i zima były ciężkim czasem dla Ukrainy ze względu na deficyt amunicji i uzbrojenia z Zachodu oraz wewnętrzne perturbacje, które wywołał prezydent Wołodymyr Zeleński. Najpierw testował sprawę przeprowadzenia wyborów prezydenckich (w marcu), choć 80 procent Ukraińców ich nie chciało. Następnie urządził spektakl wokół sprawy mobilizacji, chcąc obarczyć odpowiedzialnością za jej przeprowadzenie dowództwo armii. W efekcie zdymisjonował głównodowodzącego armią generała Walerija Załużnego – postać emblematyczną dla Ukraińców.

Powodem miało być niepowodzenie letniej ofensywy i brak planów na

Z obiecanego miliona pocisków artyleryjskich do Ukraińców dotarła jedna trzecia. W efekcie stosunek pocisków używanych przez Ukraińców i Rosjan to 1:8

kontynuowanie wojny, lecz prawdziwą przyczyną była polityka i popularność generała. Załużny usunął się z drogi, godząc się zostać ambasadorem w Wielkiej Brytanii. Z kolei Zeleński swoje problemy powiększył, bo sukcesów na froncie brak, z Awdijiwki musiano się wycofać, mobilizacja musi zostać przeprowadzona, zaś następca Załużnego, generał Ołeksandr Syrski, powtarza diagnozy swojego poprzednika. Że Ukrainie potrzebni są nowi żołnierze, przełom technologiczny i bardzo dużo pomocy zachodniej. A za główny problem państwa Ukraińcy uważają korupcję we władzy.

Sytuację na froncie ustabilizowano, zadając Rosjanom ciężkie straty na zachód od Awdijiwki i skutecznie broniąc Kupiańska pod Charkowem. Zeleński właśnie podpisał dwie ustawy ważne dla mobilizacji (co miesiąc powinno trafić do wojska do 30 tys. poborowych), zaś Ukraińcy skutecznie zaatakowali dronami o dalekim zasięgu rosyjskie rafinerie naftowe, zmniejszając produkcję paliw o 10 proc. Ponadto Flotę Czarnomorską zmuszono do ucieczki z Sewastopola do Noworosyjska.

Putin i jego generalowie wciąż żyją w stanie euforii po powstrzymaniu letniej ukraińskiej ofensywy i zdobyciu Awdijiwki, choć okupionego ogromnymi stratami. Ogółem od października zdobyli 500 km² terytorium Ukrainy, co dało im podstawy do snucia planów przeprowadzenia późną wiosną i latem wielkiej ofensywy.

To, że Rosjanie ruszą do ataku, jest raczej pewne, bo Putin czuje się wzmocniony wyborami z 17 marca. Wymieniane są różne cele: Kijów, Charków, Kramatorsk, Słowiańsk, Pawłohrad, Zaporozże, Dnipro. Większość z nich można zaliczyć do kategorii wishful thinking, bo zajęcie stolicy Ukrainy się nie powiodło w lutym-marcu 2022 r., gdy armia ukraińska była nieporównanie słabsza. Szef administracji wojskowo-cywilnej Kijowa w tego okresu, a dziś dowódca wojsk lądowych, gen. Ołeksandr Pawluk zakomunikował lakonicznie, że Kijów „jest dobrze przygotowany do obrony”. W sprawie Charkowa dowódcy wypowiadają się w podobnym tonie. Gen. Syrski stwierdził kilka dni temu: „Jeżeli Rosjanie ruszą tam znowu, to Charków stanie się dla nich miastem śmiertelnym”.

Dla oblężenia i zdobycia Awdijiwki (przed wojną 35 tys. mieszkańców) dowództwo rosyjskie zgromadziło potężne siły: 60-80 tys. żołnierzy, kilkadziesiąt czołgów, tysiące dronów i kilkadziesiąt samolotów, które bombardowały ukraińskie pozycje potężnymi bombami. Atak na Charków (1,7 mln mieszkańców) wymagałby zgromadzenia 300 tys. żołnierzy, zdobycia Kupiańska i Ochtyrki (miejscowy garnizon obronił się w lutym-marcu 2022 r.). Rosjanie musieliby też ustabilizować sytuację na zapleczu frontu wokół Biełgorodu, gdzie przez kilka tygodni bez większych przeszkód operowały trzy ochotnicze bataliony Rosjan służących w armii ukraińskiej. A co było rozpoznaniem warunków dla działań większych jednostek regularnego wojska.

Obecnie na terenach okupowanych znajduje się 360 tys. żołnierzy rosyjskich, z czego dwie trzecie zgromadzone w obwodzie donieckim i południowo-wschodniej części obwodu zaporoskiego. Kilka dni temu Putin podpisał ukaz o powołaniu do wojska 150 tys. poborowych, czyli ilość standardową dla armii mającej liczyć 1,5 mln żołnierzy. To nie jest zatem nowa fala powszechnej mobilizacji, bo jej przeprowadzenia władze wciąż się obawiają. Zamach terrorystyczny na Crocus City Hall pod Moskwą pobudził nastroje patriotyczne, choć propagandzie z trudem udaje się oskarżyć o jego przeprowadzenie USA i Ukrainę, a nie ISIS, czyli tzw. Państwo Islamskie. Nie ma zatem atmosfery do napływu fali ochotników do wojskowych komisji uzupełnień.

150 tys. poborowych oznacza, że uzupełnione zostaną straty na froncie i stany w nowo formowanych dwóch armiach (14 dywizji i 16 brygad). A to pozwoli na podjęcie ataku na aglomerację Kramatorsk-Słowiańsk dla zajęcia całości obwodu donieckiego. I to, jak się wydaje, jest realistyczny cel wiosenno-letniej ofensywy rosyjskiej.

Na ten oraz inne scenariusze ukraińscy dowódcy wydają się być przygotowani, ufając w rychłą pomoc Zachodu. A także czując ogromne wsparcie rodaków, bo wciąż ponad 80 proc. Ukraińców wierzy w pokonanie Rosji, wejście do UE i NATO oraz odbudowę kraju. Pomimo morderczych ataków rakietowych, zniszczenia infrastruktury energetycznej oraz nieustannego ostrzeliwania Charkowa, Odessy, Dnipra, Zaporozża i Krzywego Rogu. ●

Mirosław Czech



Na tym szlaku wojnę pierwszy raz poczuć na lotnisku w Helsinkach. Ostatni raz byłem tu kilka tygodni przed wybuchem pandemii, kiedy korytarze były jeszcze szczelnie wypełnione turystami, głównie z USA i krajów azjatyckich. Ci drudzy mieli już usta zakryte maseczkami, z głośników słychać było prośby „o niezwłoczne zgłoszenie się do punktu informacyjnego” w przypadku wizyty w Chinach w ostatnich dwóch tygodniach.

Dzisiaj po tych samych korytarzach hula wiatr. Kiedy czekam na samolot do Tallina, towarzyszy mi tylko kilkusobowa grupa włoskich turystów podekscytowanych perspektywą lotu do Rovaniemi – chociaż jest marzec i sezon „mikołajowy” już się skończył. Wojna w Ukrainie to dla lotniska w Helsinkach niemały problem. Było kluczowym węzłem przesiadkowym w drodze do wielkich miast azjatyckich, dzisiaj, z powodu zamkniętej przestrzeni powietrznej nad Rosją i przewagi konkurencyjnej chińskich przewoźników, którzy wciąż tamtędy latają, Finnair musi wymyślić się na nowo.

Odrabianie strat idzie powoli. Przychody narodowego przewoźnika z kierunków dalekowschodnich w pierwszej połowie 2023 r. wyniosły 31 proc. wszystkich zarobionych na biletach pieniędzy. Cztery lata temu – aż 43 proc.

O ile w Helsinkach wojna jest słyszalnym, ale mimo wszystko odległym echem, to już w Tallinie przypomina burzę piaskową. Jest wszędzie, choć front – ten realny, militarny, przebiega półtora tysiąca kilometrów stąd na południe. Rosyjską agresję i ukraińską ofiarę czuć tu w powietrzu. Przykleja się ciasno do skóry, przeszywa nozdrza, wchodzi między zęby jak piasek. Czasem nie pozwala zasnąć – dosłownie, kiedy fasada centrum handlowego naprzeciw mojego hotelowego pokoju przez całą noc świeci się w barwach ukraińskiej flagi.

Żółto-niebieskie barwy są tu dzisiaj wszędzie, choć miasto nie wygląda na metropolię zestresowaną. Tallin trudno zresztą nazwać metropolią. 426 tys. mieszkańców, lotnisko, do którego z centrum można dojść w pół godziny spacerem. Dzisiaj zresztą opustoszałe jeszcze bardziej niż to w Helsinkach. Na lot powrotny przyjadę ze zwyczajowym dużym zapasem, nauczony odruchami z innych podróży. I pożałuję, bo w pięciu stanowiskach kontroli bezpieczeństwa będzie dokładnie zero innych pasażerów, a procedura zajmie mi mniej niż dwie minuty.

– Tak, jest trochę pusto. Straciliśmy masę ruchu na wschód, a poza tym teraz wszyscy latają do Rygi. To ma sens, w końcu to kraj w środku naszej trójki – tłumaczy mi, lekko sfrustrowana, Eleka Rugam-Rebane z departamentu prasowego ministerstwa obrony. Odbiera mnie z recepcji resortu – dyskretnego budynku w centrum miasta, stylem nawiązującego do pruskiej architektury. Przed wejściem powiewają trzy flagi: Estonii, NATO i Ukrainy. To obraz typowy dla Tallina A.D. 2024, gdzieś tam gdzieś banderę Sojuszu zastępuje unijna. Ukraińska jest jednak wszędzie, nawet przed hotelami, prywatnymi budynkami, apartamentowcami.

Eleka popędza mnie, kiedy przechodzę przez kontrolę bezpieczeństwa. Do spotkania z ministrem obrony Hanno Pevkurem, został jeszcze kwadrans, ale rzeczniczka woli dmuchać na zimne. Możliwe, że zaczniemy wcześniej, kalendarz ministra jest bardzo napięty.

– Jasne, to już nie te czasy, że zagraniczne redakcje miały tu korespondentów, teraz tylko wpadają i zaraz jadą dalej. Ale zainteresowanie jest ogromne, ciężko wszystkich zadowolić – tłumaczy Eleka.

Estonia, jeden z mniej rozpoznawalnych globalnie krajów Unii Europejskiej, jest teraz bodaj najbardziej stanowczym zwolennikiem Ukrainy w trwającej już trzeci rok wojnie z Rosją. Dotychczas znany głównie z rekordowej cyfryzacji i sukcesów lokalnych start-upów, dzisiaj swoją marką narodową uczynił bezkompromisowy sprzeciw wobec polityki Kremla. Start-upy i cyfryzacja wpisują się zresztą w wojenną dyplomację doskonale. Bolt, stworzona w Estonii platforma przejazdowa, ikonki samochodów w swojej aplikacji pomalowała na żółto-niebiesko. A NATO właśnie tutaj umieściło jedno z 28 Centrów Doskonalenia Cyberobrony.

Estończycy dawno przestali ograniczać się do włączania syren alarmowych po każdym kichnięciu Putina. Obecny rząd, a zwłaszcza jego szefowa, premierka Kaja Kallas, wymieniana w czołówce kandydatów na stanowisko nowego sekretarza generalnego NATO, równie mocno krytykuje agresję Kremla, co bierność Zachodu. Jest już polityczką wagi ciężkiej, zwłaszcza w kontekście wojny. Nie bała się powiedzieć samemu sekretarzowi obrony USA, Lloyd-

W Estonii wojna
przypomina burzę
piaskową. Choć front jest
daleko, rosyjską agresję
czuć w powietrzu, przykleja
się ciasno do skóry, prze-
szywa nozdrza, wchodzi
między zęby jak piasek

JESTEŚMY PRZYGOTOWANI NA INWA

wi Austinowi, prosto w twarz, że jeśli Putin nie zostanie zatrzymany teraz, konflikt rozleje się na inne państwa regionu.

W grudniu 2022 r. pojechała do Berlina, gdzie wystąpiła w debacie z niemieckim kanclerzem Olafem Scholzem. Tam jej gwiazda rozbłysła bardzo mocno, bo raz po raz wygarniała Niemcom lata naiwnej polityki wobec Rosji i zachowawczość w kwestii przekazywania broni Ukraińcom. „Kiedy w Europie zapadła żelazna kurtyna, wy za nami nie tęskniliście. Ale my za wami – już tak. Tęskniliśmy za wolnością” – mówiła, a sala reagowała brawami. Kallas daje światu do zrozumienia, że obywatele jej kraju wiedzą, czym grozi rosyjski imperializm. Problem w tym, że świat nie do końca zdaje się te słowa słyszeć i rozumieć.

Hanno Pevkur, reprezentujący tę samą, co Kallas, liberalną Estońską Partię Reform, całkowicie podziela stanowisko szefowej. Bywa nawet jeszcze bardziej dosadny. W listopadzie 2023 r., komentując kolejne doniesienia o rosyjskich sukcesach i ukraińskich stratach na froncie, powiedział, że „jeśli kraje bałtyckie upadną, Berlin będzie następny”.

„Ludzie mają domki letniskowe,
zapasowe schronienia. Z punktu
widzenia obronności to bardzo
ważne, że twój kraj tak wygląda;
że daje ci możliwość ucieczki na
przykład na wies”

Jednocześnie Estończycy wiedzą, że wsparcie Zachodu, mimo gwarancji wynikających z członkostwa w NATO, nie przyjdzie za darmo. Dlatego Kallas, Pevkur i inni estońscy politycy są głośni i widoczni. Strategią rządu w Tallinie jest udowodnienie politykom w Waszyngtonie, Brukseli czy Londynie, że czasy się zmieniły, a świat wygląda inaczej niż w 1939 czy 1945 r. Żeby Estonia nie została zapomniana, musi pokazać partnerom, że oni potrzebują jej tak samo, jak ona ich. Dlatego Estończycy są aktywni nie tylko względem Ukrainy. Ich wojsko pomagało Francuzom w czasie operacji w Mali, a ratownicy i eksperci od zarządzania kryzysowego wyjechali do Turcji natychmiast po tragicznym trzęsieniu ziemi z lutego 2023 r. To mały kraj, o ograniczonych zasobach – ale tutejsi liberałowie robią wszystko, żeby pokazać, że te zasoby mogą być w każdej chwili uruchomione na potrzeby któregośkolwiek z sojuszników.

Słowa natychmiast przechodzą w czyn. W ujęciu procentowym Estonia jest globalnym liderem pomocy dla Ukrainy. Według wyliczeń niemieckiego Instytutu Ekonomii Światowej w Kiel mały bałtycki kraj od początku wojny przekazał władzom w Kijowie pomoc wartą 1,2 miliarda euro, co odpowiada ponad 3 proc. całego tutejszego PKB.

Estończycy prowadzą pod względem pomocy humanitarnej i bezpośredniego wsparcia wojskowego. To drugie odpowiada 2,6 proc. PKB. W przypadku Polski to mniej niż 0,5 proc. PKB. W dodatku estońskie wsparcie nie ustaje. Kilka dni przed naszym spotkaniem Hanno Pevkur ogłosił przekazanie Ukraińcom sprzętu o wartości 20 mln euro.

Eleka Rugam-Rebane prowadzi mnie do sali prasowej – małego, ascetycznego pomieszczenia w głównej części budynku. Prosi tylko o panowanie nad czasem. Mamy równo pół godziny, na więcej nie pozwala kalendarz ministra. Na szczęście Pevkur pojawia się wcześniej, dostajemy kwadrans w gratisie – któ-



ZJE

ry zresztą okaże się bezcenny, bo w połowie spotkania minister przerwie wywiad, wywołany przez jedną z doradczyń.

Przerwa trwa długo, za drzwiami trwa narada. Ton spokojny, ale stanowczy. Kiedy pytam, o co chodzi, Eleka rozkłada ręce, ale jej wyraz twarzy jasno mówi mi, że to coś ważnego.

Wcześniej rzeczniczka wręcza mi dwie anglojęzyczne publikacje. Jedna to słynny na cały świat raport estońskiego wywiadu, którego konkluzja była jednoznaczna: Rosja dąży do otwartej konfrontacji z Zachodem. To już nie pytanie „czy”, tylko „kiedy”. Książeczka ma 88 stron, na okładce – kijowski pomnik Matki Ojczyzny, już w zaktualizowanej wersji. Na tarczy w lewej ręce personifikacji ojczyzny nie ma już symboliki sowieckiej, tylko godło niepodległej Ukrainy. W środku publikacji – straszenie Rosją, ale podparte rzeczową analizą. W dodatku szeroką, bo wywiad nie koncentrował się tylko na działaniach militarnych czy aktywności wyłącznie w krajach bałtyckich.

Estonia ma wprawdzie długą na 338 km granicę z Rosją, ale wszyscy tu doskonale wiedzą, że Kreml prowadzi ofensywę na kilku frontach jednocześnie, a wiele z nich przebiega tysiące kilometrów od Narwy, Tartu czy Tallina. Piszą więc Estończycy o porozumieniu w sprawie eksportu ukraińskiego zboża jako o „narzędziu rosyjskiej polityki zagranicznej”. Dodają przy tym, że „dla Rosji ONZ pozostaje platformą do szerzenia fałszywych narracji i realizacji własnych celów, zwłaszcza względem państw Globalnego Południa”. Pod lupę wzięto współpracę FSB z rosyjskimi instytucjami naukowymi, publikacja zawiera też szczegółową analizę skutków przeniesienia się Grupy Wagnera na Białoruś. Są nazwiska, zdjęcia, biogramy.

• **Estonia, październik 2022, ćwiczenia sił brytyjskich, estońskich i duńskich na poligonie w bazie Tapa**

FOT. RAIGO PAJULA/
AFP

Ale dla Estończyków Rosja to nie tyle zagrożenie samo w sobie, co element szerszego zjawiska, jakim jest geopolityczna wielobiegunowość i schyłek powojennego porządku liberalnego. Dlatego dwa ostatnie rozdziały raportu poświęcają Chinom – ich ideologii, ekspansji zagranicznej, narzędziom szpiegowskim. Po raz kolejny konkluzja jest więcej niż wymowna: Estonia chce być częścią Zachodu, aktywnym jego elementem. Ostrzegając swoich obywateli, ostrzega więc wszystkich w Unii i NATO.

Tak też twierdzi Pevkur, choć z jego słów, jak i prezenji emanuje spokój. Jest ministrem obrony kraju, który prawdopodobnie najbardziej ze wszystkich w Unii czy NATO przeszkadza Putinowi, ale w rozmowie ze mną robi wszystko, żebym uwierzył, że on sam kontroluje sytuację.

– Dobrze pan śpi ostatnimi czasy? Ma pan w końcu powody do stresu. Z jednej strony – zagrożenie rosyjską inwazją, z drugiej opieszale Zachód, który nie spieszy się z pomocą dla Ukrainy.

– Za długo jestem w polityce, żeby nie spać dobrze – śmieje się Pevkur. – Oczywiście – podejmowanie decyzji wymaga zaangażowania, trzeba działać za pomocą mózgu, ale też osobowości. Wiadomo, że martwi mnie obecna sytuacja, ale muszę zachować spokój, myśleć trzeźwo. To podstawowy warunek w trakcie każdego kryzysu. Inaczej podejmuje się złe decyzje.

Jedno wiem na pewno. Rosja się nie zmienia, przynajmniej nie w najbliższej przyszłości. Dla nas oznacza to tyle, że ich groźby trzeba brać jak najbardziej poważnie. Widzieliśmy na to dowody w 2008 r. w Gruzji, w 2014 r. na Krymie, w 2022 r. w czasie pełnej inwazji na Ukrainę. A jeśli wziąć pod uwagę ostatnie wydarzenia w Rosji – czyli to, że Putin został znów prezydentem – to Kreml może teraz robić, co chce. Ale jako Sojusz jesteście od Rosji silniejsi.

Przerwa. Narada za drzwiami. Pevkur wstaje, nie ma go prawie 10 minut. Wraca, ale jego wyraz twarzy w ogóle się nie zmienia. Patrzy mi głęboko w oczy. Nie pierwszy raz tłumaczy komuś, że Putina trzeba brać poważnie.

– Właśnie wysłaliście Ukraińcom kolejną transzę, o wartości 20 mln euro. Od początku wojny, w ujęciu proporcjonalnym, przekazaliście im kilka razy więcej środków niż Francja czy Niemcy. Nie frustruje to pana? Takie małe państwo, tak duży wysiłek, a inni, więksi, ociągają się z podjęciem decyzji.

– Jestem przekonany, że gdyby wszystkie kraje zrzeszone w Grupie z Ramstein [sojusz 56 państw, w tym wszystkich członków NATO, wspierających Ukrainę militarnie] zrobiły to samo, wojna już by się skończyła – zwycięstwem Ukrainy. Kiedy przygotowaliśmy strategię prowadzącą do wygranej Kijo-

wa, wyliczyliśmy, że przy zaangażowaniu wszystkich członków grupy na poziomie 0,5 proc. PKB, wsparcie dla Ukrainy wyniosłoby 120 miliardów euro. W zeszłym roku i rok wcześniej doszliśmy do połowy tej kwoty. Czyli robimy dwa razy za mało. Ale to kwestia perspektywy – bo dzięki temu widać, że istnieje droga prowadząca do zwycięstwa.

– To porozmawiajmy o konkretach. Na przykład o Niemcach. W listopadzie mówił pan, że jeśli krajów bałtyckich nie uda się obronić, Berlin będzie następny. Nie ma pan wrażenia, że te wasze komunikaty nie docierają do Niemiec? Albo że nie są traktowane wystarczająco poważnie?

– Niemcy robią dzisiaj więcej, niż robili w ubiegłym roku. Od początku wojny ich wsparcie dla Ukrainy wyniosło 7 mld euro. Ja w Niemczech widzę wyraźną gotowość do działania. Ostatnie deklaracje płynące od prezydenta Macrona z Francji czy od liderów z Wielkiej Brytanii też pokazują, że te kraje są gotowe do większego zaangażowania. Ale znaczenie ma nie tylko wola polityczna, również decyzje – i tego teraz nam potrzeba. Rozmawiając o Niemczech, trzeba pamiętać, że oni robią oczywiście bardzo dużo dla Ukrainy, ale sami muszą zobaczyć, co mogą zaoferować ze swoich zasobów i co mogą zacząć robić inaczej.

Dlatego na przykład, kiedy rozmawiamy o rakietach Taurus, o których teraz myślą i mówią wszyscy, to musimy pamiętać, że to nie jest jakaś tajna broń, która spowoduje, że Ukraina nagle wygra wojnę raz na zawsze. To bodziec motywacyjny, taki, jakim było przekazanie rakiet SCALP czy Storm Shadow albo myśliwców F-16. Czasami potrzebujesz takiego przekazu, nie tylko żeby zmotywować ludzi na froncie, ale też żeby umieścić Rosję w trudniejszym położeniu.

– Tylko kogo chce pan motywować tymi Taurusami? Ukraińców, żeby jeszcze odważniej się bili, czy zachodnich sojuszników, żeby przestali się ociągać?

– Obie grupy – odpowiada minister bez zastanowienia. Jego odpowiedź jest tak zdecydowana, żołnierska i pełna przekonania, że ledwo dałem radę skończyć pytanie. Słów ministra prawie nie zarejestrował mój mikrofon.

– Żołnierze na polu bitwy muszą czuć, że ich wspieramy, że ten sprzęt do nich płynie i płynąć będzie. To bardzo ważne, żebyśmy nie tylko mówili, że wysłamy zaopatrzenie. Oni muszą widzieć, że codziennie trafiają do nich nowe transporty.

Od kiedy przyjechałem do Estonii, cały czas mam wrażenie dysonansu poznawczego. Z jednej strony o wojnie przypomina mi dosłownie cała przestrzeń

publiczna. Ukraińskie flagi, antyrosyjskie graffiti, plakaty z hasłem „Norymberga dla Putina”. Z drugiej strony nikt tu nie panikuje, niespecjalnie też o samej wojnie czy perspektywie rosyjskiej inwazji nawet rozmawia. Życie płynie spokojnie.

Po to tak naprawdę przyjechałem do Estonii – żeby samemu przekonać się, na ile dyplomatyczna strategia premier Kallas jest podparta realnym strachem przed inwazją, a w jakim stopniu to polityczny zabieg, który ma przelożyć się na konkretne korzyści dla Estonii i dla samej polityczki.

Pytam więc Pevkura, czy w swojej codziennej pracy, przy podejmowaniu nawet najmniejszych, nużących, biurokratycznych decyzji, naprawdę za każdym razem wpisuje w ten proces możliwość rosyjskiej napaści zbrojnej.

– Oczywiście.

Znowu to samo. Żołnierska odpowiedź, zanim skończę pytanie.

– Oczywiście, że tak – powtarza, bo ewidentnie mój wyraz twarzy go do tego zmusza. – Od zawsze żyjemy w bezpośrednim sąsiedztwie Rosji. Wiemy, co to znaczy, kiedy po nas idą. Nie mamy żadnych złudzeń, że Rosja może nie stanowić zagrożenia. Dlatego podnieśliśmy wydatki na zbrojenia do 3,2 proc. PKB i będziemy go utrzymywać na tym poziomie przez kolejne dekady. Z pozostałymi krajami bałtyckimi zdecydowaliśmy się zbudować wspólną linię obrony, w tym 600 bunkrów wzdłuż granic z Rosją i Białorusią.

– A co potem? Jak już wejdą albo będziecie mieli wiarygodne dane wywiadowcze, że zaraz wejdą. Jak się do tego przygotowujecie teraz, nie tylko w wojsku, ale wśród ludności cywilnej? To bardzo gorący temat w Polsce. U nas wiele osób narzeka, że mamy społeczeństwo kompletnie nieprzygotowane do warunków wojennych.

Pevkur pierwszy raz w naszej rozmowie się uśmiecha.

– Odważę się postawić tezę, że mieszkańcy Estonii są lepiej przygotowani niż wiele innych nacji, bo żyjemy w cieniu tego zagrożenia od wielu lat. Byliśmy pod okupacją, wiemy co to oznacza. Dlatego prowadzimy zajęcia dla studentów na uczelniach i dla uczniów w szkołach średnich, szkolimy przedsiębiorców, managerów, osoby decyzyjne w prywatnych firmach. Wszystko to robimy od wielu lat. I w ramach armii, i obrony cywilnej.

Alle wiadomo, możemy robić więcej. Każde państwo może robić więcej, nawet każdy obywatel. Podstawowe pytanie, które wszyscy powinni sobie zadać, dotyczy zapasów. Czy mam wystarczająco dużo jedzenia i wody, żeby przetrwać tydzień? 10 dni? Czy mam baterie? Czy mam radio na baterie? Czy istnieje jakaś lokalizacja – drugi dom na przykład – w której mógłbym się schronić, gdyby było coś nie tak z miejscem, gdzie przebywam na co dzień? To wszystko pytania, które w naszym społeczeństwie padają na bieżąco. I to się przekłada na konkretne działania, bo jak ludzie o czymś mówią, to potem sami zaczynają o tym myśleć, szukać rozwiązań.

Myślę, że Polska też jest w unikatowym położeniu, bo też jesteście do tego rosyjskiego zagrożenia przyzwyczajeni. I ludzie też mają domki letniskowe, zapasowe schronienia. Z punktu widzenia obronności to bardzo ważne, że twój kraj tak wygląda; że daje ci możliwość ucieczki na przykład na wieś.

– A co, jeśli już wejdą? W akcie ogłaszającym budowę tych 600 bunkrów wszystkie kraje bałtyckie zobowiązały się, że nie będą instalować żadnych ładunków wybuchowych w pasie granicznym w czasie pokoju. Całkowicie wyklucza pan miny na granicy?

– Estonia jest sygnatariuszem Traktatu Ottawskiego, co oznacza, że jakiegokolwiek miny przeciwpiechotne są w tej chwili całkowicie wykluczone. Używamy teraz innych narzędzi, rozważamy inne opcje. Ale jeśli pojawi się jakiegokolwiek zagrożenie nieuchronne i jak najbardziej realne, wtedy użyjemy każdego instrumentu nam dostępnego, żeby się bronić. Wojna to wojna.

Estoriiczycy wiedzą, czym grozi rosyjska agresja nie tylko z powodu bolesnej historii lat 40. i bieżących zapędów Kremla. Rosja Putina brała na cel niepodległą Estonię już wielokrotnie, tylko nie za pomocą konwencjonalnych środków wojskowych. W kwietniu 2007 r. na strony internetowe estońskich instytucji publicznych, banków, ministerstw, gazet i kanałów telewizyjnych Rosjanie przypuścili gigantyczny cyberatak DDoS, blokując dziesiątki kluczowych witryn jednocześnie. Od tego czasu ataki w przestrzeni cyfrowej zdarzają się regularnie.

Kreml walczy też propagandą, dezinformacją i groźbami kar więzienia. W lutym administracja Putina wpisała Kaję Kallas na listę osób ściganych na terenie Rosji – za „brak szacunku” dla sowieckich pomników w Tallinie.

Kiedy pytam Pevkura o inne rodzaje zagrożenia ze strony Kremla, uśmiechu na jego twarzy już nie widzę. Znowu staje się poważnym, zdecydowanym politykiem ciągle mającym w tyle głowy – wstydzę się własnego patosu, ale minister tak wygląda – przyszość własnego kraju.

„Cyfrowe ataki dzieją się praktycznie codziennie. Za każdym razem, kiedy wyjdziemy z nowym przekazem poparcia dla Ukrainy, mamy cyberatak. Więc to dla nas już nic nowego. Po prostu musimy być przygotowani”

– Schematy rosyjskiego zachowania są dobrze znane: jeśli zobaczą coś, co im się nie podoba, atakują to. Wiemy o tym doskonale, doświadczamy tego od 2007 r. Wtedy chcieliśmy przenieść pomnik tzw. Brązowego Żołnierza, monument z czasów sowieckich, w inne miejsce – i natychmiast staliśmy się ofiarą pełnoskalowego cyberataku. Od tego czasu cyfrowe ataki dzieją się praktycznie codziennie. Za każdym razem, kiedy wyjdziemy z nowym przekazem poparcia dla Ukrainy, mamy cyberatak. Więc to dla nas już nic nowego. Po prostu musimy być przygotowani – i jesteśmy.

– A co wam daje Szwecja i Finlandia w NATO? Był pan pierwszym ministrem obrony krajów sojuszniczych, który odwiedził Szwecję po akcesji.

– To ma ogromne znaczenie, dla całego regionu.

– Dla was jako krajów bałtyckich?

– Szerzej, dla całego północnego wschodu Sojuszu. Dołączyły do nas dwa bardzo silne kraje i Bałtyk stał się w ten sposób wewnętrznym akwenem NATO, co sprawia, że możemy lepiej koordynować nasze działania, skuteczniej dzielić się informacjami. Wiadomo, wcześniej też współpracowaliśmy, ale teraz możemy robić to na zupełnie innym poziomie. Każde państwo w basenie Bałtyku na tym skorzysta.

Obraz Sojuszu, który Hanno Pevkur przede mną maluje, jest bardzo pozytywny. Problem w tym, że nie do końca pokrywa się z rzeczywistością. Trudno przecież zapomnieć o Viktorze Orbãnie, który miesiącami blokował szwedzką akcesję – długo wydawało się, że bez powodu, ale koniec końców wynegocjował dla siebie cztery nowe myśliwce Gripen, szwedzkiej produkcji. Wiele krajów NATO jest też dalekich od realizacji celu „2 proc. PKB na obronność”. Niejedna armia, w tym polska, cierpi na brak personelu. Nie mówiąc o widmie powrotu do władzy Trumpa, po-

lityka niechętnego jakiegokolwiek formie multilateralnej współpracy międzynarodowej.

Ale kiedy pytam ministra wprost, czy jest w stu procentach przekonany, że w razie inwazji Francuzi, Amerykanie czy Hiszpanie rzucą się umierać w obronie Narwy, minister czuje się wręcz lekko urażony.

– Każde państwo NATO wzięło na siebie to zobowiązanie i ono jest bardzo proste. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Jeśli ktoś uważa, że to zobowiązanie nie jest dla niego właściwe, to powinien się zastanowić nad sensem bycia w tym Sojuszu. Gdyby pojawiło się zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych, wszyscy musimy być gotowi tam jechać i im pomóc. Tak samo, gdyby pojawiło się zagrożenie wobec Estonii czy Polski. To jest rdzeń NATO. Dlatego właśnie mamy aż 32 członków – bo wszyscy zobowiązaliśmy się bronić siebie nawzajem, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Pytanie tylko, kto będzie tym wszystkim kierować. Może jego obecna szefowa? W momencie mojej wizyty w Tallinie na placu boju jest już tylko dwójka kandydatów: Kaja Kallas i odchodzący premier Hollandii Mark Rutte.

– Poprzecie Ruttego, czy będziecie budować koalicję wokół waszej pani premier? – pytam ministra.

– W naszych działaniach dyplomatycznych wyznaczaliśmy kilka kryteriów dla przyszłego sekretarza generalnego NATO. Po pierwsze – musi popierać Ukrainę. Po drugie – jego własny kraj musi wydawać co najmniej 2 proc. na obronność, bo to poziom, na który zgodziły się wszystkie kraje Sojuszu. Powtórzyliśmy to na ubiegłorocznym szczycie NATO w Wilnie – to absolutne minimum, a nie wartość docelowa. To nasze warunki. Jeśli ktoś będzie chciał naszego poparcia, musi się z nimi skonfrontować. Choć, oczywiście, musimy dojść do konsensusu. Trzeba znaleźć kogoś, kto zbierze 32 głosy.

– Jak bardzo martwi pana Trump?

– Szczerze?

– Jasne.

– Niespecjalnie.

Na chwilę zapada niezręczna cisza.

W końcu minister się odzywa.

– Po pierwsze, to Amerykanie wybierają sobie prezydenta, nie my im. Kogokolwiek wybiorą, musimy ten wybór uszanować, tak jak oni szanują nasze wybory. Naszym obowiązkiem jest utrzymywać dobre stosunki bilateralne. Zresztą w kontekście NATO Donald Trump jak do tej pory zajął stanowisko tylko w jednej sprawie, za to w sposób bardzo zdecydowany: powiedział, że trzeba inwestować 2 proc. PKB we własną obronę. A przecież to coś, na co zgodzili się wszyscy członkowie Sojuszu. Wszystkie inne kwestie to sprawy wewnętrzne, dotyczą polityki krajowej. Kiedy Trump był prezydentem, nie widzieliśmy zmiany w jego strategii dyplomatycznej, innego podejścia. Dlatego głęboko wierzę, że nawet wśród Republikanów jest wiele osób, które rozumieją wartość NATO i wiedzą, dlaczego Europa ma dla Stanów Zjednoczonych takie samo znaczenie, jakie Stany mają dla Europy.

– Założmy, że Ukraina wygra tę wojnę – pytam i spoglądam na zegarek, bo czuję na sobie wzrok rzeczniczki. – Co by musiało się stać, żeby doszło do normalizacji stosunków pomiędzy Zachodem a Rosją?

– To nie jest pytanie do mnie, tylko do Putina – ucina sucho Pevkur. – To on musi zdecydować, jak Rosja ma funkcjonować. Jeśli będzie agresywna wobec sąsiadów, wtedy wszyscy jako Sojusz będziemy na tę agresję odpowiadać. A jeśli coś się w tym kraju zmieni, zmieni się też cała relacja. Ale niestety nic nie wskazuje na to, żeby rosyjska dyktatura pod władzą Putina miała dobiec końca. My jesteśmy państwami demokratycznymi. Cenimy prawa człowieka, wolność słowa. Te rzeczy w Rosji nie są tolerowane. Dlatego to nie jest nasza odpowiedzialność, żeby cokolwiek zmieniać, to Rosja musi się zmienić.

– A czerwone linie, których nie powinniśmy przekraczać, patrząc na doświadczenia z przeszłości? Jakies warunki brzegowe? Denuklearyzacja? Wolność prasy? I dopiero potem, w zamian, na przykład zdjęcie sankcji?

Pevkur robi się zniecierpliwiony. Nie wiem tylko, czy przez moje pytanie, czy

dlatego, że musi gnać na kolejne, ważniejsze spotkanie.

– Powtórzę jeszcze raz: my się nie musimy zmieniać, bo my cenimy demokrację i swobody osobiste. I nie my powinniśmy decydować, w jaki sposób Rosja ma się zmienić. Tylko że bez woli samych Rosjan, żeby do tej zmiany doprowadzić, ciężko jest przewidywać, że to się stanie.

Kończymy rozmowę, minister wstaje i znika w gąszczu korytarzy. Eleka Rugam-Rebane odprowadza mnie do wyjścia, daje rady, co zwiędzić, co zobaczyć. Sporo tego, bo Tallin jest wprawdzie miastem kompaktowym, ale naszpikowanym ważnymi miejscami – zwłaszcza dotyczącymi historii najnowszej.

Resztę dnia spędzam więc na marszu po wytyczonej przez Elekę mapie, złożonej z zabytków, pomników, muzeów. Już po zachodzie słońca moją uwagę przykuwa płynąca w oddali rzeka światła. W samym centrum stolicy, przy placu Wolności, stoi wysoka na 23,5 metra Kolumna Zwycięstwa, upamiętniająca ofiary estońskiej wojny niepodległościowej z lat 1918-19. Plac przed nią zaścielają setki białych i czerwonych zniczy, ułożonych w datę 25 marca. To dzisiaj. Tego dnia Estończycy upamiętniają 22 tysiące ofiar sowieckich zsyłek na Syberię z 1949 r. Znicze układają licealiści, lokalna telewizja nagrywa materiał, rodzice tłumaczą dzieciom o co chodzi.

Przy północnej pierzei placu stoi ośmiopiętrowy budynek. Fasadę przykrywają zsyte w jedno flagi Estonii i Ukrainy. To 75. rocznica wywózki, więc obchody mają szczególną formę. Na środku placu ustawiono rzutnik skierowany właśnie na północ. Przez wielkie płótno w barwach obu państw tak ciężko doświadczonych przez imperium państw płyną, jedno po drugim, nazwiska 22 tysięcy ofiar sowieckiej przemocy. ●

List miłosny do odmieńców

Dlaczego 30 lat po śmierci Kurt Cobain tak mocno
działa na młodych?



Magdalena Dubrowska

Do Boddah” – tak zaczyna się list pożegnalny Kurta Cobaina, muzyka, współtwórcy Nirvany, który 5 kwietnia 1994 r. popełnił samobójstwo w swoim domu w Seattle, zapisując się tym samym w historii muzyki i świata jako legenda.

I choć od śmierci Cobaina mija właśnie 30 lat, ta legenda żyje do dziś: na Youtubie, na koszulkach, w filmach i książkach.

Czy to kwestia romantycznego mitu wyklętego artysty? A może jest w tym coś więcej?

List pożegnalny Kurta Cobaina stał się artefaktem popkultury, obiektem kultu, przedmiotem analiz grafologicznych i teorii spiskowych. Już sam tajemniczy adresat listu – „Boddah” – nam stręczył cobainologom wątpliwości interpretacyjnych. Ostatecznie za najbardziej prawdopodobną uznaje się wersję, że to imię wyobrażonego przyjaciela z dzieciństwa artysty.

W 2015 r. reprint samobójczego listu pojawił się na tiszertach sprzedawanych w internecie i choć dystrybucja została oficjalnie wstrzymana, nakład koszulek i tak się wyczerpał.

Inny list – ten pisany przez Kurta Cobaina w 1992 r. do Dave’a Geffena, szefa wytwórni muzycznej DGC Records, po tym jak magazyn „Vanity Fair” oskarżył publicznie Courtney Love, wokalistkę zespołu Hole i żonę Kurta Cobaina o to, że brała w ciąży heroinę – kilka lat temu trafił na aukcję i został sprzedany za ponad 28 tys. dolarów.

„Dzięki mnie Twoja firma zarobiła kupę pieniędzy” – pisze Cobain i domaga się, aby Geffen „zrobił coś” w sprawie oskarżeń ze strony dziennikarki. Kurt przypomina, że zespół Courtney też należy do DGC Records, a sama Love zasłużyła się w walce o prawa kobiet i osób LGBTQ.

„Frances Bean Cobain” – tak z kolei (czyli imieniem córki artysty) podpisała swój list do Kurta Cobaina pewna bliska mi osoba, która w wieku 12 lat tak mocno odczuwała muzykę Nirvany i więź z Cobainem, że miała marzenie, by okazać się on jej ojcem. Mimo że urodziła się w 1998 r. w Polsce. W tym marzeniu ojciec Kurt był wprawdzie problematyczny pod każdym względem, ale rozumiał uczucia swojej córki.

Osobom z pokolenia X często wydaje się, że dzisiejsi dwudziestolatkowie nie wiedzą, co to telefon stacjonarny i kasetą magnetofonowa oraz słuchają tylko zautotune’owanego rapu. Jednak te przesłanki okazują się błędne.

Na przykład moja uczennica gitary basowej ma 14 lat i słucha głównie Nirvany. Musiałam sobie odświeżyć tabulaturę do „Smells Like Teen Spirit” i „Come As You Are”, żeby pokazać jej, jak grać ulubione utwory.

Od „Come As You Are” zaczęło się też moje własne granie na gitarze. To był pierwszy utwór, którego się nauczyłam. Miałam 15 lat i nie rozstałam się z kasetą Nirvana MTV Unplugged.

Nie chodzi tu jednak o kombatanckie wspomnienia. Chodzi o to, dlaczego Kurt Cobain i jego twórczość wciąż tak mocno oddziałują na młode, wrażliwe osoby.

Czy to tylko kwestia legendy „Klubu 27”, jak mówi się na tych wszystkich męczenników i męczennice rock’n’rolla, którzy zmarli tragicznie, najczęściej wskutek samobójstwa lub przedawkowania narkotyków w wieku 27 lat?

Myślę, że to nie romantyczna śmierć tak sprawnie utowarowiona i wchłonięta przez rynek powoduje, że piosenka „Come As You Are”, czyli „Przyjdź, jaka jesteś”, była moim hymnem i 30 lat później jest też hymnem mojej uczennicy, tylko przekaz: „Bądź tym, kim jesteś”. To jest piosenka o byciu sobą do samego końca i nie poddaniu się.

Jimmy Hendrix, Jim Morrison, Janis Joplin, Amy Winehouse, Mac Miller, a wcześniej James Dean, a może i Artur Rimbaud, przedwczesną śmiercią unieśmiertelnili się w punkowym ikonostasie. Nigdy się nie zestarzeją, nie mają szans stać się swoją własną parodią. Zachowali niepodległość. Świeżość. Obronili swoje jestestwo.

W książce „Misfit Manifest” z 2017 r. Lidia Yuknavitch, amerykańska pisarka, autorka głośnej „Chronologii wody” wprowadza pojęcie misfita. To odmieniec. Wyrzutek. Niedopas – taki ciekawy neologizm stworzyła tłumaczka książki Barbara Łukomska.

Yuknavitch, która sama czuje się misfitem, opisuje różne przejawy i typologie bycia odmieńcem.

Czyli kimś obdarzonym tak wielką wrażliwością i emocjonalnością, kimś dla kogo potrzeba życia w zgodzie z tą wrażliwością i ze sobą samym, jest tak daleko posunięta, że często kończy się wyobcowaniem, niedopasowaniem, a dalej autodestrukcją, uzależnieniem, a nawet śmiercią.

Jak wielka musi być twoja samotność, że list, którym żegnasz się ze światem, adresujesz do wyimaginowanego przyjaciela z dzieciństwa?

Jednocześnie w tej nadwrażliwości odmieńców, a Kurt Cobain z pewnością takim odmieńcem był, (Lidia Yuknavitch wymienia go na pierwszym miejscu swoich osobistych symboli niedopasów, obok m.in. Virginii Woolf, Freddiego Mercury’ego, Davida Bowie czy Mary Shelley) zawiera się tkliwość, czułość, wyczulenie na świat.

Wszyscy jesteśmy twórczy, wszyscy mamy wrażliwość i emocje, i wszyscy też jesteśmy przez to narażeni na opresję. Od misfitów możemy uczyć się, że te nasze wrażliwości są piękne.

**Znam 12-latkę,
która marzyła, by Kurt Cobain
okazał się jej ojcem**

„Gdyby każdy był w stanie nauczyć się widzieć to, co widzą odmieńcy, czyli że tak zwane błędy, porażki, dziwactwa i słabostki stanowią tak naprawdę piękne źródło kreatywności i ładu społecznego, wówczas być może moglibyśmy zacząć traktować się w sposób, który nie podkreśla wartości jednych osób, umniejszając jednocześnie innych” – pisze Lidia Yuknavitch.

Historia Cobaina to jednocześnie historia sukcesu i porażki. Umarł samobójczą śmiercią uzależniony od heroiny, cierpiał, chorował, a w czasach nastoletnich nie miał przyjaciół i czuł notorycznie odrzucenie przez matkę, ojca, macochę, dziadków i wujków, którzy tylko odsyłali go od domu do domu, bo nie mogli sobie z nim poradzić.

„Gdyby palenie czarownic było legalne, już bym nie żył” – powiedział w jednym z wywiadów.

Co do sukcesu – to nie mam wcale na myśli zapelniania wielkich sal koncertowych, tylko to, że Cobain pozostał sobą do samego końca. Zachował swoją wrażliwość, która jest piękna i godna obrony.

I to właśnie to – autentyczność, wierność swojej indywidualności i odwaga, by ją zachować – są tak pociągające dla młodych osób, które wchodzą w dorosłość, zaczynają czuć swoją odrębność, kształtować swoją osobowość, mieć pragnienia. Ich pobudki są czyste, choć rynek natychmiast je kapitalizuje, przechwytuje i potem podsuwa w postaci samobójczego listu na tiszercie.

Na końcu swojego manifestu Lidia Yuknavitch pisze list miłosny do Odmieńców:

„Jestem taka jak Ty. Tworzymy własne piękno, nasze własne ścieżki i nasze własne zakręty, dziwaczne sposoby działania.”

Nawet jeśli śmierć Kurta Cobaina, pachnącą jak Teen Spirit, sprzedano, on sam pozostał listem miłosnym do ludzi.

Jego życie i sztuka są wyzwaniem rzuconym status quo. Są elementem, który nie pasuje do układanki, czymś dziwnym. Ale to dziwne jest ważne, bo pozwala zauważyć, że świat jest bardziej różnorodny niż nam się wydaje. ●



• Koropiec na Podolu,
lata 40. Jeden z bohaterów
tej rozmowy, Michał Sobków,
z siostrą Justyną

Rozmowa z autorką słynnych „Chłopek”

Justyna

FOT. ARCHIWUM RODZINNE MICHAŁA SOBKÓW

Z **JOANNA KUCIEL-FRYDRYSZAK**
ROZMAWIA **MIROŚLAW MACIOROWSKI**

MIROŚLAW MACIOROWSKI: Pamiętasz nasze wrocławskie podwórko?
JOANNA KUCIEL-FRYDRYSZAK: Oczywiście, ale raczej nie bawiliśmy się razem.

Wtedy, na przełomie lat 70. i 80., chyba nie mogliśmy. Ja całe dnie haratałem w gałę z Pawłem, twoim bratem. Nie interesowało mnie, co robią dziewczyny. – A ja bawiłam się w podchody, skakałam w gumę, albo grałam w klasy. Przerobiłam wszystkie dziewczynskie zabawy tamtego czasu. Moje dzieciństwo było wesołe i, że tak powiem, społecznie rozwinięte. Całymi bandami dziewczyn latałyśmy wokół naszego bloku, strasznie krzycząc, dzieci chyba były wtedy bardziej hałaśliwe... Nikt raczej nie siedział przed telewizorem – dobranocka, „Teleranek”, owszem, ale to wszystko. Liczyło się podwórko. Chłopcy drażnili się z nami, klęli jak szewcy albo straszili, że nas zamkną w piwnicy.

Ale czułam się tam bezpieczna, bo miałam dwóch starszych braci, którymi mogłam postraszyć, jak mi się działo krzywda. Pytałam: „Mam zawołać brata?”. Miałam poczucie, że ktoś za mną stoi i w razie czego mnie obroni. Ale nie ma wątpliwości, chłopcy i dziewczęta, jak zapewne na wielu ówczesnych podwórkach, to były dwa odrębne obozy.

Ten podział był jeszcze głębszy, bo nasze podwórko było murem, a w zasadzie

ZRZUCA CHUSTKĘ

W naszym bloku ludzie zostawiali buty przed drzwiami mieszkań. Intrygowało mnie to. Wcześniej, w naszej kamienicy na Starym Mieście, tak nie robili.

ulicą podzielone. Po jednej stronie moja stara, poniemiecka kamienica, a po drugiej wasze bloki z połowy lat 70., w których zamieszkali jacyś obcy. – No tak, my na was też długo patrzyliśmy jak na obcych.

Ale te światy szybko się przeniknęły, a potem scalily. W przypadku chłopaków łącznikiem był futbol. Brałem grubą kromkę chleba ze śmietaną posypaną cukrem i hajda! na boisko. To była polska norma podwórkowa. Czasem grałem w piłkę, trzymając tę pajdę w dłoni i dojadając ją.

– Nie wiem, czy w ogóle byłam kiedykolwiek na waszym boisku. Moje życie ogniskowało się przy naszych blokach.

Z czasów, o których mówisz – a wprowadziliśmy się na nasze osiedle w 1977 r. – mam utrwalaony pewien obraz, wtedy dla mnie zadziwiający. Otóż w naszym bloku ludzie zostawiali buty przed drzwiami mieszkań. Intrygowało mnie to. Wcześniej, w naszej kamienicy na Starym Mieście – nie potrafię powiedzieć, jaki był tam przekrój społeczny – mieszkańcy tak nie robili.

Sto metrów od twojego bloku, w mojej kamienicy, też nikt butów nie wystawiał. – Ten zwyczaj kultywowali ludzie pochodzący ze wsi. Wprawdzie nasz blok był w raczej robotniczy, większość ludzi pracowała w zakładach przemysłowych, których w naszej dzielnicy nie brakowało [dzielnica

nazywa się Fabryczna – MM], ale, jak wiadać, utrwalone były zwyczaje przeniesione z miejsca pochodzenia. Większość tych robotników miała wiejskie korzenie. Kiedyś zostawiali buty w sieni, ale w bloku sieni nie było, więc stawiali je na klatce schodowej. Z czasem, jak starsze pokolenie zaczęło umierać, a młodzi stali się bardziej „miastowi”, ten zwyczaj oczywiście zanikł.

Tak jak zanika inne zjawisko, powszechne w czasach mojego dzieciństwa, czyli odświętne ubieranie się w niedzielę. Wiązało się oczywiście z chodzeniem do kościoła, ale moim zdaniem nie tylko. Ludzie mieli po prostu potrzebę, żeby tego dnia wyglądać inaczej niż w dzień powszedni, aby święcić dzień święty. Na naszym osiedlu całe rodziny wychodziły z bloków w rytm godzin niedzielnych mszy, a wszyscy wystrojeni jak z żurnala – odświętne sukienki dziewczynek, garniturki chłopców, lakierki, wystylizowane fryzury. W miastach to już rzadkość.

Czy w twoim domu obecna była historia rodzinna? Rodzice wspominali dzieciństwo? W moim takie opowieści były codziennością, mama zresztą do dziś opowiada o swojej wiosce na Tarnopol-szczyźnie, skąd jej rodzina po wojnie została przesiedlona pod Wrocław. – W moim właściwie nie, żyli chwilą obecną, oboje byli bardzo witalni i mieli poczucie, że żyją w lepszych czasach niż ich przodkowie. Urodzili się podczas wojny, wspomnienia mamy były trudne, związane z osobistymi traumami, niechętnie wracała do przeszłości, zwłaszcza do śmierci młodego

szej siostry, która utonęła w Wiśle. Może wspomnienia twojej mamy były weselsze...

Nie były. Konieczność opuszczenia rodzinnego domu na Kresach, jazda w bydlęcym wagonie w nieznane, to jednak traumatyczne przeżycia dla dziewczęciolaki. Mama jest z domu Turkiewicz, mówi ci to coś?

– Oczywiście, jedna z bohaterek „Chłopek” to przecież australijska reżyserka Sophia Turkiewicz, która nakręciła wzruszający dokument o swojej mamie „Once My Mother”. Podczas pracy nad filmem odwiedziła wioskę Oleszów niedaleko Iwanów-Frankowska (przed wojną Stanisławów), z której pochodziła jej matka Helena.

Wioska mojej mamy, Huta Nowa, znajduje się dwadzieścia parę kilometrów od Oleszowa. Ale raczej nie jesteśmy spokrewnieni, w tamtych stronach to nazwisko było dość rozpowszechnione.
– A poza tym to nazwisko Sophii po ojcu, a mama z domu nazywała się inaczej.

Helena była jedną ze „zbędnych”, jak je nazywałaś w „Chłopkach”. Czyli kobieta nikomu niepotrzebna, dodatkowa „gęba do wykarmienia”.

– Była sierotą. Mama zmarła przy jej urodzeniu, a ojciec, jak miała sześć lat. Przygarnął ją wujek, ale miał już pięcioro dzieci, więc po co mu jeszcze jedno? Rodzone posłał do szkoły, a Helenę nie. Musiała ciężko pracować w gospodarstwie, aż w końcu uciekła. W Stanisławowie została dzieckiem ulicy. Później poszła na służbę, była pomywaczką, a jak weszli Sowieci, została zesłana do gulagu. Los rzucił ją do Kazachstanu, potem na Bliski Wschód, w końcu do Australii.

Pięciosobowa rodzina mojej mamy była trzymorgowa, mieli nieco ponad 1,5 hektara ziemi. Niewiele, ale koniec z końcem wiąźali. Mama opowiadała mi o ciężkiej pracy i biedzie. Ale takich losów jak matki Sophii dookola nie brakowało. Jedno miejsce, inne wspomnienia, tak jak w przypadku nas i naszego podwórka. Właśnie o tym chcę porozmawiać: te same wydarzenia ludzie pamiętają inaczej.

– Te losy są jednak trochę inne. Twoja mama żyła w Polsce międzywojennej ledwie parę lat, a jej wspomnienia są dziecięce. Przeżycia Heleny powinniśmy raczej skonfrontować ze wspomnieniami twojej babci albo prababci. Poza tym mama Sophii była sierotą, znalazła się w sytuacji naprawdę ekstremalnej, co oczywiście nie oznacza,

Szkoda, że nie umiemy określić,
jak wiele dzieci oddawanych było
na służbę, tak często o tym słyszę
na spotkaniach

że na tych terenach rzadkiej. Musiała sobie jakoś poradzić w beznadziejnym, wydawałoby się, położeniu i poradziła sobie. Już po ukazaniu się „Chłopek” korespondowałyśmy z Sophią, nie kryła zaskoczenia popularnością książki. Nie miała świadomości, że tak wiele kobiet było w podobnej sytuacji. Szkoda, że nie umiemy określić, jak wiele dzieci oddawanych było na służbę, tak często o tym słyszę na spotkaniach.

Kresy Wschodnie miały swoją specyfikę – nie tylko bieda, że aż piszczało, ale także bardzo konserwatywne społeczeństwo.
– Tak, przywołam inny przykład stamtąd, który znalazł się w „Chłopkach”: doktora Michała Sobkowa, który został po wojnie wraz z matką Anastazją i siostrą Justyną przesiedlony z Koropca na Podolu na przedmieścia Wrocławia.

To wrocławski lekarz, bohater epidemii ospy we Wrocławiu z 1963 r., dobrze go znałem. Przytaczasz w książce jego opowieść o chustkach.

– Tak, na Podolu mężatki nie pokazywały się bez chustek na głowach. Ta tradycja, związana z religią, traktowana była jak świętość. Tymczasem Justyna po przyjeździe pod Wrocław zobaczyła, że tutaj nikt nie nosi chustek, więc swoją też zdjęła. Doprowadziło to do konfliktu z matką.

We wspomnieniach pan Michał opisał go nawet zabawnie. Ale ja z nim przegadałem wiele godzin i wiem, że był to spór fundamentalny. Zdjęcie chustki przez córkę przekraczało granice tolerancji bardzo religijnej matki.

– To jest opowieść o rewolucji kulturowo-obyczajowej, jaka dokonała się po przesiedleniu ze wschodu na zachód. Nowe wypierało stare. Ta dziewczyna się zbuntowała i zrzuciła chustkę wbrew woli matki. Chciała już przynależeć do nowego świata, a stary zostawić za sobą.

Wracając do myśli, że te same wydarzenia można przeżywać różnie, zastanawiam się, czy choć pan Michał opisał ten spór na wesoło, tak samo mówiłaby o nim Justyna? Konflikt z matką był dla niej jednak traumatyczny, chciała nawet odejść z domu. Wiesz, jak to się skończyło?

– Justyna postawiła na swoim, chodziła bez chustki. Nie wiemy jednak, jak naprawdę ten konflikt z matką przeżywała i już nigdy się nie dowiemy, bo zachorowała i szybko zmarła. Została zresztą pochowana nie we Wrocławiu, a w Krakowie, ponieważ matka i brat – jak wielu mieszkańców tzw. Ziemi Odzyskanych zaraz po wojnie – obawiali się, że Niemcy wkrótce wrócą, odbiorą Polakom Wrocław i rodzina nie będzie mogła przyjeżdżać na grób.

To tylko część zakończenia tej historii. Na jej pogrzeb do Krakowa zjechali krewni i znajomi z Koropca. Pan Michał pokazywał mi zdjęcia z uroczystości, Justynę w trumnie założono na głowę chustkę. – Coś takiego! Tego nie wiedziałam. Poruszające i wiele mówiące o przywiązaniu tego pokolenia do przeszłości, o związkach z tradycją miejsca, z którego się wywodzili. Na wschodzie te zwyczaje były tak mocno zakonserwowane, że dla wielu odcięcie się od nich w nowym miejscu było nie do pomyślenia. Ale Justyna i tak jest moją bohaterką — trzeba było mieć odwagę i charakter, żeby przeciwstawić się matce i tradycji.

O Michale Sobkowie pomyślałem też przy lekturze rozdziału o pasionce, w którym piszesz o wiejskich dziewczynkach wysyłanych na pastwiska. Przydarzały im się tam różne nieszczęścia, nawet gwałty. Tymczasem pan Michał wspominał pasionkę jako chwile szczęścia, gdy z kolegami mógł się wyszaleć i powyglupiać.

– Dobrze, że o tym mówisz. Bo to jeden z tych momentów, kiedy wyraźnie widać, że ludowa historia kobiet różni się zdecydowanie od męskiej opowieści.

Jeśli chłopcy byli na pasionce szczęśliwi, to dlatego, że po prostu czuli się tam bezpieczniej niż pozostawieni bez opieki dziewczynki. Ale ich przyjemniejsze wspomnienia wynikają też moim zdaniem z idealizowania dzieciństwa. Wtedy to było fajnie, bawiliśmy się samopas, pełna bez troska.

Opowieści dziewczynek są inne. Samotna dwunasto- czy trzynastolatka na pasionce mogła czuć się zagrożona. Ale oczywiście nie znaczy to, że ludzie nie przeżywali miłych chwil, pasąc krowy czy pilnując gęsi.

W książce skupiłam się jednak na tym, o czym wtedy na wsi w ogóle się nie mówiło, na zagrożeniach właśnie. W dyskursie publicystycznym już wtedy były one dostrzegane. Nie brakowało autorek, które przestrzegały rodziców: opiekujcie się swoimi córkami, nie narażajcie ich na niebezpieczeństwa, których na wsi jest więcej, niż się komukolwiek się zdaje.

Nie sądzisz, że nasze wspomnienia kształtują głównie silne emocje: radosne chwile, euforyczne przeżycia, ale przede wszystkim traumy. „Chłopki” są w jakiejś mierze opisem ciągu niewygód, krzywd i upokorzeń.

– W „Chłopkach” pokazuję sytuacje, w których kobiety doświadczały rozmaitych zagrożeń związanych z patriarchalnymi stosunkami w rodzinie, wykluczeniem społecznym, ale i fatalną sytuacją ekonomiczną wsi. Jeśli ktoś wie coś o dwudziestoleciu międzywojennym i zna ówczesną wieś, to ma też pojęcie, jak trudne warunki na niej panowały. Twoja mama ma pamięć wczesną, dziecięcą, a choć pamięta będę i niewygody, to jednak nie doświadczyła tych samych emocji co chłopki, których dzieciństwo przypadło na lata 10. czy 20., a dorosłość na 30. XX wieku, gdy wybuchł wielki kryzys.

Prof. Włodzimierz Mędrzecki, znakomity badacz stosunków społecznych w dwudziestoleciu, szacuje, że na początku lat 30. w biedzie żyło trzy czwarte mieszkańców miast na wschodzie i południu. W dawnym zaborze pruskim, który stał przecież dużo lepiej – aż połowa. No to wyobraźmy sobie, jaki był ten odsetek na przeludnionej wsi. Myślę, że dla ludzi, którzy znają wyłącznie wieś PRL-owską i nie mają pamięci swoich rodziców czy dziadków, wiedza, w jakich warunkach oni się wychowywali, mogłaby okazać się szokująca.

REKLAMA

Kraj/34307046



KNOCK OUT PRODUCTIONS & B90 ZAPRASZAJĄ

THE
ROBERT CRAY
BAND

Groovin'
50
Years!

21.05.2024 - KRAKÓW / STUDIO
22.05.2024 - GDAŃSK / TEATR SZEKSPIROWSKI
23.05.2024 - WARSZAWA / PROGRESJA

■ wyborecza.pl  RADIO 357

Moja książka nie jest zbiorem traum, ale raczej zapisem codzienności. Opisuję też przecież bogatszych mieszkańców wsi. Ale fakt, że dziewczyna wywodziła się z majątniejszej rodziny, nie oznaczał, że będzie kierować swoim życiem. Podobnie jak te z biednych domów wystawione były na te same zagrożenia. Na przykład w momencie zamażpójścia istniało ryzyko, że jedne i drugie zostaną po prostu „opchnięte” za morgi.

„Chłopki” to w dużej mierze także opowieść o wiejskim patriarchacie, który kładł się cieniem na życiu kobiet w każdym wieku i bez względu na sytuację materialną ich rodzin. I rzeczywiście, pamiętniki wiejskich kobiet to często lista krzywd. Najsilniej zapisały się w ich pamięciach przemoc i niespełnienie ambicji, by się uczyć. To trauma wielu kobiet: chciałam się uczyć, chciałam zostać nauczycielką, ale nie mogłam. Wiele tych kobiet zakończyło edukację po czterech klasach.

Twoja książka ukazała się w zeszłym roku, ale nadal spotykasz się z czytelniczkami i czytelnikami?

– Mam po dziesięć spotkań miesięcznie, było ich już kilkadziesiąt. Od maja jestem w trasie. W wielu miastach brało w nich udział kilkaset osób. Wczoraj podpisałam ponad 370 książek w ramach akcji Wydawnictwa Marginesy „>>Chłopki<< do bibliotek”. Napływały bowiem informacje, że w niektórych bibliotekach kilkuset czytelników czeka w kolejkach, żeby wypożyczyć książkę, a inne nie mają jej wcale, z braku funduszy. Wydawnictwo postanowiło więc przekazać pulę do bibliotek.

Te spotkania są emocjonujące?

– Ogromnie. Trwają czasem po kilka godzin. Kobiety, choć nie tylko one, mają potrzebę opowiedzenia swojej indywidualnej historii, albo opowiadają o swoich przeżyciach podczas lektury książki. Czasem ktoś płacze.

Spierają się? Pamiętam, co się działo podczas moich spotkań z czytelnikami, gdy wydałem książkę o przesiedleniach. Ludzie klócili się na przykład o to, co było w wagonie przesiedleńczym. Jeden mówił, że nic nie było, a drugi, że w jego wagonie była toaleta. Na to tamten, że niemożliwe...

– Na moich spotkaniach nikt się raczej nie spiera. To chyba jednak inny rodzaj emocji. Dominuje współodczuwanie, wymiana emocji wokół wspólnych, doświadczeń. Bardzo wiele osób odnajduje w „Chłopkach” obrazy z historii swoich rodzin. A ci, którzy nie wiedzą wiele o swoich korzeniach, chcą po prostu posłuchać.

Książka działa na czytelniczki i czytelników w różny sposób, dla jednych jest po prostu opowieścią o wsi, dla drugih — o wykluczeniach, a dla jeszcze innych — o ciekawych zjawiskach socjologicznych i kulturowych, zwyczajach, które zanikły. Najżywiej oczywiście reagują kobiety, dla których najważniejszą kwestią jest wiejskie dziedzictwo, czasem pozytywne, a czasem ogromnie trudne, jeśli pochodzą z rodziny, która doświadczyła biedy lub przemocy. Dla nich ważnym tematem jest również słaby kontakt w rodzinach, poczucie, że mało się znało swoich dziadków, że nie miało się z nimi więzi. Moja książka to też świadectwo pracy wiejskich kobiet często ponad ich siły i ich ogromne poczucie odpowiedzialności za rodzinę.

Pojawia się jeszcze jeden ważny motyw: niektóre kobiety mówią, że od ich babek niczego nie można było się dowiedzieć. Nie chciały wracać do trudnej przeszłości, machały ręką, gdy wnuki pytały o ich przeszłość. Wiele rodzin, zwłaszcza awansujących społecznie, odcięło się od wiejskich korzeni. Wyrzuciło na śmietnik pamięć o biedzie, nie chciało wracać do tego niełatwego fragmentu własnych losów.

W Warszawie, w Domu Spotkań z Historią, pewien pan opowiedział o swoich córce, bo to one mu podsunęły „Chłopki”. Poprosiły, żeby opowiedział im o swojej ro-

dzinie. „Tato, dlaczego ty nam nigdy nic nie mówiłeś o naszych korzeniach? Nic nie wiemy o twoim życiu, o życiu naszej babci”. On wiele lat wcześniej przeniósł się ze wsi do miasta. „A o czym miałem im opowiadać? Mnie się wieś kojarzy z brudem i biedą, nie miałem ochoty do tego wracać” – tłumaczył.

Moim zdaniem streścił to, co wielu osobom było bliskie, zwłaszcza tym z powojennego awansu społecznego. Znaleźli się w mieście, zbudowali nową tożsamość i puścili w niepamięć to, czego pamiętać nie chcieli, bo było dla nich za trudne, a dla wielu może wstydlive. Chcieli pozbyć się tożsamości wieśniaka. Przecież to rodzaj piętna, inwektywa. Przecież i na naszym robotniczym podwórku, jak kogoś chciano poniżyć, urazić, to mówiono o nim „wieśniak”. Zresztą mam wrażenie, że podział na miastowych i wioskowych nadal funkcjonuje jako kryterium wartościujące. Wiejskie pochodzenie wciąż utożsamiane jest z zacołaniem, brakiem klasy, manier, a prowincję uznaje się za odpowiedzialną za zło, które przydarza się Polsce.

Moi rodzice, 87-letnia mama i 90-letni tato, przeczytali „Chłopki”. W ich przypadku powróciły obrazy z przeszłości. Mama śmiała się, czytając opisany w „Chłopkach” sposób na brak ciepłej wody do mycia: brało się łyk wody z wiadra do ust, ogrzewało przez chwilę, potem wypływało w dłonie i dopiero myło twarz. Potem tak samo szyję i pod pachami.

– Różne opowieści słyszę na spotkaniach, czasem śmieszne, czasem straszne. Wydało mi się, że niektóre opisane przeze mnie sytuacje są tak drastyczne, że gorzej być już nie mogło, a tymczasem przychodzi ktoś z jeszcze bardziej wstrząsającą opowieścią.

W zeszłym tygodniu we Wrocławku pewna pani opowiedziała o dziewczynie, która służyła u jej dziadków. Mówiono na takie dziewczyny „dziewki”, bo w dwudziestolecie wciąż to feudalne nazewnictwo funkcjonowało, a więc była „dziewka” i „parobek”. Ta „dziewka” została oddana na służbę w wieku 12 lat i było to już kolejne miejsce, bo wcześniej ojciec oddał ją do innej rodziny. Ale uciekła stamtąd do domu. Żeby więc zapobiec kolejnej ucieczce, ojciec tym razem wrzucił ją do worka, zarzucił sobie na plecy i zaniósł na nową służbę. I stąd już nie uciekła, bo nie знаła drogi. Trudno to sobie nawet wyobrazić, a to opowieść z dwudziestolecia międzywojennego, a nie ze średniowiecza.

W świetnym spotkaniu w Wieldzadzu na Kujawach, pierwszym, jakie miałam w świetlicy wiejskiej, pewna pani po osiemdziesiątce opowiedziała o koleżance jej babci, która całe życie rozpamiętywała, jak to kiedyś nie poszła na odrobek do księdza, bo nie miała z kim zostawić trójki dzieci. Ten ksiądz przyszedł do niej do domu z batem i ją wychłostał. To jest dla mnie niezwykle ciekawe: jakie wspomnienia przechowują rodziny i jak owe wspomnienia organizują światopogląd. „Chłopki” to właśnie książka o pamięci.

Ale nie są twoim pisarskim debiutem. Jak sądzisz, dlaczego właśnie ta książka odniosła tak niebywały sukces? Ponad 300 tys. sprzedanych egzemplarzy rzadko się w Polsce zdarza, choć to nie jest wesoła lektura.

– Szczyt sprzedaży przypadł na Boże Narodzenie. Wiem, że kobiety dostawały „Chłopki” pod choinkę, mówią o tym na spotkaniach. Niektóre po dwie sztuki (śmiech). A potem, przy świątecznym stole, wyciągnęły albumy ze zdjęciami rodzinnymi i wspominały.

Słyszczę często, że udało mi się tą książką uruchomić pamięć zbiorową. Wiele czytelniczek i czytelników pisało do mnie, a także słyszałam na spotkaniach, że „Chłopki” stały się dla nich kluczem, według którego formułują pytania do swoich rodzin: Jak babcia z dziadkiem się poznali? Czy łączyła ich miłość, czy byli aranżowanym małże-

„Tato, dlaczego ty nam nigdy nic nie mówiłeś o naszych korzeniach? Nic nie wiemy o twoim życiu, o życiu naszej babci”. Wiele rodzin awansujących społecznie, odcięło się od wiejskich korzeni. Wyrzuciło na śmietnik pamięć o biedzie

stwem? Takich pytań dotąd nie zadawali, bo nie wiedzieli, o co pytać.

Na pewno więcej ludzi odnalazło się w „Chłopkach” niż w mojej poprzedniej książce o służących, po prostu dlatego, że większość z nas ma chłopskie korzenie.

I grupa zawodowa służących była jednak dość ograniczona.

– Oczywiście, a czytając „Chłopki”, każdemu coś dzwoni. Wiele starszych czytelniczek i czytelników uważa, że moja książka to pomnik dla ich matek i babek, a młode dziewczyny twierdzą, że to opowieść o sile kobiet, o tym, jak sobie nasze babcie i prababce świetnie radziły w nieprzyjaznej patriarchalnej rzeczywistości nacechowanej przemocą i niesprawiedliwością. Jakie stosowały strategie, jak obchodziły przeszkody i unikały niebezpieczeństw. Taki odbiór jest dla mnie najważniejszy.

Znasz piosenkę Kayah „Córeczko, wołała-bym, żebyś była chłopcem”? Mam wrażenie, że przed wojną nuciłoby ją wiele kobiet, które urodziły córki.

– Zapewne. Nie mam wątpliwości, że te trudne przeżycia wiejskich dziewcząt z dwudziestolecia międzywojennego wpływały na to, jak one traktowały potem swoje dzieci. My jesteśmy beneficjentami, ale ponieważ też ofiarami takiego podejścia. To jedna z najważniejszych kwestii, jakie wyniknęły z międzywojennego, a także wojennego, doświadczenia kobiet wiejskich.

Pisała o tym Katarzyna Surmiak-Domańska w „Czystce” i rozmawialiśmy o tym. Jej rodzice ze wsi, doświadczeni przez trudne wydarzenia, niewiele z nią rozmawiali o swojej przeszłości. Szybko wskoczyli w tożsamość mieszcuchów i starali się jej przychylić nieba tak, jak to rozumieli. Nie zdecydowali się na kolejne dziecko, aby skupić się na niej, zapewnić jej edukację i rozwój.

I wielu ludzi z pokolenia naszych rodziców podchodziło do wychowywania dzieci podobnie. Mieli obsesję na punkcie ich edukacji. Właściwie nie musiały niczego robić, tylko się uczyć, dziewczynki dodatkowo chodzić na balet, grać na fortepianie albo na kółko teatralne, a chłopcy uprawiać jakiś sport. Komuna organizowała różne emdeki, lodowiska i rodzice tam wozili dzieci. Też pewnie chodziłeś...

Grałem w piłkę w trampkarzach, a mama zapisała mnie też na chór. Pewnie dlatego zbyt długo nie przetrwał...

– U nas było podobnie, moi bracia trenowali boks, judo, starszy skakał na spadochronie, średni miał futbolową obsesję, najmłodszy grał w piłkę, na tym samym co ty boisku, ale to już było dużo później. Z kolei ja we wtorki chodziłam na balet, a w środy na łyżwy. Rodzice rozpieszczali nas, popełniając przy tym masę błędów. Miałam cukierki na zawołanie, a potem się denerwowali, bo nie chciałam już nic jeść, więc zmuszali mnie do jedzenia różnych dań, czasem okropnych, jak cynaderki, tran, nie mówiąc o mleku z kożuchami i szpinaku.

Rodzice chcieli zapewnić nam to, czego sami nie mieli. Niech się rozwija, może coś osiągnie, „będzie kimś”. To był główny mo-

tor napędzający życie wielu ludzi z pokolenia naszych rodziców.

Z drugiej strony, gdy ciągle czytałam, a byłam klasycznym mołem książkowym, moja mama bała się, że w głowie mi się przewróci. Skoro tak ciągle czytam, to na pewno nie będę umiała zajmować się domem. I czy będę dobrą żoną i matką?

Ale na te wszystkie kółka, fortepiany i łyżwy mogły sobie pozwolić w PRL-u jednak tylko rodzice dzieci miastowych, bo na wsiach nie było takich miejsc. Los twojej mamy był inny, bo ostatecznie uciekła ze wsi.

Jako siedemnastolatka pracowała już w biurze we Wrocławiu. Codziennie dojeżdżała pociągiem spod miasta, ale po południu wracała i pracowała w gospodarstwie. W końcu jednak opuściła wieś na dobre.

– Ale wiele kobiet zostało i do końca życia tyrały na roli, choć nawet one miały obsesję na punkcie zapewnienia lepszego życia swoim dzieciom. Harowały już nie tylko po to, żeby jakoś przeżyć, jak dziewczyny w międzywojniu, ale żeby wykształcić dzieci. Szybko zresztą traciły z nimi kontakt, bo ich dzieci mieszkaly przecież w internatach, akademikach albo stancjach. Dorosłały, poznawały miasto, wrastały w nie i siłą rzeczy nie pojawiały się już zbyt często w domu. Potem zakładały rodziny i na wieś już nie wracały. Nikt nie chciał z mieszkania z łazienką wracać do chałupy z wychodkiem, albo i bez, i chodzić za stodołę.

Część dystansowała się od swoich wiejskich korzeni. Ale na drugim biegunie były rodziny, na przykład z mojego bloku, które wyjeżdżały na wieś pomagać w żniwach. Cała rodzina miejska pomagała krewnym na wsi. Te więzi, pamięć o własnych korzeniach, niekiedy więc istniały i były silne. Ta wzajemna pomoc i solidarność, poczucie obowiązku w wiejskich rodzinach często mi imponowały. Dla naszego pokolenia był to już jednak nie tyle obowiązek, ile atrakcja. Fajny wakacyjny przerwany w życiu mieszcucha.

Sam byłem na takich żniwach u rodziny ojca. Do dziś pamiętam, jak skakaliśmy w stodole z belek przy dachu na wielką stertę zwiezionych snopków.

– Fantastyczne przeżycie. Ale poskakałeś z tej belki i potem wyjechałeś do swoich lodowisk i boisk. A twoi rówieśnicy ze wsi tam zostali.

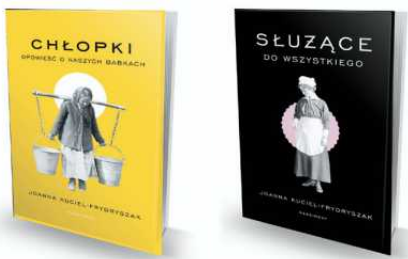
Ty niedawno wyniosłaś się z Wrocławia na stałe, z miastowej stałaś się wieśniaczką.

– Niby tak, ale pola jednak nie uprawiamy, krów nie mamy. We wsi jest jeden koń i kosa. To wieś podmiejska, z pięknym lasem, zaledwie dziesięć kilometrów od Wrocławia, korzystam z miasta, ile się da, a Wrocław nadal jest dla mnie najważniejszym miejscem na ziemi.

Bywasz czasem na naszym podwórku?

– Rzadko. Moi rodzice już nie żyją i to miejsce z jednej strony trochę mnie boli, choć z drugiej budzi dobre wspomnienia.

Bo nasze dzieciństwo, w przeciwieństwie do dzieciństwa naszych rodziców, nie wspominać o dziadkach, było naprawdę dobre. ●



„Chłopki. Opowieść o naszych babkach”, „Służące do wszystkiego” – książki Joanny Kuciek-Frydryszak dostępne w dobrych księgarniach, na stronie wydawnictwa Marginesy i w formie e-booków na Publio.pl

Wybory samorządowe

URZĘDNIICY NIE SĄ JUŻ PANAMI

Na spotkanie z mieszkańcami – oplem, na negocjacje z inwestorami – SUV-em

Z PROF. JAROSŁAWEM FLISEM
ROZMAWIA ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI

Jak działały samorządy w latach 90.?
DR JAROSŁAW FLIS: Po 1989 r. w gminach pojawiła się realna konkurencja polityczna. Samorządność wystartowała na fali entuzjizmu po Okrągłym Stole, lecz powagi nabierała powoli. Dziś jest już stałym elementem naszego krajobrazu. Gdy w 1990 r. pojawiły się pierwsze samorządy w Polsce lokalnej, opierały się na zastanym podziale administracyjnym – ten podział na poziomie gmin nie uległ zmianie. Odziedziczyliśmy po PRL-u gminy, które w odróżnieniu od wcześniejszych gromad miały wielkość idealnie skrojoną pod działanie samorządu. Na przykład w Słowacji każda miejscowość to osobna gmina, wójta wybiera się trochę tak jak u nas sołtysa – w zasadzie przez aklamację, nie ma żadnej rywalizacji politycznej. Wielkość polskich gmin wiejskich, w których skład wchodzi po kilka miejscowości, pozwala na całkiem ambitne działania administracyjne, gospodarcze i społeczne. I co najważniejsze – polityczne: jeśli mieszkańcy mają dosyć wójta, to zawsze pojawi się ktoś, kto rzuci mu wyzwanie i wygra wybory.

Dlaczego ludzie mają dosyć wójta czy burmistrza?

– Słabości i pokusy władzy są zawsze te same – nieudolność, nadużycia, arogancja, nepotyzm i kumoterstwo. Bo nie ściąga inwestorów, nie spełnia obietnic, zatrudnia pociotków w urzędzie gminy albo mnoży sobie wrogów nad potrzebę. Co ciekawe, burmistrzowie i wójtowie przegrywają wybory częściej niż posłowie: 65 proc. wybranych w wyborach w 2006 r. przegrało któreś z kolejnych wyborów: w 2010, 2014 czy 2018 r. Wśród posłów z 2007 r. ten odsetek wynosi 61 proc., z czego wielu z byłych parlamentarzystów awansowało do Brukseli lub zrezygnowało z polityki albo przeniosło się do urzędów miejskich. Mówiąc krótko: praca w Sejmie jest bezpieczniejszą fuchą niż stanowisko w samorządzie.

Pracował pan w samorządzie przez całe lata 90. Jakie to było środowisko?

– Byłem rzecznikiem prasowym prezydenta Krakowa, potem doradzałem małopolskiemu urzędowi marszałkowskiemu. Blisko 30 lat temu władza na poziomie lokalnym dysponowała nieporównywalnie mniejszymi możliwościami niż dziś, nie mówiąc o finansach czy zdobywaniu środków z zagranicy. Zupełnie inaczej wyglądały relacje miast z ogólnokrajową polityką. Na początku rzadko kto przekładał spory z Warszawy na działanie gminy. Mieliśmy raczej do czynienia z licznymi „Towarzystwami Miłośników Wodociągów i Chodników”, a nie z sytuacją, kiedy premier przyjeżdża do miasteczka z kartonowym czekiem i ogłasza współfinansowanie jednej z inwestycji, oczywiście w obecności burmistrza z tej samej partii. Na samym początku prezydenci miast zajmowali się głównie lataniem dziur, nie tylko w drogach, ale też w budżetach.

Pamiętam, że w Krakowie najważniejszym problemem było wówczas dramatycz-

ne wysypisko śmieci, które utrudniało życie sąsiadom. Mieszkańcy w upalne dni blokowali dojazd śmieciarek, ponieważ w okolicy unosił się nie do zniesienia fetor. Albo inny problem: jedno z osiedli było zaopatrywane w wodę z rur, które zostały położone na terenie kombinatu byłej Huty im. Lenina. W efekcie władze przedsiębiorstwa nie remontowały wodociągów, więc z kranów leciała brudna woda. Uczestniczyłem w jednym ze spotkań mieszkańców z prezydentem Krakowa, któremu podało szklankę z żółtawym płynem, pytając: „Panie prezydencie, to jest woda z naszego wodociągu. Może się pan napije?”. Dalej: w magistracie podejmowano decyzję o remoncie jednej z ulic, ale nikt nie miał zamiaru informować o tym mieszkańców. 1 lipca ulicę zamykano, a właściciele małych sklepów podnosili raban w mediach. Powoli przebijała się świadomość, jak istotna jest komunikacja urzędu z mieszkańcami.

A jeśli pyta pan o środowisko, to niczym nie różniło się od dzisiejszych polityków. Sprawowanie władzy powoduje rozrost ego i w konsekwencji oderwanie od rzeczywistości. Wójtami nie zostają przedstawiciele jakiegoś wyjątkowego gatunku ludzi. Lecz przez te lata musieli się mierzyć z narastającą presją wynikającą z doskonalenia się narzędzi komunikacji społecznej. Wiadomo, że pojawienie się telefonów z dostępem do internetu zwiększyło liczbę skarg na spóźnione autobusy. Wcześniej musiał pan siedzieć na przystanku i grzecznie czekać, a dzisiaj – komentuje pan to w mediach społecznościowych lub pisze mail do ratusza. Mam wrażenie, że sukces samorządu wzięły się z coraz surowszych lekcji udzielanych przez mieszkańców po 1989 r.

A jak zmieniły się samorządy po wejściu Polski do Unii Europejskiej?

– Pojawiły się rzecz jasna duże programy i finansowanie lokalnych inwestycji. Doradzałem na przełomie wieków przy pracach nad strategią rozwoju Małopolski, przygotowywaną przez nowopowstały samorząd wojewódzki. Ludzie obawiali się, że naprawdę wielkie pieniądze będą dzielone w niesprawiedliwy sposób, że małe gminy dostaną jakiegoś ochłapy z pańskiego stołu. Proszę pamiętać, że pierwsze środki europejskie trafiły do naszego kraju, kiedy żywa była jeszcze pamięć 49 województw. Obawiano się więc, że tak jak wcześniej skorzystają z nich wyłącznie miasta wojewódzkie. Okazało się jednak, że zarządy wojewódzkie, odpowiedzialne przed sejmikami, w miarę reprezentowały całe regiony, a radni mieli stały wgląd w potrzeby mniejszych miejscowości. Widziałem w gabinetach urzędników mapy województw z powbijanymi chorągiewkami, które oznaczały unijne inwestycje. Było ich nie tylko sporo, lecz były też równo rozłożone. Po naszym wejściu do UE wszystko zaczęło przyspieszać, po kilkunastu latach obudziliśmy się w dosyć bogatym kraju, dzisiaj większość urzędowych spraw możemy załatwić w internecie, zmienił się również w wielu przypadkach sposób traktowania mieszkańców, urzędnicy nie są już „panami”, tylko merytorycznymi pracownikami, których głównym zadaniem jest rozwiązywanie problemów mieszkańców.

No dobrze, ale czy nie mówimy cały czas o dwóch rzeczywistościach? Czy inaczej samorządy działają w takich miastach



rys. JACEK GAWŁOWSKI

jak Warszawa, Poznań czy Gdańsk, a inaczej w Nowej Soli i Zamościu?

– Różnice są widoczne, tylko niekoniecznie w takim kierunku. Na przykład w jednej z małopolskich wsi w trakcie pandemii, kiedy szkoły przeszły na nauczanie zdalne, urząd gminy błyskawicznie zinwentaryzował liczbę komputerów wśród uczniów. W ciągu kilku dni wypożyczono sprzęt z pracowni tym rodzinom, które nie miały swojego sprzętu. Tak szybkie działanie jest możliwe wyłącznie na najniższym szczeblu samorządu terytorialnego. To mit, że większe miasta lepiej radzą sobie z wszystkimi problemami.

Są oczywiście różnice – w metropoliach żyje najwięcej osób z wyższym wykształceniem i większym kapitałem kulturowym, więc tam się koncentrują niektóre usługi. Lecz korzystają z nich nie tylko tamtejsi mieszkańcy. Z badań wynika, że osób z wyższym wykształceniem przybywa najszybciej na wsiach, nawet jeśli większość młodych ludzi wyprowadza się do większych miejscowości. To się różnicuje, bo np. na terenach byłej Galicji mieszkańcy czują większe przywiązanie do rodzinnych miejscowości, do których po studiach w Krakowie częściej wracają. Inaczej jest na Ziemiach Odzyskanych, gdzie związki z „ziemią” są po prostu słabsze.

Postęp techniczny zniwelował też wiele różnic. Mój kolega jako wykładowca na uniwersytecie w Hamburgu w czasie lockdownu przeprowadził się do teściów pod Piotrków Trybunalski, skąd prowadził zajęcia. Jego studenci dziwili się, że kiedy zaczął pracować z Polski, miał lepsze połączenie z internetem.

Czasami z dala od wielkomiejskiego poczucia wyższości łatwiej jest się przebić z nowymi pomysłami. W Jaworznie lokalny pasjonat ruchy drogowego przekonał samorząd do przemodelowania myślenia o transporcie publicznym. Miasto przebudowało skrzyżowania, zainwestowało w ścieżki rowerowe, uspokoiło ruch na ulicach. Skutek: żadnych ofiar śmiertelnych w wypadkach samochodowych.

Czyli najbardziej progresywnym miastem w Polsce nie jest Warszawa z ruchami miejskimi i lewicowymi debatami w kawiarniach, tylko Jaworzno?

– Chodzi o coś innego: w każdej miejscowości może się dziś znaleźć pasjonat, który na bieżąco śledzi nowe idee. I nie spocznie, dopóki nie przekona władzy do zmiany. W konsekwencji nawet najbardziej sceptyczni krytycy zmian w Jaworznie po kilku latach stwierdzili przytomnie, że całe te niestandardowe myślenie ma sens. Inne są też wzory zaangażowania społecznego. Kiedyś byłem na majówce w miejscowości Ruda

na Górnym Śląsku, gdzie akurat był koncert niszowej orientalnej muzyki. Nie był wcale skierowany do turystów czy jakichś „hipsterów” – wśród publiczności dominowali zwykli ludzie, mieszkańcy okolicznych wsi. Na pewno też w małych miejscowościach mieszkańcy częściej kontaktują się z władzą.

Bo wójtom czy radnym jest sąsiad?

– Radny w małej miejscowości ma „do obsługi” mniejszą liczbę mieszkańców niż polityk z Warszawy czy Poznania. Poza tym w większych miastach radni posiadają wyższe wykształcenie, co oznacza także, że nie wychodzą poza własne środowisko, nie utrzymują kontaktu z „ludem”. Z radnymi kontaktują się tylko i wyłącznie przedstawiciele klasy średniej i szeroko rozumianej inteligencji. Inaczej jest w małych miejscowościach – żeby się wyróżnić nie trzeba mieć skończonych studiów, wśród starszych osób już matura otwiera drzwi do grona lokalnych aktywistów. Dlatego w miasteczkach i na wsiach mamy do czynienia z bardziej demokratycznym, szerszym i równościowym kontaktem ludzi z przedstawicielami władzy.

A czy wójtom i burmistrzom zależy na tych kontaktach?

– Kiedyś jeden z lokalnych polityków opowiadał mi, że na spotkania z mieszkańcami jedzie swoim starym oplem, a na biznesowe negocjacje z inwestorami pożyczą od syna nowego SUV-a (śmiech).

Jak Polacy oceniają samorządy?

– Niech przemówią dane: do zmiany władzy dojdzie w co piątą gminie. Samorządy są stabilne, działa w nich demokracja, wyborcy – jeśli chcą – mogą zmienić władzę. Skoro w większości gmin nie zmienia się burmistrz i układ polityczny, to oznacza, że wszystko raczej dobrze działa, czyż nie? ●



FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dr Jarosław Flis

• jest socjologiem, komentatorem politycznym, badaczem polskich samorządów. Przez dziesięć lat pracował w urzędach – miejskim, wojewódzkim i jako doradca w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Obecnie jest związany z Uniwersytetem Jagiellońskim i „Tygodnikiem Powszechnym”

Kamil Fejfer

Pod koniec października „The Guardian” opublikował sondaż z którego wynika, że młodzi ludzie częściej niż starsze pokolenia są gotowe do poświęceń, aby zmniejszyć wpływ na klimat. Badanie przeprowadzono w siedmiu zamożnych krajach europejskich: w Wielkiej Brytanii, Danii, Francji, Niemczech, Włoszech, Hiszpanii i Szwecji.

28 proc. osób w wieku 18-24 lata (generacja Z) jest gotowa „mieć mniej dzieci, niż by chciała”, aby zmniejszyć swój ślad węglowy. Wśród nieco starszych respondentów (25-34 lata, millenialsów vel Y-greków) odsetek wynosi 30 proc. Im starsi badani, tym mniejsze poparcie takiego postulatu. Młodsze pokolenia są też w stanie więcej płacić za podróże lotnicze, żeby zrównoważyć swoje emisje – tak deklaruje 30 proc. osób w wieku od 18 do 34 lat.

No i dieta. Około 20 proc. respondentów w wieku 18-24 jest w stanie zrezygnować z mięsa.

To niejedyne badanie tego typu. Opublikowany w tym roku raport Deloitta wskazuje na podobne zjawisko. Ankieterzy firmy doradczej zapytali millenialsów i „zetki”, jakie działania podejmują, aby zmniejszyć wpływ na klimat. Przypomnijmy, że to pierwsze pokolenie urodziło się między, mniej więcej, pierwszą połową lat 80., a połową lat 90. Pokolenie zetek natomiast przychodziło na świat po od połowy „najtłusów” do mniej więcej 2010 r. Badanie Deloitte objęło ponad 22 tys. osób z 44 krajów. Co się okazało? „Generacja Z oraz millenialsowie podejmują działania w celu ograniczenia zmian klimatu. Siedmiu na dziesięciu respondentów stara się w jakiś sposób zmniejszyć swoje oddziaływanie na środowisko”.

Około 1/3 badanych z generacji Z oraz generacji Y przestało jeździć samochodami. 33 proc. unika fast fashion – czyli ubrań z sieciówek, bardzo tanich, wymienianych co kilka miesięcy. Ale to nie wszystko. 20 proc. respondentów z każdego pokolenia twierdzi, że zrezygnowało z mięsa. Jedna czwarta millenialsów ma mniej dzieci, aby nie szkodzić planecie. Za takim samoograniczeniem jest 19 proc. zetek. Choć warto mieć na uwadze, że spora część generacji Z jeszcze nie jest w wieku, w którym posiadanie dzieci jest w dzisiejszych czasach rzeczą częstą.

W 2020 r. portal WysokiNapięcie.pl opublikował sondaż wykonany na zlecenie Europejskiego Banku Inwestycyjnego, w którym ankieterzy pytali mieszkańców różnych krajów (tu już nie było rozróżnienia na pokolenia) o to, co są w stanie zrobić w celu zmniejszenia swojego śladu środowiskowego. Okazało się, że 73 proc. badanych Polaków planuje korzystać z transportu publicznego, 75 proc. ma zamiar rzadziej latać samolotem na wakacje. Zapamiętajcie państwo ten obraz deklarowanych wyrzeczeń.

Czy więc jesteśmy na drodze do powstrzymania katastrofy klimatycznej przez zmiany nawyków?



• Czerwiec 2023, Częstochowa, Młodzieżowy Strajk Klimatyczny pikietuje, domagając się wprowadzenia do szkół edukacji klimatycznej

OD JUTRA ZADBAM O PLANETĘ

„Zetki” mówią: zamierzam nie jeść mięsa, nie latać, nie mieć dzieci. Ale między „zamierzam” a „nie jem”, „nie latam”, „nie płodzę” jest różnica

Zwłaszcza młodych ludzi? Cóż – zdecydowanie nie.

Zwyczaj się mówi, że to głównie młodemu pokoleniu, zwłaszcza generacji Z leży na sercu dobro planety. To oni będą podejmować i już podejmują proklimateczne wybory. Jeśli jednak przyjrzemy się danym, sprawa staje się zniuansowana.

Zacznijmy od różnic między pokoleniami. Wspomóc nas może sondaż z „Guardiana”. Zwróćmy uwagę na pewien szczegół: otóż w odpowiedziach zostały zsumowane podjęte już działania z tymi, które respondenci „zamierzali podjąć”.

Czym innym jest stwierdzenie „nie jem mięsa”, a czym innym „zamierzam ograniczyć jedzenie mięsa”. Być może na przykład 7 proc. najmłodszych nie je mięsa, a pozostałe 13 proc. zamierza ograniczyć. Albo twierdzi, że zamierza, a wcale tego nie robi. Kiedy mamy do czynienia ze sprawami, które podlegają społecznej ocenie, osoby odpowiadające ankieterowi mogą po prostu koloryzować. Ba, niemała część z nas sama siebie będzie trochę okłamywać po to, żeby czuć się nieco lepiej.

Wróćmy do liczb. Chociaż skupiamy się na młodych dorosłych, to z sondażu nie wynikają gigantyczne różnice między pokoleniami. Są zauważalne, ale nie są rażące. Pamiętacie państwo, że 30 proc. osób w wieku 18-34 lata jest w stanie więcej płacić za loty, żeby zrównoważyć swoje emisje? W przypadku ludzi 45-54 lata odsetek ten wynosi 25 proc. Różnica 5 punktów. Wśród najbardziej konserwatywnego pokolenia – osób 65+ – 22 proc. jest gotowych kupić droższe bilety. Przypomnijmy, że dla klimatu zrezygnowało (lub planuje, kiedyś, może...) z je-

dzenia mięsa około 20 proc. najmłodszych. Ale w najstarszej grupie to niewiele mniej, bo 14 proc.

Największe rozbieżności w proklimatecznych postawach widać w chęci posiadania dzieci. 30 proc. millenialsów planuje mniej potomstwa. W przypadku osób 65+ – 12 proc. Ale po pierwsze, osoby 65+ już nie będą miały dzieci (pomijając bardzo niewielki odsetek mężczyzn). Dla nich pytanie może się wydać nieco zabawne. Bo co mieliby zrobić z tym potomstwem, które już mają? Po drugie, kiedy dzisiejsi „silverzy” byli w wieku rozrodczym, tematyka klimatyczna nie była tak popularna. Nie tylko chodzi o to, że 3-4 dekady temu nie przedzierała się ona do mainstreamu; po prostu znacznie mniej o tym problemie wiedziliśmy w ogóle.

Pozostańmy przy kwestii dzieci. Bo być może jest tak, że ludzie, którzy twierdzą, że ograniczają się ze względów klimatycznych, robią to z innych powodów, a później jedynie doszyszą szlachetne uzasadnienie. Ryzykowna teza? Kto mógłby wiedzieć lepiej jakie są motywacje ludzi niż oni sami?

No to spojrźmy na dane. Tzw. współczynnik dzietności, mówiący o tym, ile statystyczna kobieta w wieku rozrodczym rodzi dzieci, spada przynajmniej od lat 60. W Polsce wynosi obecnie poniżej 1,3, co przed demografów jest nazywane skrajnie niską dzietnością (ta zaczyna się poniżej 1,5). Z zastępowalnością pokoleń mamy do czynienia, kiedy współczynnik dzietności wynosi 2,1. Wtedy liczebność społeczeństwa ani nie wzrasta, ani nie maleje..

Po raz ostatni z dzietnością na poziomie zastępowalności poko-

leń w naszym kraju mieliśmy do czynienia na przełomie lat 80. i 90. To nie jest tylko polska specjalność. Spadek podąża za bogaceniem się społeczeństw i emancypacją kobiet. Obecnie żaden, poza Izraelem, kraj wysoko rozwinięty nie ma zastępowalności pokoleń. Mało tego, spadek dzietności nie jest zarezerwowany do krajów, które uważamy za rozwinięte.

Według platformy OurWorldinData na początku lat 60. współczynnik dzietności dla całego globu wynosił 5,3. Dzisiaj 2,3. W najbliższych dekadach spadnie poniżej 2,1. I kilka dekad później liczebność populacji albo się ustabilizuje, albo zacznie spadać.

A więc jednak. Mamy do czynienia z istniejącym od dekad trendem, do którego teraz doszyszamy interpretację „poświęcenia dla planety”.

Przyjrzyjmy się teraz sondażowi Deloitte. Respondenci mówili w nim, że są w stanie zrezygnować z samochodu dla klimatu. Tylko że mamy do czynienia ze zjawiskiem nieco podobnym do dzietności. Młodzi rzadziej (przynajmniej w USA) niż kiedyś robią prawo jazdy. Tylko że trend stał się zauważalny jeszcze przed popularyzacją tematyki klimatycznej. O różnicach w odsetku osób z pokolenia Z i ich rodziców w kwestii wyrabiania prawa jazdy w USA pisała Jean Twenge w książce „iGen”.

Oczywiście całkiem możliwe, że sporo osób rezygnuje z samochodu właśnie z powodów klimatycznych. Warto jednak zawsze mieć na uwadze większy obrazek. A ten jest następujący – mamy do czynienia z megatrendami, które rozpoczęły się wcześniej niż upowszechniły się proklimateczne po-

stawy. Idźmy dalej w tej dość cynicznej analizie.

Przypomnijcie sobie państwo wyniki sondażu Deloitte, w którym 33 proc. zetek i 37 proc. millenialsów twierdziło, że unika fast fashion? Cóż, jeśli spojrzymy, kto jest głównym konsumentem tego segmentu mody to będą to... Tak, dobrze się domyślacie – głównie osoby młode, częściej kobiety niż mężczyźni.

Badanie przeprowadzone w Stanach na zlecenie firmy ThredUp ujawnia, że ponad 70 proc. studentów w 2022 r. planowało kupić ubrania na „sezon powrotu do szkoły”. A dwie na pięć spośród osób studiujących twierdziła, że kupuje ubrania na imprezy wiedząc, że założy je tylko raz.

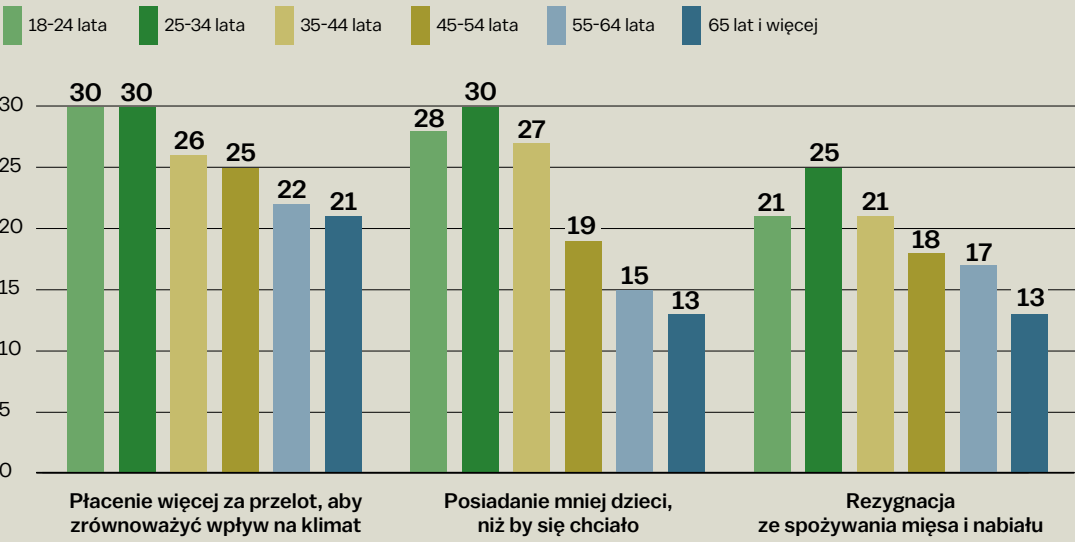
To zjawisko rozjazdu między deklaracjami i zachowaniami ma nawet nazwę: paradoks fast fashion. Trudno zresztą uwierzyć w odejście młodych od zwyczaju kupowania nowych kolekcji – wystarczy wyjść na ulicę i obserwować „stylowy”, które zmieniają się kilka razy w roku. To oczywiście nie oznacza, że nie rośnie popularność second handów – tak się rzeczywiście dzieje. Ale proces ten na razie nie jest w stanie zagrozić „szybkiej modzie”.

W 2021 r. popularna publicystka Terry Nguyen w portalu Vox.com gorzko diagnozowała, że pokolenie Z nie zna świata bez fast fashion. Wszyscy oni dorastali w świecie, gdzie tempo rotacji ciuchów w sieciówkach może przyprawić o zawrót głowy. Do tego młodsze pokolenia – millenialsowie i zoomerzy – są zanurzone w świecie mediów społecznościowych, w których branża modowa jest jedną z najbardziej obecnych.

Szczególnie właśnie osobom młodym, z natury nieco bardziej

Odsetek osób, które są skłonne zmienić swój styl życia, lub już go zmieniły, aby przeciwdziałać zmianom klimatu

Dane w proc.

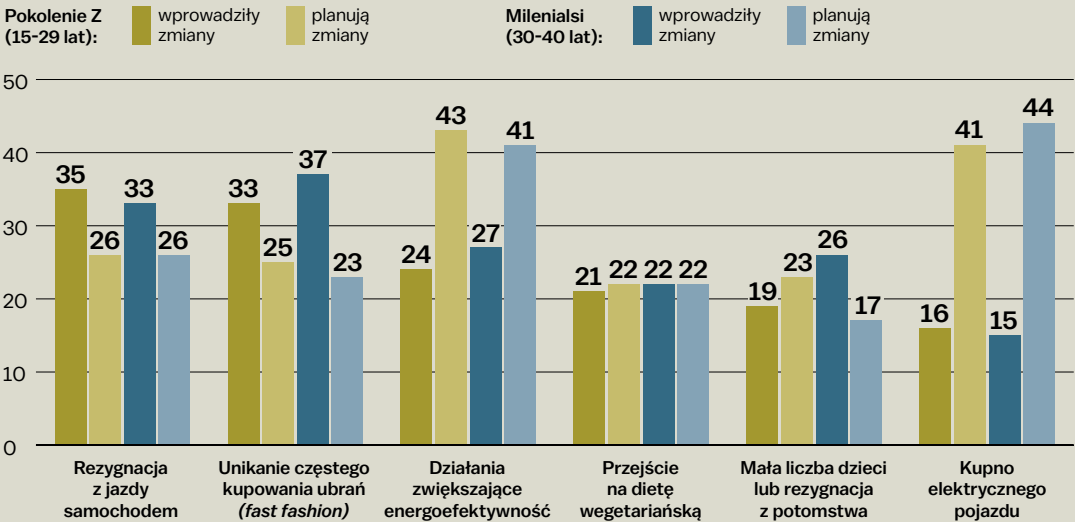


© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: THE GUARDIAN

Odsetek osób, które podjęły działania lub planują to zrobić w przyszłości w celu zmniejszenia własnego wpływu na środowisko

Dane w proc.

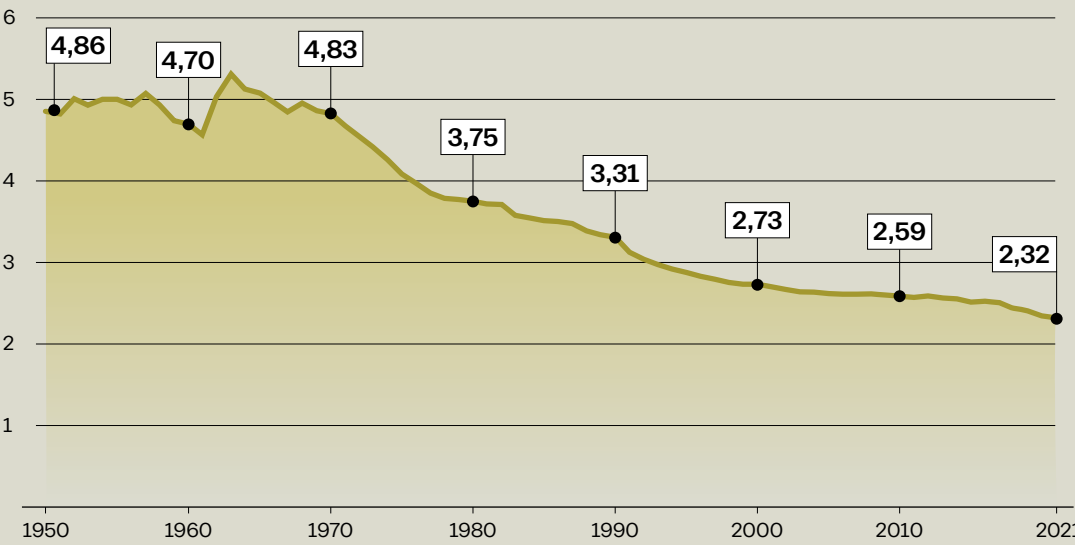


© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: DELOITTE

Globalny współczynnik dzietności

Współczynnik określający przeciętną liczbę dzieci, które urodziłyby kobieta w ciągu całego okresu rozrodczego przy założeniu, że w poszczególnych fazach tego okresu rodziłyby z intensywnością obserwowaną wśród kobiet w badanym roku



© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: ONZ, WORLD POPULATION PROSPECTS

konformistycznym, a więc i bardziej wyczulonym na nowości i trendy, trudno jest przeciwstawić się tak ogromnej kulturowo-biznesowej machinie. Są więc w niewygodnej sytuacji – z jednej strony zdają sobie sprawę, że fast fashion jest branżą szkodliwą dla środowiska, z drugiej kusi ich natychmiastowa dostępność tanich i modnych rzeczy, z trzeciej trudno jest nie brać udziału w grze, w którą grają niemal wszyscy dookoła.

Ten rodzaj niekoherencji między deklaracjami a rzeczywistością nie odnosi się jedynie do osób młodych (ani do tego jednego tematu). Przypomnijmy, że 3/4 an-

kietowanych Polaków „planowała” korzystać z transportu publicznego, żeby zmniejszyć swój ślad węglowy. A ile obecnie korzysta? Jedna trzecia badanych! Cóż, jesteśmy wielkimi zwolennikami podejmowania działań proklimatycznych. Ale w nieskonkretyzowanej przyszłości.

Zróbmy jeszcze reality check deklaracjom chęci zmniejszenia częstotliwości korzystania z usług firm lotniczych. 75 proc. Polaków zamierzało rzadziej latać – tak wyglądały deklaracje w 2020 r. A rzeczywistość? W 2004 r. we-

Ważniejsze niż poglądy, jeśli chodzi o ślad węglowy, jaki po sobie zostawiamy, okazują się wykształcenie i dochód. Dobra wola bywa po prostu zbyt słaba, żeby przezwalczyć nasze pragnienie wygody

dług GUS liczba pasażerów lotniczych wyniosła 3,7 mln. W przedpandemicznym roku 2019 już niemal 22 mln, co stanowi wzrost o... 500 proc. W roku 2020 w wyniku lockdownów liczba podróży spadła do wartości sprzed 16 lat. Ale już w zeszłym odbudowała się do 13 milionów. A operatorzy lotnisk mówią, że liczby lotów w bieżącym roku – porównując analogiczne okresy – przebiły te notowane w rekordowym 2019. Znow – deklaracje swoje, a czyny swoje.

Oczywiście można postawić hipotezę, że za trendami rosnącej konsumpcji fast fashion czy zwiększającej się liczby lotów stoją jedynie ci, którzy nie deklarowali chęci powściągnięcia swoich zwyczajów. Byłaby ryzykowna, jednak dopóki nie mamy dokładnych danych, takiego scenariusza wykluczyć się nie da. Choć z doświadczenia życiowego można wnosić, że jest mało prawdopodobny. Ale jest tu coś jeszcze – otóż dla klimatu nie ma większego znaczenia kto konsumuje. Istotne jest to, że zwiększamy – jako ludzkość – emisje.

Na inny paradoks związanej z „prywatyzacją” emisyjności wskazywała badaczka Andrea Tabi. W 2013 r. opublikowała wyniki niezwykle ciekawego badania, w których przyjrzała się śladowi węglowemu osób o poglądach proklimatycznych oraz tych, które nie podzielały „zielonego entuzjazmu”. Co się okazało? Że obie grupy nie różnią się, jeśli chodzi o emisje. A dlaczego? Ponieważ ważniejszy niż poglądy, jeśli chodzi o emisyjność, okazuje się dochód. Im jesteśmy zamożniejsi, tym więcej konsumujemy, a im więcej konsumujemy, tym bardziej zwiększamy emisje. Tymczasem osoby o poglądach proekologicznych z reguły są lepiej wykształcone. A wyższe wykształcenie koreluje z dochodem.

Dobra wola bywa po prostu zbyt słaba, żeby przezwalczyć nasze pragnienie wygody. Większość osób, którym bliskie są kwestie klimatu, jest uwięziona w czymś w rodzaju paradoksu fast fashion – z jednej strony wiedzą, że spora część ich aktywności generuje emisje. Z drugiej chcą po prostu wygodnie żyć. I tak jak w przypadku młodych zanurzonych w świecie sieciówek – trudno jest im się oprzeć dominującemu wzorcom zachowań. Porzucenie wakacji nad ciepłą wodą, rezygnacja z nowego modelu telefonu, playstation, nowszego samochodu jest również w pewnym sensie rezygnacją z uczestnictwa w kulturze i jej praktykach – rozmowach o włoskich pizzeriach, specyficznym zapachu Nowego Jorku, nowych grach, oryginalnych urlopowych miejscówkach. Poza tym większość z nas myśli – i ma rację – że przecież jeśli cały rozwinięty świat żyje w ten sposób, to nasz indywidualny sprzeciw tak naprawdę niewiele zmieni.

Wiemy więc, że to co robimy, ma konsekwencje. Ale wiemy też, że nasze czyny mają pomijalne znaczenie w porównaniu do ogromnych trendów na świecie. Nawet jeśli nie znamy globalnego wolumenu emisji (około 39 mld ton CO₂ wygenerowała ludzkość w 2022 r.), nawet jeśli nie znamy naszej prywatnej emisyjności (polskie emisje per capita to około 8 ton rocznie), to wy- czuwamy, że nasz prywatny wkład

w zmiany jest niemal niezauważalny; w emisyjnym obrazku jesteśmy niczym ziarenka piasku na pustyni. Jednocześnie sami chcemy się czuć ze sobą dobrze, za takich chcemy uchodzić przed ankieterami, więc w sondażach odpowiadamy tak, jak sądzimy, że powinno się odpowiadać.

Czy to wszystko więc oznacza, że postawy związane ze zmianami klimatu nie mają znaczenia? Przecież od wielu aktywistów można usłyszeć: „Twój wybór nic nie zmieni, ale już wybór 1000 takich jak ty...”. Owszem – ale nasze dobre chęci działają nieco inaczej, niż byśmy chcieli. Bo nawet jeżeli młodsze (i starsze) pokolenie nie jest konsekwentne w we wdrażaniu deklarowanych postulatów, to takie poglądy czynią miejsce na coś, co naprawdę działa – na polityczne interwencje, regulacje, inwestycje w zielone źródła energii, infrastrukturę i ograniczanie emisyjności gospodarki.

Jak pisała Terry Nguyen w Vox, zmiany modeli biznesowych w samych firmach odzieżowych zachodziłyby bardzo powoli, jeśli miałyby być napędzane tylko zmianami preferencji klientów. Nic w tym dziwnego – korporacje odzieżowe mają przecież ogromne budżety reklamowe, które pozwalają im wpływać na te postawy. Mogą również udawać, że są „zielerisze” niż są, korzystając z asymetrii informacji – ich klienci przecież nie muszą znać się na łańcuchach dostaw. Jednym z dobitnych przykładów tego zjawiska jest stanowisko norweskiego rzecznika praw konsumentów, który w 2018 r. skrytykował marketing kolekcji „Conscious Collection” H&M jako „wprowadzający w błąd”, wskazując na greenwashingowe praktyki korporacji.

Co innego jednak z mocą wpływu na rzeczywistość za pomocą regulacji. Pozytywnym przykładem tego typu inicjatyw jest unijne prawo zmuszające producentów elektroniki do wydłużania gwarancji i nakładające na nich obowiązek ułatwiania naprawy. Być może takie rozwiązania pojawiłyby się spontanicznie w wyniku nacisku grup konsumenckich. Tego typu impulsy są jednak nieporównywalnie słabsze niż stare dobre interwencje państwa (lub Unii Europejskiej).

Ogromna część walki ze zmianami klimatu zresztą będzie dotyczyć nie tyle zmiany naszych zwyczajów (choć i tego nie da się uniknąć), ale zmian reżimu wytwarzania energii. A to już niemal wyłącznie domena megatrendów, na które poszczególni konsumenci nie mają praktycznie żadnego wpływu. Chyba, że stanowią siłę polityczną.

A jednocześnie – i tu wracamy do deklaracji, choćby nierealizowanych – aby dokonały się zmiany polityczne, potrzebna jest zmiana mentalności, która przełoży się (znow kłania się, prócz szczerości poglądów, chęć wypadnięcia dobrze we własnych oczach) na decyzje przy urnach wyborczych). I jeśli nawet na końcu i tak są nudne wdrożenia za pomocą politycznych decyzji, to im więcej osób zdaje sobie sprawę z tego, jak pilna jest kwestia ograniczania naszej emisyjności, tym lepiej. Nawet jeśli w sondażach mówią jedno, a w życiu codziennym robią coś innego. ●

WSZYSTKICH NIE WPUŚCIMY

Jakiś kompromis migracyjny to brudny deal? Kto tak uważa, nie jest aktywistą. Jeśli chcesz zmienić czyjś świat na lepsze, to maksymalizujesz korzyści dla największej możliwej grupy. Bezkompromisowość w kwestii spraw człowieka jest słuszną, bezkompromisowość w kwestii własnych poglądów i intuicji moralnych jest szaleństwem

Z **JOHNEM DALHUISENM**, BYŁYM
DYREKTOREM AI W EUROPIE,
ROZMAWIA **MAŁGORZATA TOMCZAK**

MAŁGORZATA TOMCZAK: Europa nie radzi sobie z nieregularną migracją; społeczeństwo żąda kontroli granic i politycy muszą to zapewnić; organizacje humanitarne stawiają niemożliwe postulaty, ignorując polityczne realia. Takie tezy głosi pan co najmniej od 6 lat. I takie prognozy: jeśli tak dalej pójdzie, to: prawa uchodźców ulegną erozji; organizacje humanitarne znajdą się na marginesie debaty; Europa skręci ostro w prawo.
JOHN DALHUISEN: – Bardzo się myliłem? Już wtedy skala migracji była wielkim problemem dla większości wyborców. I paliwem dla skrajnej prawicy, w programach której w ogóle nie ma praw człowieka.

Obawiałem się, że jeśli coś się nie zmieni, to populiści wejdą do głównego nurtu i spowodują efekt domina w systemie praw człowieka, w praworządności. Oczywiście, są różne trendy – w Polsce akurat się odwrócił – ale sukces skrajnej prawicy jest już faktem.

Myślałem też o roli organizacji praw człowieka. Czy dociera do nich, jak wielkim wyzwaniem jest masowa migracja, strach przed nią i polityczne skutki? Czy rozumieją, że zdecydowana większość wyborców – w Europie, w USA, na całym świecie – w dylemacie: „granice humanitarne i nie-szczelne vs. kontrolowane i okrutne”, zawsze wybierze to drugie? Jeśli organizacje promigracyjne nie przyjmą tego do wiadomości, to nic więcej nie osiągną. A co gorsza, stracą to, co już osiągnęliśmy. Skończymy z dużo gorszymi rozwiązaniami.

W 2018 r. mówił pan: „Jeśli nie idziesz na kompromisy, przegrywasz”, broniąc umowy UE z Turcją, którą organizacje humanitarne ostro krytykują.

– Bo nie przyjmują do wiadomości, że alternatywą było coś znacznie gorszego. Mogliśmy to zobaczyć w 2020 r., gdy Erdogan postanowił zerwać umowę i wywołał kryzys na granicy z Grecją. Reakcją Grecji i UE nie było „och, umowa nie obowiązuje, powitajmy wszystkich i rozdzielmy sprawiedliwie po całej Europie”. Tylko: odepchnijmy ich, możliwie brutalnie. Von der Leyen polecała do Grecji i nazwała ją „tarczą Europy”.

A w kolejnych latach było tylko gorzej. Jeśli organizacje wciąż uważają, że kryzys migracyjny rozwiążą „solidarnością”, to każdy rząd się z nimi nie zgodzi. Polska, Włochy, Grecja, Chorwacja – kwestia tylko tego, czy robi push-backi, czy powstrzymuje łodzie.

W Polsce rząd się zmienił, push-backi zostały. NGO-sy walczą, spotykają się

z politykami. Niektórzy nawet coś im obiecują, akurat ci mniej znaczący.

– Tusk jest w identycznej sytuacji jak Biden i zrobi dokładnie to samo: nie zaryzykuje utraty władzy przez nieregularną migrację. Obaj będą realizować politykę swoich poprzedników. Będąc w opozycji, mogli ją krytykować, przynajmniej w rozmowach z zaprzyjaźnionymi organizacjami. A teraz nie mają wyboru i będą ją kontynuować. No, chyba że znajdą alternatywę – taką, która pozwoli jednocześnie kontrolować granice i nie łamać prawa.

Czy komuś na tym zależy? Czy nie łatwiej jest po prostu łamać prawo?

– Zdziwi się pani, ale większość centrowych polityków wołałaby tego nie robić. A w każdym razie nie tak spektakularnie. To jest kwestia estetyczna. Tuski, Scholze i Macrony tego świata lubią przestrzegać praw, bo to odróżnia ich do Orbanów, Kaczyńskich i Sunaków tego świata. Wróc, nawet brytyjski premier Rishi Sunak całkiem lubi praworządność. Ale najbardziej wszyscy lubią wygrywać wybory. A do tego potrzebują dziś bardzo szczelnych granic i ograniczenia migracji. Jeśli więc postulaty organizacji humanitarnych sprowadzają się do „no borders”, to oczekiwanie, że poprą je politycy z ambicją rządzenia, jest nierealne.

Organizacje powtarzają: „Nikt nie mówi, żeby przyjąć wszystkich. Potraktujmy ich humanitarnie, przyjmijmy wnioski, przyjmijmy azyl tym, którzy się kwalifikują, a resztę deportujmy”.

– Konsekwencją takich postulatów jest polityka otwartych granic, nawet jeśli wprost się tego nie powie. Zakładając, że każdy może do Europy w ten sposób przybyć, przyjmujemy też, że prawie każdy może zostać.

Tak to się kończy, bo deportacje są trudne, drogie, często niewykonalne i obejmą garstkę tych, którzy nie dostaną azylu. Może oprócz migrantów z Gruzji czy Albanii, z którymi obowiązują umowy repatriacyjne. Ale już np. z Włoch do wszystkich krajów Afryki Subsaharyjskiej odsyła się mniej niż 1 proc. osób. Te pozornie logiczne postulaty tylko zaciemniają obraz sytuacji.

Organizacje muszą się zastanowić, jak może wyglądać praworządna polityka graniczna. Humanitarna i mocno ograniczająca nieregularną migrację. Aktywiści unikają takich pytań. Z różnych powodów, m.in. z ideologicznej i moralnej intuicji, że „ludzie powinni móc dostać schronienie tam, gdzie chcą”. W tej intuicji mieści się poczucie, że „tym miejscem powinien być nasz kraj”.

Te intuicje wywodzą się z prawa azylowego – każdy powinien mieć możliwość poproszenia o ochronę na granicy. Ale jeśli się rozpędzimy, to rozwijamy dość anarchistyczną, neoliberalną koncepcję migracji i wszystko,



co ją ogranicza stanie się problemem. Mieszanie intuicji i poglądów z prawem prowadzi do postulatów, które są ideologią, fantazją albo nieuczciwą interpretacją prawa międzynarodowego.

W jakim sensie nieuczciwą?

– Mówienie: „umowy z krajami trzecimi są niezgodne z prawem”, „Transfery azylantów do Rwandy będą nielegalne”, to fałszywe utożsamianie z prawem moralnej intuicji, że „każdy powinien mieć możliwość uzyskania azylu w Europie, jeśli tu przybędzie”. A prawo nic takiego nie mówi.

Weźmy dyskusję wokół umowy z Rwandą. Brytyjskie sądy – w każdej instancji – wyraźnie orzekły, że przenoszenie azylantów do innych krajów nie łamie prawa, pod warunkiem, że to faktycznie kraje bezpieczne. „Bezpieczne” definiujemy nie na podstawie swoich skojarzeń i odczuć, ale jako sprawiedliwe procedury azylowe, warunki do godnego życia i ochronę przed odesłaniem w inne niebezpieczne miejsce.

Jeśli w Rwandzie te warunki są spełnione, to odsyłanie tam azylantów nie narusza ani Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, ani Konwencji Genewskiej o uchodźcach. Jednak w dyskusji 99 proc. miejsca zajmują NGO-sy, organizacje pozarządowe, które odrzucają cały pomysł i nieuczciwie to argumentują. Naginają wykładnię prawa pod swoje moralne zasady i polityczne postulaty.

Umowy z krajami trzecimi mają bardzo złą sławę. W dyskusji wszystko wrzucamy do jednego worka: Rwandę z Albanią i Turcją; Maroko i Tunezję z Libią.

– Bo debata o migracji to wielki balagan. Wielu zwolenników liberalnych rozwiązań – nawet UNHCR – sprowadza wszystko do „eksternalizacji”. Stała się ona symbolem czegoś złego – każda „eksternalizacja” jest okrutna, nieetyczna i tak dalej. Odrzucane są po prostu wszystkie rozwiązania, które uniemożliwiają faktyczny postulat NGO-sów: by migranci mogli ubiegać się o azyl tam, gdzie chcą. Umowy z krajami trzecimi właśnie to uniemożliwiają. Rozumiem, że mogą się nie podobać, ale to nie upoważnia do nazywania ich „niezgodnymi z prawem”.

Jeden z polskich publicystów nazwał pomysł odsyłania do Rwandy „koszmarem Europy, która gorączkuje i sama już nie wie, co mówi”.

– Jak mówię, może się nie podobać. Rwanda to mniej optymalne miejsce niż Niemcy, Włochy czy Wielka Brytania. Bardzo łatwo jest to demonizować i oczywiście, głupotą byłoby reklamować jako raj na ziemi.

Obecna umowa Wielkiej Brytanii z Rwandą dąży do zapewnienia tam dobrych standardów azylowych. Do Rwandy już przybywają uchodźcy, np. transferowani przez ONZ z Libii. Po upadku Kabulu przeniosła się tam dość znana afgańska szkoła. To miejsce, w którym wiele osób może uzyskać ochronę i normalnie funkcjonować. Świetnie rozumiem, dlaczego ktoś wołałby żyć Wielkiej Brytanii czy Niemczech. Trzeba jednak myśleć o polityce migracyjnej w szerszej perspektywie.

Usuwanie z Europy milionów ludzi, których nie chcemy. To budzi przerażające skojarzenia.

– Ale celem nie jest zbudowanie gigantycznej kolonii uchodźców w Rwandzie. Celem jest zamknięcie szlaku. Kto będzie płacić 5-10 tysięcy dolarów, by dostać się do Francji i kolejne 4 tysiące, by przepłynąć Kanał, skoro trafi do Rwandy? Bez sensu. Po kilku miesiącach szlak się zamyka i przenosi się niewiele osób.

Odpowiem znanym hasłem: „nieregularnej migracji nie da się zatrzymać”.

– Oczywiście, że się da. I to skutecznie, jeśli zastosuje się okrutne rozwiązania. Australia zatrzymała nielegalną migrację. Izrael ograniczył ją prawie do zera. Orban sobie z nią poradził. Grecja, po umowie z Turcją, znacznie ją ograniczyła. Sposoby są dwa: bezwzględna brutalność albo sprawienie, że podróż traci jakikolwiek sens. Sukcesem Europy było stworzenie systemu, który nie będzie, tak jak Nauru, piekłem na ziemi. Rwanda nim nie jest.

Wielka Brytania mogłaby też zawrzeć umowę z Francją i automatycznie odsyłać



• Listopad 2022, migranci uratowani przez rybaków dopływają do portu Paleochora na Krecie

FOI: REUTERS/STRINGER/FILE PHOTO

tam wszystkie przyplływające osoby. W zamian za to relokowałyby do siebie taką samą ilość uchodźców z Francji. Oczywiście, łatwiej jest zamykać szlaki, które trudno przekroczyć niewykrytym. Trudno przepłynąć Kanał czy Morze Śródziemne niezauważonym – większość jest łapana, uratowana albo zawrócona. Kontrola szlaków lądowych jest trudniejsza.

Zamykanie szlaków morskich komentuje się hasłem: „To droga donikąd. Jeden szlak się zamyka, otwiera się inny”.

– Tak, teoria balona, który ściśnięty w jednym miejscu, wyrzusza się w innym. To mało przydatna generalizacja i sprowadzanie debaty do bezradności. Oczywiście, gdy w jednym miejscu zwiększy się kontrola, a jest możliwość wykorzystania innego, to część ruchu się tam przekieruje. Ale po pierwsze, konkretnym krajom udało się konkretne szlaki pozamykać. Po drugie, nawet jeśli nie zamkną, to mocno ograniczyć. Ograniczona migracja w jednym kraju UE nie rozwiązuje problemu całej UE, ale dane go kraju, już tak. Nieco go odciąży, uspokoi ludzi i polityków.

Zamykanie szlaków to stopniowy i skalowalny proces. Argument, że „w ogóle nie działa”, bo dotarło 20 tysięcy osób, gdy wcześniej 200 tysięcy, jest mało przydatne. „Nie da się kontrolować” to typowy frazes do krytyki kontroli granic. Aktywiści nie lubią kontroli jako takiej, więc krytykują za pomocą różnych argumentów. Niestety, ten akurat nie prowadzi do konkluzji „OK, racja, skoro i tak w pełni nie kontrolujemy, to rozbierzmy mur i wpuśćmy ludzi”. Raczej do lęku i bezsilności, co jest dobrym podłożem pod jeszcze radykalniejsze rozwiązania.

Powtórzę: szlaki morskie kontroluje się lepiej niż lądowe. To proces stopniowy, a nie zero-jedynkowy. Sukces nie oznacza, że od czasu do czasu nie będą pojawiały się kryzysy. Rozwiązania będą udoskonalane i mogą zmieniać się w czasie.

Porozmawiajmy więc o sposobach zamykania szlaków. Innych niż push-backi.

– Są trzy główne scenariusze: umowy powrotowe z krajami pochodzenia, cofanie

Zdecydowana większość wyborców – w Europie, w USA, na całym świecie – w dylemacie: „granice humanitarne i nieszczelne vs. kontrolowane i okrutne”, zawsze wybierze to drugie

migrantów do kraju tranzytu, transfer do bezpiecznych krajów trzecich.

Po pierwsze, poszczególne kraje muszą zawierać umowy deportacyjne. Najważniejsze są te z państwami z największym odsetkiem imigrantów i niską uznawalnością ich wniosków azylowych. Żeby były egzekwowalne, te kraje muszą współpracować. Nie osiągniemy tego tylko strategią kija – np. groźbami wstrzymania dotychczasowej współpracy. Trzeba tym państwom coś zaoferować: liberalizację wizową i więcej legalnych ścieżek migracji, np. wizy dla studentów czy pracowników sezonowych, różne inwestycje. Trzeba szukać porozumień, które odpowiedzą na potrzeby danego kraju, tak, jak robią to właśnie Niemcy z Marokiem czy Grecja. Teraz wiele osób przyplwają do UE z Gambii i większość nie dostaje ochrony – trzeba zastanowić się, jak skłonić taką Gambię do współpracy.

Po drugie, są umowy powrotowe do krajów tranzytu, czyli np. unijne porozumienie z Turcją. Po trzecie, pomysł umów transferowych, czyli np. z Rwandą. I te dwa modele wymagają współpracy z tymi krajami, by stawały się bezpieczne.

Umowa z Rwandą jeszcze nie działa, ta z Turcją działa od 8 lat. I jest do niej dużo zastrzeżeń – dyskryminacja uchodźców, fakt, że wielu grozi deportacja, np. do Syrii.

– W tę stronę powinniśmy prowadzić debatę, by była konstruktywna. W kraju X jest problem – np. odwieczna dyskrymina-

cja grupy etnicznej Y albo ryzyko deportacji obywateli Z, choć wojna w ich kraju wciąż trwa. W takim razie, X ewidentnie nie jest krajem bezpiecznym dla Y. Czy może być bezpieczniejszy dla Z? Czy można egzekwować zaprzestania deportacji, przestrzegania standardów, do których się w umowie zobowiązał?

I to są zadania dla organizacji humanitarnych – wzmacnianie standardów i pomocy w krajach trzecich, współpraca z różnymi aktorami, państwowymi i pozarządowymi. To, co zresztą na dużą skalę robią na całym świecie. Dobrze byłoby, gdyby organizacje w Europie, zamiast odrzucać wszystkie pomysły „bo tam wszędzie jest piekło”, „bo to jest niemoralne”, poszły w stronę: „co konkretnie należy zrobić, i gdzie, by stawały się coraz bardziej bezpieczne”. Oraz: „poszukajmy kolejnych bezpiecznych krajów i działajmy tam”.

O jakich krajach bezpiecznych możemy mówić?

– To jest proces i on nie będzie zero-jedynkowy. Mogę wyobrazić sobie, że jeszcze nie dziś, ale w przyszłości, takim krajem stanie się Tunezja. Już dziś, dla dość szerokiej grupy uchodźców, może być nim Maroko. Nie dla wszystkich – nie dla osób LBGT i tych, którzy chcą być bardzo aktywni politycznie, ale dla wielu szukających bezpiecznego miejsca, już tak. Mogą być nimi kraje bałkańskie. Wyobrażam sobie też taki system w wielu krajach Ameryki Południowej – np. Paragwaj mógłby oferować przyjmowanie osób nielegalnie przekraczających granicę z USA. I o takich rozwiązaniach już się w USA mówi.

Ważne, żeby zastąpić oburzenie i jałowy opór ideologiczny, bardzo konkretnymi pytaniami. Jak poprawić standardy w Rwandzie, żeby Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał je za wystarczające? Następnie, zdefiniujemy standardy: jakie gwarancje traktowania będą mieli azylanci po przyjeździe? Jak wygląda procedowanie wniosków azylowych; ile trwa; czy kryteria uznawalności są sprawiedliwe i oparte na analizie sytuacji w krajach pochodzenia? Jak zagwarantować, by ludzie nie byli cofani z Rwandy do niebezpiecznych miejsc i jak będziemy to od Rwandy egzekwować? Jakie są tam programy zatrudnienia, świadczeń socjalnych, edukacji i integracji; gdzie są luki i z jakimi instytucjami trzeba współpracować, by to poprawiać?

To nie będzie proste i tanie, ale właśnie do takiej debaty powinny wystąpić UNHCR i organizacje. Pracować nad tym, by systemy akceptowalne stawały się coraz lepsze, a jednocześnie politycznie pragmatyczne – zniechęcające do nielegalnej migracji do Europy, zamykające tutejsze szlaki.

A nowa polityka Włoch, czyli odsyłanie wszystkich przyplływających do ośrodków w Albanii?

– To jeszcze inny model – przetwarzanie wniosków azylowych offshore, outsourcing samej procedury, ale nie relokacja ludzi na stałe. Być może to będzie miało pewien skutek odstraszający – warunki pobytu mogą być gorsze, szansa na uzyskanie ochrony nieco mniejsza, bo azylanci będą mieć gorszy dostęp do pomocy prawnej. NGO-sy mają rację, że to kiepski system, który obniży standardy.

A dodatkowo wydaje mi się niezbyt skuteczny w zniechęcaniu imigrantów i zamykaniu szlaku. Bo ostatecznie azylanci są pod jurysdykcją Włoch, i Włochy będą musiały przyjąć tych, którzy dostaną ochronę lub deportować resztę. Albo, jeśli tego nie zrobią, Albania ich wypuści i w końcu trafią do krajów Unii.

To „zniechęcanie” nie brzmi dobrze. Twierdza Europa się domyka, będziemy odstraszac i przesiedlać.

– Celem nie jest przenoszenie milionów do Rwandy, tylko powstrzymanie ich przed nielegalnym docieraniem do Europy. Likwidujesz zachętę – cel, którym jest osiedlenie się w kraju wyboru, staje się nieosiągalny. Ro-

bisz to, co udało się Australii, ale tworząc system, w którym da się żyć, w przeciwieństwie do Nauru. To niezbędne i moralnie uzasadnione: dziś, w 2024 roku, alternatywą dla takich systemów jest walnięcie w głowę, kop w brzuch i push-back. Powszechne go przyzwolenie na to już nie cofniesz, będzie rosło.

To też kwestia tego, w jakich kategoriach myślimy o moralności. Klasyczny idealista z NGO-su myśli w kategoriach deontologicznych: jakie działanie podejmuję w odniesieniu do tej osoby w tej konkretnej sytuacji? Jaki jest najlepszy rezultat dla tej osoby? To kategorie kantowskich imperatywów. Ale można też przyjąć utylitarystyczny punkt widzenia. Jak zmaksymalizować korzyść dla jak największej liczby osób?

Na świecie żyje kilkadziesiąt milionów uchodźców, wiele w strasznych warunkach. Wyrwą się tylko nieliczni, których stać za nielegalną podróż. A jednocześnie do Europy docierają dziesiątki tysięcy migrantów, którzy byli w znacznie lepszej sytuacji, niż uchodźcy w obozach w Libanie czy Somalii. Nie dostaną azylu, ale zostaną tu na lata, bo nie da się ich deportować. Obciążają system opieki społecznej, a masowość i nielegalność tej imigracji sprawia, że o pomocy „jeszcze jakimś innym uchodźcom” – na przykład tym, z obozów ONZ – nikt nie chce nawet słyszeć.

Aktywiści akurat o to apelują – „potrzebujemy legalnych i bezpiecznych ścieżek migracji”.

– Dokładnie. Ale chcą zarówno nowych legalnych ścieżek, jak i tego, by „legalne i bezpieczne” stały się te nieregularne szlaki. To niemożliwe; legalne ścieżki muszą zastąpić nielegalne, a nie być tworzone obok nich. Żeby móc w ogóle napomknąć o tym opinii publicznej i politykom, trzeba najpierw ograniczyć nieregularną migrację. W obecnej sytuacji wszyscy popukają się w głowę.

Legalne i bezpieczne ścieżki zresztą istnieją – relokacje z obozów ONZ, programy sponsorowania przyjazdów, programy dedykowane konkretnym krajom, np. Afganistanowi. Ale ich skala jest śmiesznie mała, a cały europejski system azylowy zajmuje się nieregularnymi migrantami. Gdyby udało się ograniczyć ich liczbę, to liczbę uchodźców – ludzi, którym należy się ochrona, a nie tych, którzy do Europy po prostu przyplyną – można znacząco zwiększyć.

W ostatniej dekadzie ochronę dostawało średnio 370 tysięcy osób rocznie. W Wielkiej Brytanii w ostatnich 25 latach – średnio 15 tysięcy. Jeśli poradzimy sobie z niekontrolowaną migracją i niemożnością deportacji tysięcy ludzi, którzy uchodźcami nie są, to robimy miejsce na poważną dyskusję o legalnych ścieżkach. Na przykład, o podwojeniu liczby osób, którym rocznie damy ochronę, ale na zasadzie regularnych przesiedleń. Ale najpierw zamykamy nielegalne szlaki.

Skoro to taki dobry scenariusz, to czemu organizacje humanitarne go odrzucają?

– Gdy przedstawia się go w ten sposób, w kategoriach maksymalizacji korzyści, to tak naprawdę wiele osób się z tym zgadza. Ale „publicznie nie mogą tego powiedzieć” – to coś, co często słyszę w rozmowach. W tym środowisku panuje moralny radykalizm – zero kompromisów, idziemy po wszystkim, nie ustąpimy ani o krok. A przy tym, ogromna presja rówieśnicza i konformizm. To zresztą słuszne, że nie chcą iść na kompromis w kwestii praw człowieka. Ale broniąc „prawa ludzi do schronienia się w wybrany przez siebie kraj” nie bronią praw człowieka, bo one niczego takiego nie zakładają. Bronią swoich moralnych intuicji, prywatnych poglądów i politycznej agendy.

A te zrodziły się w dużej mierze z kontekstu, w jakim od lat funkcjonują. Społeczności migranckie, z którymi pracują w Europie, przybywają tu najczęściej nielegalnie. Aby im pomóc, wesprzeć, wzmocnić ich pozycję i społeczne poparcie dla nich, organizacje budują obraz nieregularnej migracji jako czegoś koniecznego, nieuniknionego, ale też pozytywnego. Chcą, by opinia

publiczna to zaakceptowała, więc odwołują się do europejskich wartości. „Utrzymamy ten system, ludzie muszą mieć możliwość przybytnięcia do Europy i ubiegania się tu o azyl”.

No tak, bo „nie pomożemy wszystkim”. Więc „musimy pomóc chociaż tym, którzy są na naszych granicach”. To postulat silny moralny – kto się mu sprzeciwią, ten niemoralny.

– Tylko że to nie tyle moralność, co proximity bias – wspieranie systemów migracyjnych, które okazały się korzystne dla twoich interesariuszy. Słyszysz ich głos, bo dzięki względnemu uprzywilejowaniu mogli pojawić się w Europie. Nie usłyszysz kobiet, które od 15 lat przebywają z dziećmi w obozie dla uchodźców w Ugandzie lub Sudanie Południowym i również chciałyby się stamtąd wydostać, a nie stać ich na podróz z przymnikiem. Wzmacniasz system, który zakłada przemyt, handel ludźmi, wykorzystanie, przemoc, nieszczęścia i bardzo konkretną grupę ludzi, której pomoże. Niekoniecznie są to najbardziej potrzebujący, ale najbardziej zaradni, głównie mężczyźni, najzamożniejsi, najmłodsi, najsprawniejsi. Czy nie lepiej byłoby pracować nad systemem, który pomoże najbardziej potrzebującym, znacznie ograniczy problemy nieregularnej migracji, a jednocześnie będzie zgodny z prawami człowieka?

Być może nikt nie wierzy, że można go stworzyć? Próbują ratować choć ten obecny?

– Wiele organizacji wciąż myśli, że uda się stworzyć kolejną odsłonę jakiejś hiperwyrafinowanej, opartej na nadziei i emocjach komunikacji społecznej, która radykalnie zmieni psychologię ludzkości i obudzi pokłady empatii. To piękny i szczytny cel. Ale również myślenie życzeniowe i odmowa kontaktu z rzeczywistością.

Intuicje moralne aktywistów są dobre i słuszne. To nie tak, że ich nie podzielałam. Po prostu doszliśmy do ściany i nie ruszymy dalej bez strategicznej kalkulacji politycznej. Będzie coraz gorzej. Organizacje humanitarne muszą sobie powiedzieć: scenariusz A, w którym każdy dociera do wybranego miejsca i tam zostaje, jest nieosiągalny. To już się stało, przegraliśmy. Więc jaki jest plan B? Co będzie akceptowalnym dla nas kompromisem?

Kompromisy w tych kwestiach są przedstawiane jako „brudne deale”. Ustępstwa to wejście na niebezpieczną ścieżkę, na końcu której jest coś zupełnie strasznego. Unia jest zła, Frontex to kryminal, całe

zarządzanie migracją może skończyć się masową zbrodnią.

– Jeśli ktoś chce tak prowadzić debatę, ma prawo. Ale musi liczyć się, że wypadnie z debaty, stanie się zupełnie nieistotny. I oczywiście, nadal może nazywać się idealistą. Ale nie jest już aktywistą. Bo takie działania nie są poważną próbą zmiany świata. Jeśli faktycznie chcesz zmienić czyjś świat na lepsze, to maksymalizujesz korzyści dla największej możliwej grupy. Akceptujesz polityczne realia i pracujesz w ich granicach. Są rzeczy, co do których nie idziesz na kompromis. Bardzo rozsądna jest bezkompromisowość w kwestii spraw człowieka. Ale bezkompromisowość w kwestii własnych poglądów i intuicji moralnych jest szaleństwem.

Aktywiści grupowo przekładają dziś własną ideologię nad dobro innych ludzi. To można uprawiać na płaszczyźnie filozoficznej, w kawiarniach w Warszawie. Ale by pomóc uchodźcom, musisz zejść na ziemię. Podstawa to uszczelnienie i kontrola granicy – to po prostu jest minimum akceptowalnej polityki, którą musi zrealizować każdy rząd. Jak w tych realiach zapewnić największą ochronę?

Zresztą, każdy może postulować, co chce. Ze wszystkich rzeczy, o które można walczyć, te nie są najgorsze, prawda? To są dobre motywacje ludzi o szlachetnych poglądach. Ale doprowadziły do zafalszowania narracji. Zaangażowani ludzie przyjmują intuicyjne, emocjonalne interpretacje prawa międzynarodowego, utrwalają je w dyskursie – w oficjalnej komunikacji swoich organizacji – a potem blokują rozwiązania, które są znacznie lepsze niż brutalne status quo. Umowy takie jak unijna z Turcją, nie są idealne. Ale dużo lepsze niż przemoc i drut kolczasty.

Trudno zaangażować się w polityczne realia, bo interesy są jednak sprzeczne. Wyborcy nie chcą uchodźców, politycy prześcigają się w tym, kto lepiej ich nie wypuści. Jak iść tu na kompromisy?

– I to jest wyzwanie dla europejskiej sceny humanitarnej, polskiej również. Macie teraz rząd, który może nie wszyscy kochają, ale jest znacznie lepszy od PiS, prawda? Nie mówi o migrantach strasznych rzeczy. Szanuje prawo międzynarodowe, wołałby go przestrzegać. Co można im zaoferować? Czy jest projekt, który będzie lepszy niż status quo, a jednocześnie akceptowalny dla opinii publicznej, która chce kontrolowanej granicy?

Nie było sensu prowadzić takich rozmów z PiS, prawda? Ale teraz pojawiło się okienko – można wysunąć pomysły zgodne z prawami człowieka, politycznie pragmatyczne i adresujące poważny europejski problem.

Do Rwandy już przybywają uchodźcy, np. transferowani przez ONZ z Libii. Po upadku Kabulu przeniosła się tam dość znana afgańska szkoła. To miejsce, w którym wiele osób może uzyskać ochronę i normalnie funkcjonować

Tuski, Macrony i Scholze lubią takie rzeczy. Ale jeśli jedyne, co im proponujesz, to „Wpuście ludzi. Traktujcie ich dobrze i integruj ze społeczeństwem”, to oni nie mogą nic z tym zrobić. Bo to nie jest żadna rada ani strategia, tylko wykład umoralniający. Tego nikt nie potrzebuje. Radą może być: należy skończyć z push-backami, ludzie muszą mieć możliwość przekraczania granic i szukania azylu. Więc musimy stworzyć mechanizm przenoszenia ich do innych krajów. Poszukajmy tych krajów.

Owszem, to rozwiązanie jest droższe i trudniejsze niż push-backi. Ale jednocześnie ambitniejsze, w lepszym stylu – centrowi politycy mogą odróżnić się od takiego PiS-u. Tamci poszli na żenującą łatwiznę, byli okrutni i jeszcze się tym obnosili. A my przestrzegamy norm, wyznaczamy nowe standardy. Uspokajamy panikującą przed migracją większość i opiniotwórcze moralnie środowiska. Pokazujemy, że „europejskie centrum is not dead”: kryzys migracyjny nas nie zatopi, nie oddamy Europy populistom. Nie ulegamy emocjom i moralnym intuicjom, ale nie zadawałamy się też prostymi i okropnymi rozwiązaniami.

Nie mogę sobie wyobrazić, że organizacje ot tak, porzucają dotychczasowe postulaty i idą po dużo, dużo mniej.

– Nie, one w ten sposób idą po więcej! To polityka: współpracujemy, pomagamy wam rozwiązać gigantyczny problem, przepędzić trochę skrajną prawicę. Ale chcemy czegoś w zamian: przyjęcia uchodźców z innych krajów, legalnych i bezpiecznych ścieżek. W pełni kontrolowany sposób. Zastanówmy się razem, jak możemy to zrobić?

Co akurat w przypadku Polski może prowadzić do konkluzji, że już swoją część solidarności wypełniamie. Umówmy się, nie jest tak, żeby Polska nic nie robiła dla globalnej populacji uchodźców. Udział jest znaczący, zarówno pod względem liczby ludności, jak i PKB na mieszkańca. Możemy poroz-

mawiać o przesiedleniach z obozów, ale może nie o 30 tysiącach rocznie, tylko na przykład 5?

A w kwestii nieregularnej migracji, organizacje muszą po prostu zadać sobie teraz pytanie: czy idą w stronę rozwiązań, które mogą się nie podobać, ale są humanitarne i zgodne z prawem? Czy negocjują z politycznym centrum, próbując je trochę przekabacić, ale w granicach realizmu? Czy raczej uznają, że jeśli ktoś nie realizuje w pełni ich ideologii, to do diabła ze wszystkimi: wiadać, Tuski, Kaczyński, Ziobro, Unia Europejska, jeden pies?

Nie wszyscy, ale wielu aktywistów przedstawia to w ten sposób. Nowy i poprzedni rząd nazywają „koalicją push-backową”. – I tak właśnie kończą się systemy praw człowieka. Wpływy organizacji zresztą też. Wiele od lat odrzuca kompromisy, mimo kolejnych dowodów, że kończy się to gorszymi rezultatami. Nie pokazują liberalnym politykom rozwiązań, które będą humanitarne, ale wciąż umożliwią im wygranie wyborów. Odrzucają wszystko, co im się nie podoba. Więc Tuski czy Macron myślą: „aha, próbuję znaleźć złoty środek, to karkołomne, a i tak spadają na mnie gromy. A ilu wyborców stracę, jak zbuduję mur i nikogo nie wpuszczę?”. Czy push-backi kosztują Tuska wiele głosów?

Sądzę, że mogą mu przysporzyć głosów, i to niekoniecznie twardej ksenofobicznej prawicy. Za poprzedniego rządu słyszałam wiele głosów: „PiS nie popieramy, ale w kwestii granicy postąpili dobrze”.

– Tak jest w całej Europie. Po co więc pościć się nad jakąś polityką, która będzie droższa, trudniejsza i mniej popularna, niż same push-backi, skoro grupa strażników moralności i tak ją zbytkotuje, krzycząc: „to nieetyczne, nielegalne”? Ja sam nigdy nie poprzę polityki naruszającej prawa człowieka. Poszukuję tylko rozwiązań zgodnych z prawem. Ale precyzyjnie używam tego terminu.

Te stwierdzenia o „nielegalności”, chociażby umowy z Rwandą, chyba nie biorą się z powietrza?

– Debatą o migracji jest strasznie zaśmiecona. Ideologie, stadne myślenie, mnóstwo fałszu i frazesów. Tu trzeba oddać swoje prawicy – ci są naprawdę niezwykli. Ale emocje są po wszystkich stronach, każdy musi mieć swoją radykalną opinię. Ludzie mogą przyznać ci rację, tylko jeśli jesteś „po tej samej stronie”. To idealne warunki do produkcji mitów i frazesów: „migracji nie da się zatrzymać”, „mury nie działają”, „umowy z krajami trzecimi uzależnią cię od dyktatorów”.

REKLAMA

KRAJ/34310817

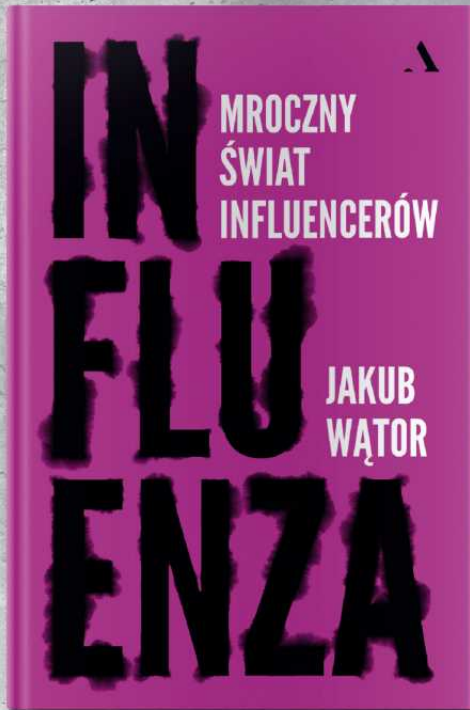
#Boxdel, #Friz, #Fagata
#Stuu, #Marta Linkiewicz
#Sylwester Wardęga

I INNE GWIAZDY INTERNETU RZĄDZĄ DZIŚ W BRANŻY ROZRYWKOWEJ

NIE INTERESUJE CIĘ TO?

POGARDZANIE INFLUENCERAMI NIE SPRAWI, ŻE ONI ZNIKNĄ. Już wypierają gwiazdy mediów, kina, muzyki i sportu. Wpływają na społeczeństwo z większą mocą niż eksperci, politycy czy naukowcy. Jakub Wątor PRZEŚWIECLA POLSKĄ BRANŻĘ INFLU, pokazuje patologie, przemoc, afery i zadaje pytanie: kiedy i dlaczego DALIŚMY SIĘ WCIĄGNĄĆ W TO BAGNO. To bezlitosny portret naszych czasów.

PREMIERA 10.04



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



Wydawnictwo
Agora

Istnieją dziesiątki takich standardowych powiedzeń. „Akcje ratunkowe na Morzu Śródziemnym nie zwiększają migracji”. Nielogiczne, nieprawdziwe, ale sympatyczne; wypadało powtarzać.

Tak samo jak „to nielegalne”, „niezgodne z prawem”. Nie da się przeczytać wyroku brytyjskiego Sądu Najwyższego i wywnioskować z niego, że umowa z Rwandą jest per se nielegalna. Oczywiście, większość po prostu bezrefleksyjnie powtarza to, co piszą inni. Ale eksperci dokładnie przestudiowali ten wyrok, bo jest bardzo ważny. Więc czemu upierają się, że mówi coś innego? Cemu robi to UNHCR w publicznej komunikacji, w tweetach? W analizach pokazują te wszystkie niuanse, ale opinii publicznej rzuca tylko: „niezgodne z prawem”.

Mam wrażenie, że „nielegalnym” nazywa się dziś 90 procent rozwiązań. Oprócz push-backów, często słyszę też o „bezprawnej detencji”, „nielegalnej deportacji”, „łamiących prawo umowach z krajami trzecimi”.

– Te procesy grupowe w środowiskach humanitarnych są większym problemem niż mogłoby się wydawać. Moralny maksymalizm kształtuje politykę, postulaty i narrację oficjalnej komunikacji. Plemiennosc blokuje krytykę, niewielu odważy się wychylić i zaryzykować ostracyzm. Ale to już każdy musi zadać sobie pytanie: czy bardziej zależy mu na przynależności do milej społeczności humanitarystów, czy jednak na pchaniu do przodu agendy praw człowieka.

Międzynarodowe prawo uchodźcze jest w porządku. Ma kilka oczywistych zasad: każdy powinien móc przekroczyć granicę i nie zostać odesłany w miejsce, gdzie będzie prześladowany. Każdy powinien mieć możliwość osiedlenia się w bezpiecznym miejscu. To są bardzo rozsądne normy. Nie wymagają czegoś niewyobrażalnego, nie są nadmiernie restrykcyjne. Radykalne są ich luźne interpretacje, które forsują w swoich narracjach NGO-sy. Często mieszają prawa człowieka z własnymi poglądami politycznymi o otwartych granicach, sprawiedliwości społecznej czy nierównościach ekonomicznych.

W pewnych aspektach to dobrze, ale w innych jest kontrskuteczne, bo te kwestie nie są prawami człowieka. Do tego dołączają swoje moralne przekonania i życzeniowe myślenie i to wszystko razem nazywają „prawem”. Potem powtórzy się to w 100 tweetach, 50 artykułach i wystąpieniach i wytwarza się taka potoczna definicja prawa międzynarodowego.

A powtarzanie nieprawdziwych stwierdzeń o tym, czego zabrania prawo, jest niebezpieczne. Bo wtedy opinia publiczna mówi: „Chwila, moment, to te konwencje wymagają od nas przyjmowania wszystkich, na czas nieokreślony? To najwyraźniej są szalone i trzeba je szybko zmienić”.

Czy to już się dzieje? Wielu torysów naciskało na wypowiedzenie Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, żeby nie blokowała im umowy z Rwandą. Tusk też wspominał, że „prawa międzynarodowego należy przestrzegać, więc musi być zmienione, bo jest nieadekwatne”.

– Dziś każdy kraj na zewnętrznej granicy UE narusza szereg praw. Push-back to nie tylko odstawienie kogoś do na granicy, to też uderzenie, kopnięcie, powalenie na ziemię – duży poziom brutalności. I to już jest powszechnie akceptowana praktyka, na całkowicie systemowym poziomie. Niektórzy raczej się tym nie chwala; dla innych tak jak PiS czy Orbana, to powód do dumy.

Ale dla polityków, którzy ogólnie lubią praworządność, ta sprzeczność z prawem i wynikające z niej napięcia w pewnym momencie staje się zbyt uciążliwe. Ludzie nie lubią żyć w ciągłym poczuciu, że robią coś nie tak, coś łamią, ktoś ich upomina. To męczące. Przychodzi moment, w którym mówią: OK, to nie ma sensu, trzeba to napięcie zlikwidować.

Dużym błędem obrońców praw człowieka jest wiara, że praktyka zawsze dopasuje się do istniejącego prawa. Myślą, że sko-

ro są jakieś normy, to prędzej czy później zostaną być przestrzegane. W pewnych sferach życia, ale w innych to prawo podąża za praktyką. Naruszeń systemu jest zbyt dużo, więc w końcu kodyfikujesz je, by stały się legalne. A za legalizacją stopniowo podążą społeczna akceptacja.

Ale nikt nie zmienia konwencji. I nikt jeszcze nie wypowiedział, tylko się odgrają.

– Wokół prawa międzynarodowego panuje duża inercja, ogólna niechęć do jego zmiany czy wycofywania się z umów. Ale to nie będzie trwać wiecznie, bo rośnie konsensus, że to prawo to nonsens. Część Partii Konserwatywnej jest już blisko tego punktu. Bo wiesz, oni ostatecznie dosyć lubią rządy prawa. Woleliby nie naruszać ciągle międzynarodowych zobowiązań. Ale skoro to prawo nie pozwala im robić tego, co muszą robić, to w końcu próbują je zmienić. A jeśli zmienić się nie da – cóż, trudno, pozostaje z niego zrezygnować.

Pamiętajmy, że ostatecznie prawo jest produktem politycznej woli. Nawet Europejski Trybunał Praw Człowieka jest dużo bardziej elastyczny, niż się ludziom wydaje. Pozwolił na push-backi w Hiszpanii. Niby „zgodnie z prawem”, bo jest jedno przejście, na którym teoretycznie można prosić o ochronę. Co, jak wiemy, jest zupełną fikcją. A więc już nawet ETPCz ostrożnie lawiruje między prawem, praktyką i realiami.

W 2018 r. dość trafnie przewidywał pan, gdzie wylądujemy. Ma pan jakieś zaktualizowane prognozy?

– Widzę dwa scenariusze: polityczne centrum wypracuje praworządną i skuteczną kontrolę granic – czyli jakieś umowy z krajami trzecimi – albo prawa uchodźców będą coraz bardziej łamane. Myślę, że Europa będzie zmierzać w kierunku tych umów. Pytanie, czy odbędzie się to w sposób ładny i trudny, czy łatwy i cyniczny.

Polityków będzie kusilo, by iść po linii najmniejszego oporu. Ludzie, którzy mogliby korygować ten kierunek i walczyć o najlepsze standardy, to ci sami, którzy aktualnie się oburzają i wszystko odrzucają. Chciałoby się, żeby takie Amnesty International włączyło się w działania, pokazywało, co można zrobić lepiej. Konstruktywną krytyką, a nie stawianiem okoniem. Bo jeśli nie znajdziemy sposobu na ten scenariusz, to zrealizuje się inny: legalizacji tego, co dziś nielegalne.

Oczywiście, jest wiele innych czynników. Mogę sobie wyobrazić nowy zestaw politycznych graczy w Paryżu i Berlinie i znacznie bardziej radykalny kierunek. Wyborcy widzą, że nic się nie zmienia, chcą efektów.

Będzie nowy, unijny pakt azyłowy.

– A, ten nad którym UE debatowała siedem lat. Wszyscy się podpiszą, gratulując sobie, że zrobili coś ważnego. Ale nic się nie zmieni. Przy obecnej skali nielegalnej migracji, nie będzie żadnych relokacji, już wielokrotnie to przerabialiśmy. Poza tym, po relokacjach ludzie i tak będą się przemieszczać.

Polska ten pakt odrzuciła, uznając, że jest niewystarczający w sytuacji z Białorusią.

– Bo również w niczym jej nie pomoże. Pozwoli zawiesić na chwilę procedury, potrzymać migrantów nieco dłużej w detencji, trochę obniżyć standardy. W końcu i tak trzeba ludzi wpuścić do kraju i wypuścić z detencji. To, co będzie działo się w międzyczasie, jest nieistotne. Podstawowa dynamika się nie zmienia.

Czy scenariusz z krajami trzecimi nie jest zbyt optymistyczny? Mówi pan, że jest trudniejszy i droższy niż push-backi. Czy komuś zależy?

– Wierzę w rozsądek i siłę dobrych argumentów. Uważam, że Europę stać na prawdziwie szczelne i humanitarne granice. Ta debata szybciej posuwałaby się do przodu, gdyby włączyli się w nią właśnie ludzie, którym naprawdę zależy. Ich wsparcie i konstruktywna krytyka naprawdę by się przydały, bo bez tego polityka będzie mniej humanitarna i bardziej cyniczna. Ale jeśli odmó-

wią, nie zaakceptują politycznych realiów, to zupełnie wypadną z gry.

A gdzie są dzisiaj w tej grze?

– Spójrzmy na ostatnie tweety ECRE [Europejski Komitet ds.Uchodźców i Wypędzonych] o pakcie migracyjnym: „Jak mogło do tego dojść? Po pierwsze, Komisja zaproponowała złe rozwiązania. Po drugie, Rada jeszcze je pogorszyła. Po trzecie, Parlament się ugiął. Obrońcy praw uchodźców, tym ECRE, mieli niewielki wpływ. Lata pracy, tyśiące spotkań, setki stron analiz. Efekty są przerażające”. Drugi tweet: „Na początku roku podjęto decyzję w sprawie reformy unijnych przepisów azyłowych. Niewiele może się już zmienić. Stało się, przegraliśmy”

Widzi pani? „Przegraliśmy”. W każdej debacie o migracji w ostatnich ośmiu latach – o umowie Włoch z Libią, o akcjach ratunkowych na Morzu Śródziemnym, o greckich i polskich push-backach, o pakcie azyłowym, o Węgrzech – wkład organizacji zarządzających był marginalny. Ich głos się nie liczył.

Jednak jest bardzo słyszalny w mediach, w opiniotwórczych środowiskach. W Polsce spotykają się też teraz z ważnymi politykami.

– Organizacje cały czas spotykają się z politykami i innymi ważnymi osobami. Ludzie ich słuchają, cytują, robią sobie z nimi zdjęcia. Przez to łatwo można pomylić dostęp z wpływem. Wciąż mają dostęp, choć przestały mieć wpływ. A jeśli długo nie będą miały wpływu, stracą też dostęp.

Najważniejsze nie jest zresztą przekonanie tej czy innej grupy, że nie ma wpływu. Wyzwaniem jest przekonanie polityków głównego nurtu – wszystkich Scholzów, Macronów i Tusków, którzy twierdzą, że tak lubią rządy prawa – żeby trochę się wysiliłi. Naruszanie wielu norm i udawanie, że nic

się nie dzieje, jest łatwe. Alternatywa będzie trudniejsza, ale długofalowo znacznie lepsza. Tym lepsza, im bardziej konstruktywne i wpływowe będą organizacje praw człowieka.

Czy one zawsze były tak bezkompromisowe?

– Nie. Ruch praw człowieka wyrastał na kompromisach. Międzynarodowe konwencje nie były idealne, ramy praw tworzone stopniowo. Konwencja zakazująca tortur nie zawierała wszystkiego, czego byśmy chcieli. Czy w połowie prac stwierdzono „za mało, wycofujemy się”. Nie, bo był to krok naprzód.

Ale aktywizm praw człowieka nie jest już tak pragmatyczny i legalistyczny, jak dawniej. To dziś w sporej mierze przemysł moralno-ideologiczny, w którym fatalne decyzje podejmuje się z pięknych powodów. I dramatycznie mało osób dostrzega, jak wiele jest do stracenia. ●



FOT. LINKEDIN.COM/IN/JOHN-DALHUISEN

*John Dalhuisen

• byli dyrektor AI w Europie (odszedł w 2017 r.) i doradca pierwszego Komisarza Praw Człowieka Rady Europy, obecnie członek think-tanku European Stability Initiative. Z wykształcenia filozof.

REKLAMA

KRAJ/34310983

ZAWIADOMIENIE

Zarząd Cuiavii Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Inowrocławiu
na mocy § 31 Statutu Spółdzielni zwołuje

ZEBRANIE PRZEDSTAWICIELI

które odbędzie się dnia **26 kwietnia 2024r. o godz.11.00**
w restauracji Akto Mirana w Inowrocławiu przy ul. Nowej 32.

W przypadku braku quorum następne Zebranie Przedstawicieli
odbędzie się w tym samym dniu o godz. 11.30.

Porządek obrad:

- Otwarcie.
- Wybór Prezydium Zebrania.
- Zatwierdzenie porządku obrad.
- Zatwierdzenie regulaminu obrad, w tym regulaminów komisji.
- Wybór Komisji Zebrania:
a/ mandatowej
b/ skrutacyjnej
c/ uchwał i wniosków
- Zatwierdzenie protokołu z poprzedniego Zebrania.
- Sprawozdanie Zarządu za 2023 rok.
- Sprawozdanie Rady Nadzorczej za 2023 rok.
- Przedstawienie protokołu z lustracji przeprowadzonej przez Krajowy Związek Spółdzielni Mleczarskich w Warszawie.
- Przedstawienie sprawozdania Biegłych Rewidentów z weryfikacji sprawozdania finansowego Spółdzielni za 2023 rok.
- Wystąpienie zaproszonych gości.
- Podjęcie uchwał w sprawach:
a/ zatwierdzenia sprawozdania finansowego Spółdzielni za 2023 rok,
b/ zatwierdzenia sprawozdania Zarządu za 2023 rok,
c/ zatwierdzenia sprawozdania Rady Nadzorczej za 2023 rok,
d/ udzielenia absolutorium Prezesowi Zarządu,
e/ udzielenia absolutorium Wiceprezesowi Zarządu,
f/ pokrycie straty bilansowej za 2023 rok,
g/ określenia najwyższej sumy zobowiązań jakie Spółdzielnia może zaciągnąć,
- Sprawy różne.
- Zatwierdzenie protokołu Komisji Uchwał i Wniosków.
- Zakończenie.

Zarząd
Cuiavii Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej
w Inowrocławiu

Zimna wojna w Arktyce

Przepraszam, ale pogłębię wam depresję klimatyczną. Im mniej lodu, im łagodniejszy klimat, tym większe prawdopodobieństwo zbrojnego konfliktu

tekst **Bartosz Wieliński** infografiki **Wawrzyniec Święcicki**

Zła wiadomość jest taka, że pokrywa lodowa na Oceanie Arktycznym kurczy się szybciej, niż zakładano. Globalne ocieplenie zachwiało balans między polarną zimą, gdy czapa polarna rosła, i polarnym latem, gdy topniała. Obecnie mroźna, ciemna zima trwa zbyt krótko, by lodowa pokrywa mogła się odbudować. W roku 1981 lód w Arktyce zajmował 7,9 mln km kw., teraz – 4,37 mln km kw. Naukowcy spodziewali się, że lato, gdy w Arktyce nie będzie w ogóle lodu, po raz pierwszy zaobserwujemy w latach 50. XXI w. Nic z tego, ten scenariusz może się spełnić już za 10 lat.

Jest jeszcze gorsza wiadomość. Im łagodniejszy klimat, mniej lodu i łatwiejszy dostęp do ukrytych pod jego powierzchnią naturalnych bogactw, tym prawdopodobieństwo wybuchu wojny większe. A Arktyka to skarbiec obfitujący w bogate złoża ropy naftowej, gazu i rzadkich metali.

Za początek nowej zimnej wojny uważa się wystąpienie Putina na Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium 10 lutego 2007 r. Pół roku później załoga batyskafu MIR-1, dotarłszy na biegun północny, zesłała ponad 4 tys. m poniżej pokrywy lodowej i na dnie Oceanu Arktycznego umieściła wykonaną z tytanu flagę Rosji oraz kapsułę zawierającą flagę putinowskiej partii Jedna Rosja. Jeszcze przed atakiem na Gruzję, na długo przed oderwaniem Krymu i inwazją na Ukrainę, Putin rzucił wyzwanie Zachodowi, zgłaszając potężne roszczenia do Arktyki.

W ten sposób skończyła się epoka „arktycznej wyjątkowości”. Podczas pierwszej zimnej wojny lodowe pustkowia właśnie ze względu na klimat było praktycznie wyłączone z konfliktu mocarstw. Choć Rosja i państwa NATO utrzymywały bazy, a rosyjskie okręty podwodne przenoszące pociski międzykontynentalne nadal stacjonują za kołem polarnym, konflikt nad arktycznymi lodami wydawał się o wiele mniej prawdopodobny niż konflikt w środkowej Europie. Michaił Gorbaczow w 1987 r. nazwał Arktykę „strefą pokoju”, miejscem, gdzie mocarstwa nie prowadzą rywalizacji, ale ze sobą współpracują.

W Rosji potrafią właściwie odczytać dane badaczy ocieplania klimatu. To, co na Zachodzie wywoływało przerażenie i pchało do innowacji zmniejszających emisję CO₂, Putin odebrał jako szansę. Rosja bez zgłosu rozpoczęła rozbudowę potencjału wojskowego w Arktyce. Nieczynne bazy z sowieckich czasów zmodernizowano. Modelowym przykładem jest lotnicze Nagurskoje na Ziemi Franciszka Józefa, arktycznym archipelagu na Morzu Barentsa. Po remoncie baza obsługuje myśliwce Mig-31, które mogą przenosić pociski hipersoniczne typu Kindżał. Powstało też sześć zupełnie nowych baz. Rosja rozbudowuje także zdolności floty nawodnej i podwodnej. Tak, by w odpowiednim momencie dokończyć dzieła załogi batyskafu MIR-1.

Trwająca wojna spowodowała przetasowania w rosyjskiej armii. Jednostki piechoty zmechanizowanej stacjonujące pod kołem polarnym pośpiesznie przerzucano na Ukrainę, gdzie ich żołnierze kończyli w charakterze mięsa armatniego. Północ Rosji została оголоconą z wojska. Jednocześnie zmieniła się sytuacja strategiczna. Do NATO przystąpiły Finlandia oraz Szwecja. Jeśli Rosja będzie chciała siłą zwiększyć wpływy w Arktyce, czeka ją konfrontacja z dodatkowymi dwoma bardzo silnymi graczami.

Granice i spory terytorialne

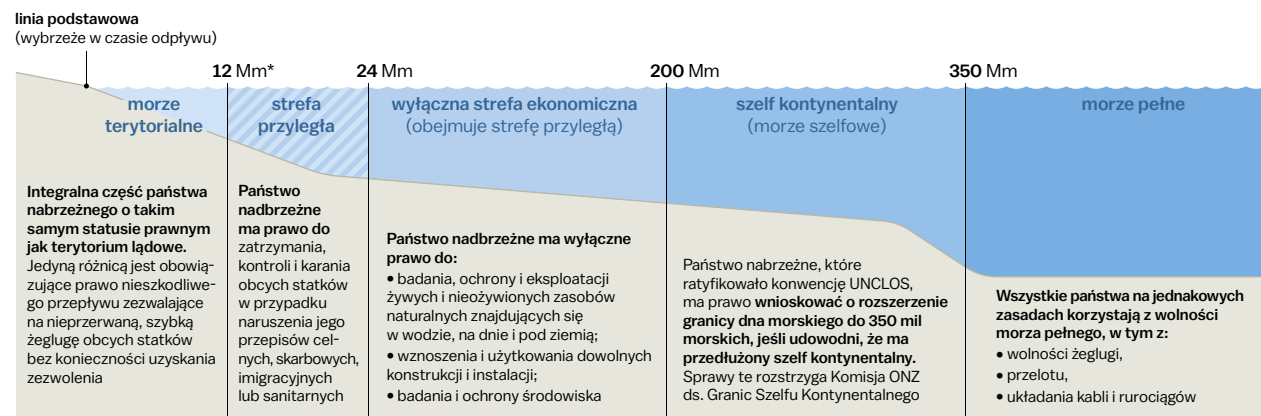
Do początku lat 80. XX w. obszar Oceanu Arktycznego był podzielony przez pięć państw arktycznych na sektory zbiegające się na biegunie północnym. Podpisana w 1984 r. konwencja Narodów Zjednoczonych o prawie morza wprowadziła nowe zasady przyznające państwom nadbrzeżnym określone prawa w obrębie ich **wyłącznej strefy ekonomicznej** o szerokości 200 Mm* (ok. 370 km). Są to prawa do **eksploatacji zasobów, monitorowania ruchu morskiego, egzekwowania prawa i ochrony środowiska**.

Jeśli państwo nadbrzeżne udowodni, że jego szelf kontynentalny przekracza odległość 200 Mm, może wystąpić z wnioskiem o rozszerzenie wyłącznej strefy ekonomicznej obejmującej dno oceaniczne o dodatkowe 150 Mm. Przepis ten jest źródłem sporów pomiędzy państwami.

© GAZETA WYBORCZA

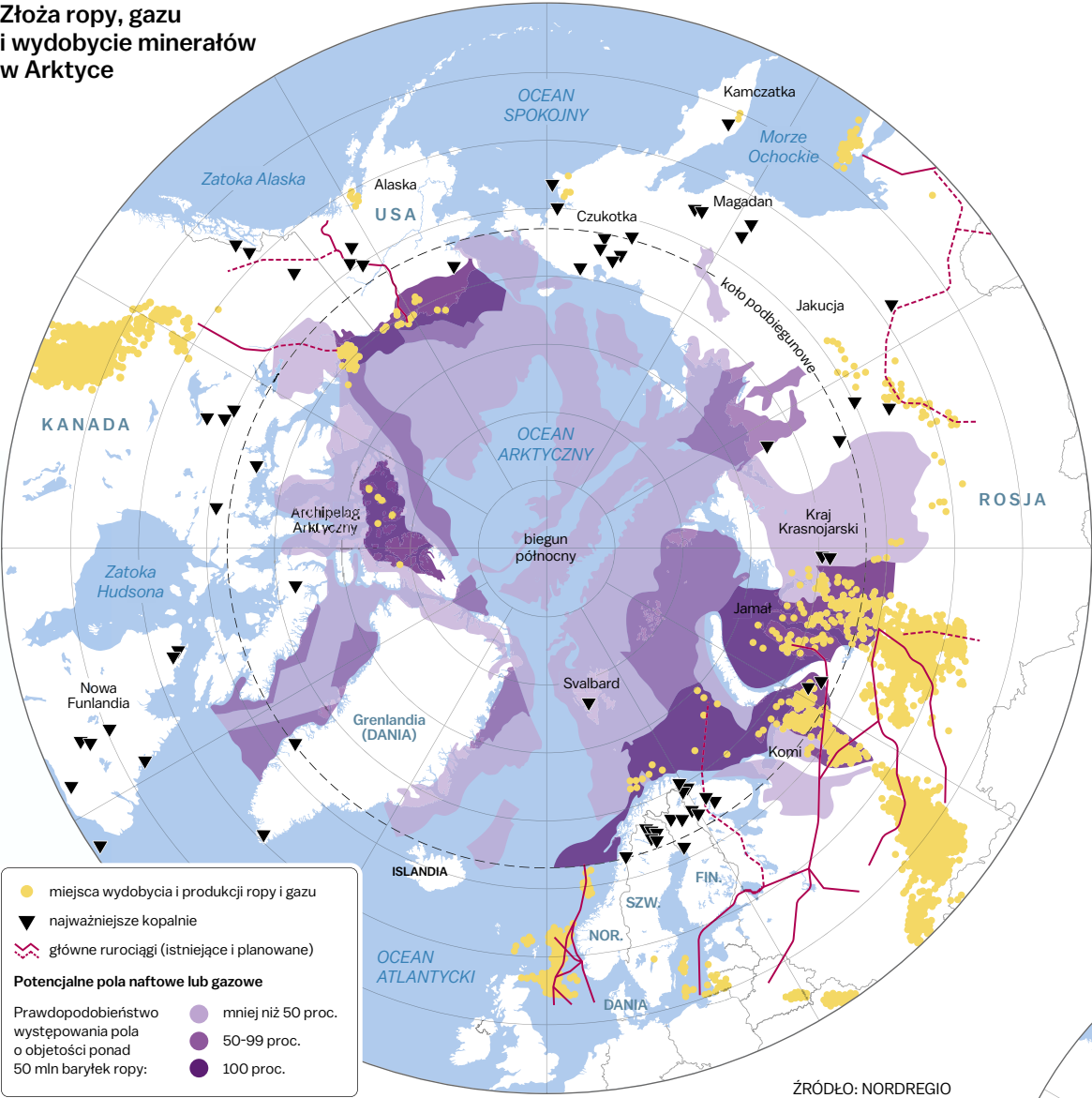


Klasyfikacja obszarów morskich na podstawie konwencji o prawie morza (UNCLOS)

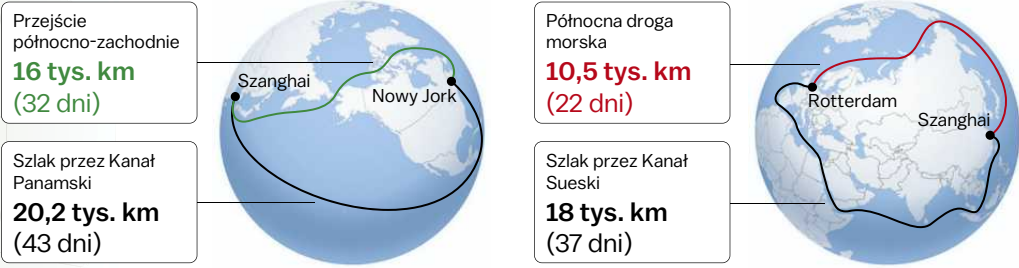


*mila morska (Mm) to 1852 m

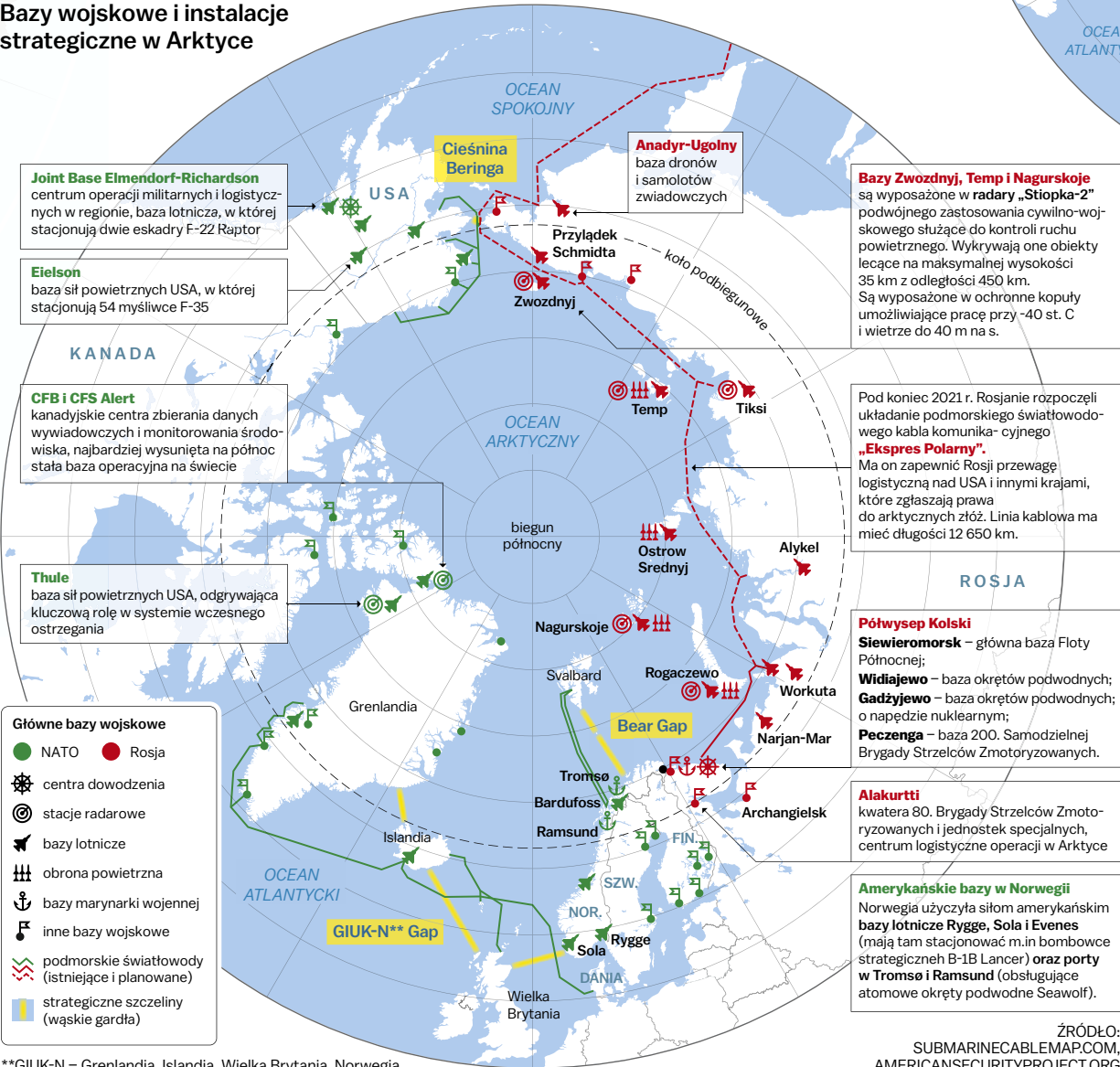
Złoża ropy, gazu
i wydobyćie minerałów
w Arktyce



Porównanie tradycyjnych szlaków morskich z trasami arktycznymi



Bazy wojskowe i instalacje strategiczne w Arktyce



Zasoby naturalne

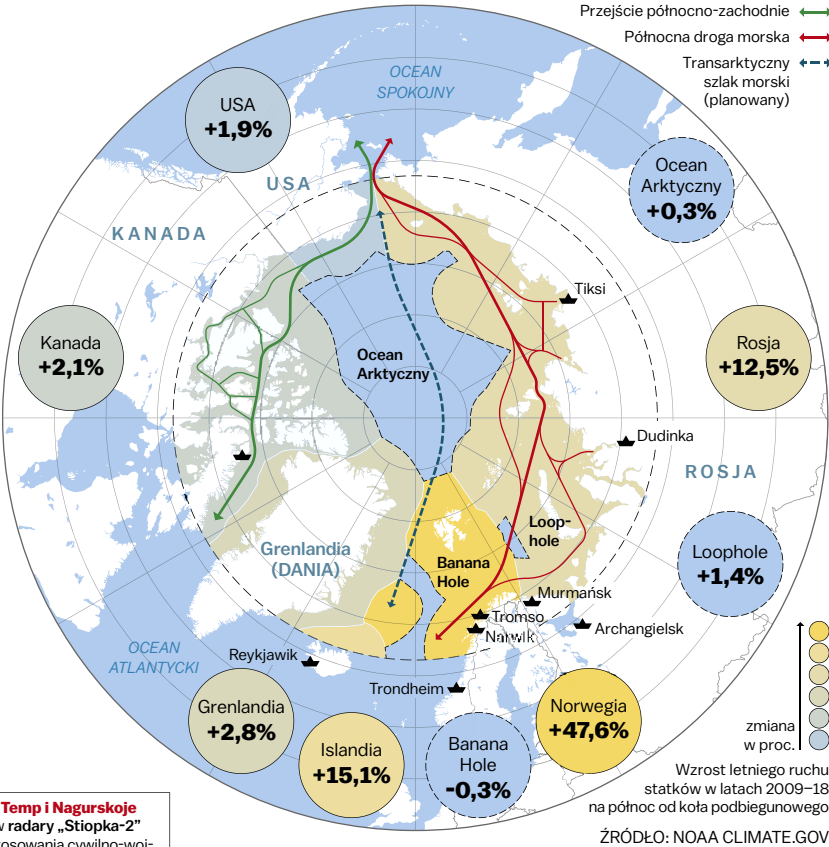
Wielkość złóż ropy naftowej w Arktyce szacuje się na 90 mld baryłek, a objętość złóż gazu ziemnego na 47 mld m sześć. Stanowi to odpowiednio 5,9 proc. i 24,3 proc. znanych światowych rezerw tych surowców. Większość, bo blisko 84 proc. złóż, znajduje się na morzu, które do niedawna przez większą część roku było skute lodem. Oprócz ropy i gazu w Arktyce występują również złoża cennych minerałów metalicznych i niemetalicznych, a także węgla. Są częściowo eksploatowane, jednak pomimo postępujących zmian klimatycznych ich wydobyćie nadal związane jest z wysokimi kosztami i innymi trudnościami takimi jak:

- bardzo niskie temperatury w zimie (odmrozenia, awarie);
- długie linie dostaw i okresowe przerwy w transporcie wymuszające magazynowanie zapasów i większe koszty;
- dryfujące góry lodowe utrudniające transport;
- katastrofy spowodowane topnieniem wiecznej zmarzliny;
- presja społeczna związana z ochroną środowiska i poszanowaniem praw rdzennych mieszkańców.

Transport morski

Armatorzy oraz rządy niektórych państw arktycznych z niecierpliwością czekają, aż wraz z postępującym ociepleniem klimatu północne szlaki morskie staną się łatwo dostępne. Krótsza droga oznacza bowiem mniejsze zużycie paliwa, niższe koszty operacyjne oraz krótszy czas dostaw, co będzie miało wpływ na globalną logistykę i handel. W tym kontekście znaczenia nabiera spór między krajami zgłaszającymi roszczenia do szlaków biegnących przez ich wody terytorialne (Rosja i Kanada) a pozostałymi krajami żądającymi ich umiędzynarodowienia.

Morskie szlaki handlowe i ruch statków w Arktyce



Militaryzacja Arktyki

Po rozpadzie Związku Radzieckiego w latach 90. XX w. Arktyka na pewien czas straciła strategiczne znaczenie jako arena potencjalnego konfliktu militarnego mocarstw. Doprowadziło to do redukcji potencjału wojskowego w rejonie. Sytuacja uległa diametralnej zmianie na początku drugiej dekady XXI w., kiedy Rosja rozpoczęła intensywne działania związane z rozwojem północnej drogi morskiej oraz zwiększeniem wydobyćia ropy i gazu w Arktyce. W regionie ponownie pojawiły się duże ilości rosyjskiego wojska i sprzętu. Reaktywowano blisko 50 nieczynnych placówek wojskowych z czasów sowieckich, zmodernizowano 13 baz lotniczych i 10 stacji radarowych. Wzdłuż wybrzeża rozmieszczono 137 mobilnych systemów przeciwlotniczych S-350, S-400 oraz przeciwokrętowych K-300P Bastion-P. Główną siłą militarną Rosji w Arktyce jest Flota Północna. Dysponuje ona: 80 okrętami nawodnymi i podwodnymi, w tym przenoszącymi pociski nuklearne, siłami powietrznymi, jednostkami obrony powietrznej i obrony wybrzeża, piechotą zmotoryzowaną i piechotą morską oraz jednostkami walki radioelektronicznej. Uzupełnieniem Floty Północnej jest największa na świecie flota łodołamaczy licząca ponad 40 jednostek, w tym cztery o napędzie atomowym. Niektóre z nich, tzw. łodołamacze patrolowe, mogą być uzbrojone w artylerię dziobową lub rakiety manewrujące Kalibr. Odpowiedzią na zwiększoną obecność rosyjskich sił zbrojnych w Arktyce jest zacieśnienie współpracy wojskowej pozostałych państw arktycznych należących do NATO, szczególnie USA i Norwegii. By zrównoważyć siłę rosyjskiej Floty Północnej, Amerykanie reaktywowali rozwiązana w 2011 r. Drugą Flotę oraz rozpoczęli program budowy 10 łodołamaczy (obecnie Amerykanie dysponują tylko dwoma starymi jednostkami).

JUŻ NIE JESTEM RAPEREM, JESTEM ŻOŁNIERZEM

Gdzie rosyjskojęzyczny zespół ma grać i zarabiać?

Wiktorija Bieliaszyn

Wa naszych koncertach i w naszych piosenkach nie ma ani jednego słowa przeciwko specjalnej operacji wojennej. Nie ma ani jednego słowa poparcia dla Ukrainy. Szanujemy przywództwo naszego kraju i zdecydowanie jesteśmy patriotami Rosji”.

Z takimi słowami zwrócili się do fanów Aleksander Krasowicki i Aleksander Zaranekin, muzycy zespołu Zero People. Nagranie ukazało się w sieci dwa dni po przerwaniu przez siłowników koncertu w Petersburgu oraz informacji o odwołaniu trasy zespołu po Rosji. Tło za muzykami wskazuje, że oświadczenie nagrano na komendzie policji. „Oho, poszła nowa fala publicznych przeprosin” – komentują Rosjanie w mediach społecznościowych.

Muzycy od dawna otwarcie występowali przeciwko wojnie z Ukrainą. W wywiadach po aneksji Krymu deklarowali, że „nie wystąpią na półwyspie, póki nie zostanie zwrócony Ukrainie”; Rosję nazywali „przemoco-

wą” i „toksyyczną”; w ramach solidarności z Ukrainą zaśpiewali piosenkę ukraińskiego słynnego zespołu Okean Elzy, a nawet, by ostatecznie zmanifestować niezgodę na wojnę, wyjechali do Izraela. Tylko że wrócili – bo gdzie rosyjskojęzyczny zespół ma grać i zarabiać? – i szybko zdali sobie sprawę, że państwo tak łatwo nie zapomina. By móc kontynuować w Rosji karierę, należy nie tylko się przed władzami ukorzyć, ale i zdecydować na współdzielenie odpowiedzialności. „Trzeba dać władzom splamić się krwią”, tłumaczy mi członek jednego z rosyjskich zespołów, prosząc o anonimowość.

Potwierdza to Dmitry Glukhovskiy, autor kultowej postapokaliptycznej serii „Metro”, który za krytykę Kremla w ubiegłym roku zaocznie skazany przez moskiewski sąd na osiem lat. Nie znalazł się za kratkami, bo ciesząc się popularnością na całym świecie pisarz od lat dzielił życie między Moskwę a Barcelonę.

Glukhovskiy opowiada mi o radykalnej zmianie artystów. Większość z tych, którzy mieli – jak on – albo środki na utrzymanie się za granicą, albo możliwość kontynuowania na Zachodzie działalności, wyjechała,

1 • Taisija Powalij

robiła karierę w Rosji, ale wspierała Ukrainę – dopóki Zełenski nie obłożył jej sankcjami

2 • Dima Bilan

od razu poparł „operację specjalną”, więc za oburzającą patriotów słynną „nagą” imprezę musiał tylko przeprosić

3 • Roman Bityk

„Przedstawiciel piątej kolumny” – mówili o nim przedstawiciele władz i straszili kontrolą, czy nie „finansuje” ukraińskiej armii

4 • Filip Kirkorow

kajał się za „znieważającą żołnierzy” celebrycką imprezę. Odkupił winy wielomilionową donacją

5 • Switłana Łoboda

reprezentantka Ukrainy na Eurowizji, po inwazji przedstawiła całe życie o 180 stopni. Przerwała karierę w Moskwie, zabrała dzieci z rosyjskich szkół

FOT. OLEG KRASAVIN/
CC BY-SA 4.0 (5)



pozbawiając się prawa do powrotu, bo przeciwko wielu najbardziej znanym i rozpoznawalnym władze wytoczyły sprawy karne. Ci, którzy się wzburzyli, podpisali nawet antywojenne listy, ale nie pozwolili sobie na ostrą, długofalową krytykę władz, nabrali wody w usta. „Żyją tak, jak gdyby wojny nie było”, tłumaczy pisarz.

Więcej problemów mają ci, którzy – tak jak Zero People – pozwolili sobie na więcej. W lutym niezależne media donosiły o nowej liście „zakazanych artystów”, którą bezpośrednio z administracji prezydenta dostali producenci muzyczni oraz organizatorzy wydarzeń kulturalnych.

Niby to nic nowego. Podobne listy zaczęły powstawać tuż po inwazji na Ukrainę, ale trafiali na nie znani ludzie kultury, którzy kategorycznie wyrazili swój sprzeciw. Teraz znaleźć mogą się na niej nawet ci jedynie podejrzewani o nielojalność wobec Kremla.

„Zostali objęci nieoficjalnym zakazem wykonywania zawodu: nie mogą występować, nie grać w filmach, teatrach, serialach. Nie mogą liczyć na jakąkolwiek pracę twórczą, bo dzisiaj cała działalność kulturalna w Rosji zależna jest od władz”, opowiada mi Głuchowski.

Tak było w przypadku Iriny Gorbaczowej. Pochodząca z Mariupola aktorka publikowała w mediach społecznościowych wpisy, w których potępiała agresję na Ukrainę, pomagała uchodźcom, a nawet wyjechała z Rosji.

Z czasem wróciła – ale kontynuować pracy nie mogła, a premiera filmu, w którym zagrała główną rolę stanęła pod znakiem zapytania.

Wszystko zmieniło się w styczniu, kiedy udzieliła wywiadu prokremlowskiej dziennikarce Madonnie Duniajewej. Oświadczyła, że jest „częścią swojego państwa”, zapewniła, że „wybrała życie w Rosji, bo ją kocha” i poskarżyła się na przyjaciół oraz bliskich, którzy z tego powodu się od niej odwrócili. Opozycyjna telewizja Dożd ujawniła, że deklaracje aktorki nie były przypadkowe: udzielenie wywiadu było warunkiem, które postawiły władze po tym, jak ujął się za nią Nikita Michalkow, niegdyś wybitny reżyser, dzisiaj – zagorzały propagandysta. Aktorka miała być mu potrzebna do filmu „Muzykanci z Bremy”, którego był producentem.

„Opowieść o bardzo patriotycznym życiu osobistym oraz poparcie dla wojny – wszystko to padło, by nikt nie miał wątpliwości, dlaczego aktorka o ukraińskim pochodzeniu i niegasnącym współczuciu dla ofiar wojny występuje w filmie nakręconym za państwowe pieniądze”, komentowała Julia Taratura, dziennikarka Dożd.

„Przerażające. Usprawiedliwia wszystko, co zostało zrobione z jej miastem”, pisali pod nagraniem aktorki jedni. Inni zarzucali, że się „sprzedała”. „Mając do wyboru: sumienie czy łódówkę, wybrała to drugie”, pisał inni. Wielu przypominało wywiady sprzed lat, w których aktorka krytykowała rosyjskie władze za antyukraińską narrację i kłamstwa na temat rusofobii w Ukrainie. „Kolejne rozczarowanie”, ubolewali ci, którzy uważnie obserwują zmiany zachodzące w poglądach rosyjskich artystów.

Co wydarzyłoby się, gdyby Gorbaczowa nie ukorzyła się przed władzami? Nie tylko nie otrzymałaby nowych propozycji i angaży, ale też zostałaby „wymazana” z tych projektów, w których zdążyła zagrać. Przesada? Taki los spotkał Danił Kozłowski i Ksenię Rappoport, aktorów, którzy otwarcie potępili wojnę. Ich nazwiska zniknęły nie tyl-

ko z teatralnych afiszy, ale także z napisów końcowych filmu, w którym zegrali jeszcze przed rozpoczęciem przez Rosję inwazji na Ukrainę. Magazyn filmowy „Biulleten kinoprokatczika” zwrócił uwagę, że w procesie montażu filmu „Lietuczij Korabl”, już po pierwszych antywojennych oświadczeniach aktorów zdecydowano, że twarz Rappoport zasłoni nałożona komputerowo maska. Z Kozłowskim mieli mniej problemów: do roli został ucharakteryzowany tak, że jest właściwie nierozpoznawalny.

Blogger i pisarz Iwan Filippow zwracał uwagę, że prowojenne oświadczenia, a w niektórych przypadkach także działania artystów często pojawiają się po dniach lub tygodniach kampanii nienawiści, rozpętywanej przeciwko nim przez propagandowe media lub kanały w Telegramie.

Tak było w przypadku Romana Bilyka, lidera popularnego zespołu Zwieri. Bilyk, który jeszcze niedawno solidaryzował się z prześladowanym przez władze reżyserem Kirilem Sieriebriennikowem, a później potępił wojnę, zaczął jeździć na Donbas z koncertami dla żołnierzy rosyjskiej armii. Zszokowało to i rosyjskich fanów, którzy znali poglądy Bilyka, i ukraińskich. Niezależna redakcja Meduza cytowała na początku wojny wiadomość mieszkańca Odessy, który relacjonował, że „pobyt w schronie pomagały przeżyć mu piosenki ulubionego zespołu Zwieri”.

Dziennikarzom śledczym udało się ustalić, że kiedy Bilyk, artysta w gruncie rzeczy w dużej mierze apolityczny, zorientował się, że jego kariera może się bezpowrotnie zakończyć, poprosił o wybaczenie. „Roman ma słabość, a są nią pieniądze. Postawili mu ultimatum: jeśli chcesz koncertować i zarabiać, jedź na Donbas”, mówiły osoby z bliskiego otoczenia zespołu Meduzie.

Sprawa wygląda jednak na mniej prozaiczną. Bilyk mógł nie wytrzymać presji, jaką władze zaczęły wywierać nie tylko na niego, ale i na zespół. Po tym, jak do prokuratury wpłynęło zawiadomienie o antywojennych

poglądach Bilyka, koncerty grupy „Zwieri” zaczęły być notorycznie odwoływane.

A on sam stanął w obliczu naprawdę poważnych problemów prawnych. Krótko przed medialną wycieczką Bilyka na Donbas prowadzony w Telegramie kanał Shot ujawnił, że władze żądają specjalnej kontroli, czy muzyk nie finansuje Sił Zbrojnych Ukrainy. A za to w Rosji grozi nawet dwadzieścia lat. „Bilyk ma bogatą biografię prawdziwego przedstawiciela piątej kolumny. Ten idol młodzieży wielokrotnie opowiadał, jak nigdy nie głosował w wyborach prezydenckich, jak społeczeństwo boi się policji i nie ufa władzom, i jak należy bojkotować wybory” – tak wtedy wypowiadali się o nim ludzie putinowskiej partii Jedna Rosja. Po powrocie Bilyka z Donbasu ci sami politycy zaczęli mówić: „Każdy ma prawo do błędu. Zreflektował się, poprawił”.

Od antywojennych artystów, którzy chcą odzyskać prawo do pracy, władze żądają różnych rzeczy. Od jednych – opublikowania wpisu z poparciem Kremla w mediach społecznościowych. Od innych wsparcia rosyjskich żołnierzy czy zaangażowania się w pomoc na rzecz ludności z „wyzwolonych przez Rosję terytoriów”. Najważniejsze, by artysta zrobił to publicznie.

Muzyk przeciwny wojnie, który pozostał w Rosji, bo „to tam, a nie na Zachodzie jest jego publiczność”, mówił anonimowo dziennikarzom Meduzy, że i on podpisał „cyrograf z diabłem”. Po serii antywojennych wypowiedzi otrzymał wiadomość od producenta, którego z kolei ostrzegła administracja prezydenta. „Powiedzieli mi, że moje projekty nie ujrzą światła dziennego i że mogę pożegnać się z pracą. Mówili, że na cholerę było publikować głupoty w internecie. I że jeśli chcę się poprawić, to muszę pomóc dzieciom z okupowanych terytoriów, które zostały wywiezione do Rosji”, opowiadał.

Znajoma reżyserka teatralna z Moskwy zwraca moją uwagę na historię aktorki Iriny Starszenbaum, która 24 lutego 2022 r. napisała w mediach społecznościowych: „Nic nie



usprawiedliwia wojny i nie mam słów, by wyrazić cały ból i przerażenie tego poranka. Ukraińcy, proszę, wybaczenie moją bezradność. Pragniemy natychmiastowego zaprzestania tych potwornych działań”.

Wpis już nie jest dostępny, a Starszenbaum zaangażowała się w pomoc podopiecznym fundacji „Doktor Liza”, zajmującej się m.in. „leczeniem dzieci, które ucierpiały na skutek działań wojennych w Donbasie”. Dziennikarze Meduzy dowiedzieli się, że aktorka wybrała taką formę zaangażowania, by „nie popierać działań wojennych”. Bo początkowo takiego dowodu lojalności oczekiwac od niej władze.

„W Rosji wciąż nie brakuje ludzi, którzy są przeciwko wojnie, ale boją się o tym mówić”, opowiada o takich kompromisach Glukhovsky.

Obserwuję to, kiedy zwracam się z prośbą o rozmowę do znanych mi od dawna reżyserów, aktorów czy muzyków, którzy zostali w Rosji, a co do antywojennych poglądów których jestem pewna. „Nie mogę. Wybacz mi”, mówi mi dyrektor jednego z najpopularniejszych rosyjskich teatrów.

•
To, że Kreml nie chce, by popularni ludzie propagowali antywojenne poglądy w społeczeństwie, jest oczywiste. Ale chodzi o coś więcej. Andriej Kolesnikow, ceniony politolog, badacz Centrum Carnegie, tłumaczy, że to kolejny krok władz ku transformacji reżimu. „Państwo dąży do pełnego totalitaryzmu, przenika do wszystkich sfer życia społecznego, kontroluje muzea, wydawnictwa, teatry, nawet biblioteki. Obywatele, a więc i działacze kultury muszą współuczestniczyć, udowadniać swoją lojalność i poparcie”.

Dotyczy to nie tylko rosyjskich twórców, ale i ukraińskich – tych, którzy sławę i rozpoznawalność zyskali w Rosji. Po inwazji dziennikarze zwracali uwagę, że „specjalna operacja wojenna” doprowadziła do „deukranizacji” rosyjskiej sceny muzycznej. Większość ukraińskich artystów, którzy wcześniej śpiewali dla rosyjskiej publiczności, całkowicie usunęło swoją muzykę z rosyjskich serwisów streamingowych. Wielu przeszło też na język ukraiński, mimo że wcześniej tworzyli głównie albo wręcz tylko po rosyjsku.

Tak było z Luną, jedną z najpopularniejszych ukraińskich piosenkarek. Nie wycofała co prawda dotychczasowych albumów z rosyjskich platform, ale nie zamieszcza już nowych. 24 lutego 2022 r. artystka, która przez lata, także po aneksji Krymu, koncertowała głównie w Rosji, deklarując, że „nie interesuje się polityką”, zapewniła, że „nigdy więcej tam nie pojedzie”. „Jeździłam do Rosji dla fanów. Teraz to się zmieni. Nie będę pisać więcej piosenek po rosyjsku. Mam napisany cały album w języku rosyjskim, ale nie mogę go nawet słuchać”, mówiła mi w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów”.

Tylko że Luna w Rosji jedynie bywała. A część ukraińskich artystów ułożyła sobie w niej życie. Switłana Łoboda, która reprezentowała ojczyznę na Eurowizji, mieszkała w Moskwie wiele lat. Tam uczyły się jej dzieci, tam mieszkała jej mama. Dziennikarce Katerinie Gordiejewej mówi, że aż do 24 lutego 2022 wydawało jej się, że polityka jej nie dotyczy. Gdy Rosja uderzyła, a życie jej ojca, mieszkającego w atakowanym w Irpieniu, było zagrożone, wybrała „stronę światła, stronę dobra” i zerwała z Rosją. „Dzieci kiedyś zapytają mnie, co robiłam, kiedy Rosja napadła na Ukrainę. Nie będę musiała wstydić się odpowiadać na to pytanie”.

•
Wśród mieszkających w Rosji artystów z Ukrainy są jednak i tacy, których rodacy nazywają zdrajcami. Jednym z nich jest pochodzący z obwodu ługańskiego Jurij Bardasz, producent popularnych zespołów Quest Pistols i Griby, były mąż Luny. Muzyk, który jeszcze w 2019 r. mówił w wywiadach, że „ma nadzieję na pokój wraz z dojściem do władzy prezydenta Zelenskiego”, dzisiaj jest prokremlowskim „Z-patriotą”. We wpisach

na Telegramie przekonuje, że Ukraina „powinna zostać przyłączona do Federacji Rosyjskiej”, a była żoną nazywa „ukraińską nazistką”.

To jednak najbardziej skrajny przypadek. Większość ukraińskich muzyków, którzy nie zdecydowali się na wycofanie się z rosyjskiego rynku, po prostu milczy na temat wojny. Inni wręcz działają aktywnie w branży, ale pod pseudonimami. „Każdy chce zarabiać pieniądze. Znam wielu autorów piosenek i twórców klipów z Ukrainy, którzy nadal pracują na rynku rosyjskim, ale anonimowo”, mówią Meduzie ludzie z branży.

Milczenie i brak jasnego stanowiska niekiedy wystarcza, by władze Ukrainy odpowiadały represjami, na co z kolei artyści reagują radykalizacją. Taisija Powalij mieszka w Moskwie od kilkunastu lat, ale jeszcze niedawno dedykowała piosenki „Niezależnej Ukrainie”. Lecz gdy Zelenski ogłosił, że zostaje objęta sankcjami, zaczęła publicznie chwalić Putina. „W tym, co robi prezydent Rosji, widzę ratunek”, mówiła o inwazji w państwowej telewizji.

Dla jakich stawek Ukraińcy kolaborują, Rosjanie uelastyczniają kręgosłupy? Jakiekolwiek uśrednianie płac artystów w Rosji nie ma sensu. Jak wszędzie – nieznani szerzej publice aktorzy i muzycy ledwo wiążą koniec z końcem. Co innego ci, którzy zyskali popularność. Noize MC i Władi, popularni zwłaszcza wśród młodzieży raperzy, którzy po inwazji na Ukrainę wyjechali z kraju, już dziesięć lat temu roczne dochody z samych koncertów w Rosji liczyli w dziesiątkach milionów rubli. „Tacy ludzie wiele stracili. Na emigracji nie mają szans, by gromadzić tak liczną publiczność jak w Rosji”, mówił dziennikarz muzyczny Dmitrij Koleziow na YouTube.

I zauważył, że chociaż utalentowanych muzyków w Rosji ubyło, bo albo wyjechali, albo zostali zakazani, to popyt na artystów pozostał na tym samym poziomie. „Kogoś trzeba zapraszać na koncerty i imprezy zamknięte, dni miast, festiwale. Ci, którzy nie zabierają głosu na temat wojny albo ją popierają mają możliwość zarobienia ogromnych pieniędzy”.

Rzeczywiście. „The Moscow Times” ujawnił, jak władze nagradzają lojalnych: zespół Uma2rman może liczyć nawet na 4 miliony rubli za pojedynczy występ na patriotycznym festiwalu.

•
Mieszkający w USA reżyser Michail Łokszyn, który ma doświadczenie pracy w Rosji i na Zachodzie podkreśla, że stara się dostrzegać niuanse sytuacji, mimo że sam od początku otwarcie występuje przeciwko rosyjskiej agresji.

W wywiadzie w Meduzie mówi, że nie wierzy w gorące poparcie rosyjskich artystów dla władz i wojny. „Wielu z tych, którzy pozostali w Rosji, jest zakładnikami. Nie każdy może wyjechać. Nie każdy może od nowa zacząć karierę, zwłaszcza w wieku dojrzałym. Nie zawsze wiemy, dlaczego ludzie w Rosji publicznie popierają wojnę. Niewykluczone, że zostali do tego zmuszeni. Staram się o tym pamiętać”.

Nie wszyscy mają tyle zrozumienia. W ostatnich miesiącach wielu Rosjan dziwiło się, dlaczego ci, którzy przez lata cieszyli się ogromną popularnością, pozwalają władzom poniżać się i upokarzać.

Takie reakcje szczególnie często wybrzmiewały po serii publicznych przeprosin najbardziej rozpoznawalnych gwiazd i celebrytów, które naraziły się Kremlowi udziałem w tzw. „golej imprezie”. Zdjęcia sławnej dziennikarki celebrytki Kseni Sobczak, muzyka Filipa Kirkorowa, piosenkarza Dimy Bilana czy blogerki Nastii Iwielewej, które wyciekły z zamkniętego wydarzenia, obiegły pod koniec roku media i sieci społecznościowe, a obowiązujący dress code „nie-malże nago” oburzył prokremlowskich aktywistów i propagandystów. Wielu z nich dostrzegło w imprezie „propagandę LGBTQ”, inni dopatrywali się „zniewagi rosyjskich żołnierzy w tak trudnym dla ojczyzny momencie”. Władze zareagowały ostro, grożąc

uczestnikom sprawami karnymi i nawołując do ich bojkotu.

„Mogę mówić za siebie: z pewnością nie chciałam nikogo urazić ani obrazić. Jeśli ktoś poczuł się urażony moim wyglądem, przepraszam. Kocham swój kraj, jestem dziennikarką, która pracuje w Rosji. Nie chcę wywoływać uczucia nienawiści do mnie i innych artystów z powodu tak głupiego zachowania”, tłumaczyła się w mediach Sobczak – ta sama, która jeszcze kilka lat temu, bazując na swojej popularności wśród młodych, zamierzała rzucić wyzwanie Putinowi jako liberalna polityczka. Podobne oświadczenia wideo opublikowali inni uczestnicy imprezy.

Nie wszystkim to jednak pomogło. Raper Vacio, który przyszedł na imprezę w samych adidasach oraz skarpetce założonej na genitalia, najpierw trafił dwukrotnie do aresztu, kolejno na piętnaście i dziesięć dni, a prosto zza krat – na komisję wojskową.

„Jestem gotów zmienić swoje życie. Chcę, żebyście zrozumieli jedną rzecz. Nie jestem już tą osobą, którą byłem wcześniej. Nie jestem raperem. Jestem profesjonalnym muzykiem. Kiedy podjąłem decyzję o zmianie swojego życia, zmieniłem również wektor mojej twórczości, w której teraz promuję zdrowy styl życia, starając się przekazać publiczności, że alkohol i narkotyki są złe. Nigdy nie propagowałem LGBTQ”, napisał dwudziestoparolatek na Telegramie. Reprezentujący go adwokat przekazał zaś mediom, że były raper postrzega „czekającą go służbę w armii jako zaszczyt”.

Piosenkarz Filip Kirkorow miał więcej szczęścia – musiał przelać pięć milionów rubli – ok. 215 tys. zł – na rzecz fundacji w Białgorodzie, pomagającej ofiarom ostrzałów, ale nie poszedł w kamasze.

•

Ale na grzywnie czy poborze odkupienie się nie kończy. Niezależne media zwracają uwagę, że wszyscy uczestnicy „golej imprezy” publikowali w mediach społecznościowych dowody na udział w głosowaniu w wyborach prezydenckich, a niektórzy wprost agitowali za Putinem. „Po raz pierwszy posłuchałam orędzia prezydenta. Pójdę głosować na inicjatywy i projekty, o których mówił”, deklarowała blogerka Nastia Iwliejewa.

„Rozumiem, jak ktoś nie ma co ze sobą zrobić, ale oni? Przecież mogliby spokojnie wyjechać, stać ich na to”, komentowała na Facebooku znana rosyjska dziennikarka. Ale w prywatnym wpisie.

Tylko że mało kto może wyjechać i kontynuować karierę poza Rosją. A na pewno nie na takim poziomie. Muzyk, który poszedł na kompromis z władzami i zgodził się – w ramach przeprosin za antywojenne poglądy – wystąpić przed „dziećmi Donbasu”, mówił dziennikarce Światłanie Rejter: „Nie jestem na Zachodzie nikomu potrzebny. Jeśli władze każą mi zrobić coś gorszego, pójść na trudniejszy kompromis, to wyjadę, ale wiem, że ze sceny trafię na taksówkę. Mam prawo jazdy, zostanę kierowcą”. „Jeśli wypowiedziałeś się przeciwko wojnie i zdecydowałeś się wyjechać, przygotuj się na życie podłóg. Tam nie ma pracy w twojej specjalności, tlen się kończy, a ty masz rodzinę”, mówił Meduzie jeden z reżyserów, który ze względu na brak perspektyw, zdecydował się pozostać w kraju.

Piosenkarzowi czy filmowcowi nietatwo odnaleźć się na globalnym rynku. Musi być naprawdę oryginalny, bo albo jest zbyt zanurzony w specyficznej kulturze, estetyce, tradycji, albo nie ma do zaoferowania czegoś wyjątkowego, bo w Rosji powiełał globalne trendy. Ale ludziom zalepca, technikom, specjalistom powinno być łatwiej.

Nic z tych rzeczy. Operator dźwiękowy, który nie chciał firmować swoją pracą reżimu, wyjechał z Moskwy do Kazachstanu. Wrócił po kilku miesiącach. Czemu, wyjaśnił w rozmowie z Ważnymi Istoriami. „Wynagrodzenie jest tam czterokrotnie niższe za tę samą ilość pracy. W Moskwie dostaję 200 tys. rubli miesięcznie za projekt [8600 zł], w Kazachstanie 50 [2100 zł]. Do tego w lokalnej walucie”. ●

Premier Kanady przejmował władzę w aurze niemal celebryckiej, potem zabrał się za udowodnianie, że jesteśmy najlepszym krajem na świecie. I teraz ma już z kim przegrać.

Maciej Czarnecki

Jeszcze parę lat temu liberalne media na Zachodzie rozpisywały się z zachwytem o premierze Kanady Justinie Trudeau jako o „moralnym przywódcy wolnego świata”. Takich peanów już nie słychać, a w sondażach przed wyborami w 2025 r. jego Liberalowie wyraźnie przegrywają z Konserwatystami. Co się stało?

LORI TURNBULL*: Trudeau doszedł do władzy w 2015 r. na fali zwycięstwa poprzednim rządem. Był młody, fotogeniczny, miał status niemal celebrycki. Wzbudził ogromny entuzjazm obietnicami zmian i transformacji partii. Prowadził kampanię w oparciu o wartości: więcej transparentności w życiu publicznym, budowa nowych relacji z rdzenną ludnością, inny sposób rządzenia.

Po niemal dekadzie każdy tracił blask. Być może w jego przypadku, z uwagi na te celebryckie uwarunkowania, utrata popularności jest gwałtowniejsza.

To, co kiedyś ujmowało, teraz ludzi irytuje?

Turnbull: Może trochę tak. Ale nawet kiedy wygrywał wybory, większość Kanadyjczyków głosowała na inne partie. Dla wielu jest postacią mocno polaryzującą.

Zawsze dużo mówił o wartościach. Przekonywał, że musimy coś zrobić, bo „tak należy”, bo „to słusne”: mieć w rządzie co najmniej tyle samo kobiet, co mężczyzn, doprowadzić do pojednania z ludami rdzennymi itd. Kiedy ktoś taki popełnia błąd, wypada to na prawdę źle. Bo przecież cała swoją polityczną markę budował wokół wizerunku „dobrego człowieka”.

Każdy polityk przekonuje, jak bardzo leży mu na sercu dobro ogółu, ale nie wszyscy czynią z tego oś kampanii. Niektórzy, dajmy na to, deklarują, że ich zadaniem jest naprawa gospodarki, tworzenie nowych miejsc pracy, a niekoniecznie udowodnienie, że jesteśmy najlepszym krajem na świecie.

Większość skandali wokół Trudeau to były niewymuszone błędy, które sam popełnił.

DANIEL BÉLAND**: Zaskoczyły mu choćby naciski na ówczesną minister sprawiedliwości i prokuratorkę generalną Jody Wilson-Raybould w sprawie mającej siedzibę w Montrealu firmy inżynierskiej SNC-Lavalin. Na dodatek Wilson-Raybould była pierwszą rdzenną Kanadyjką na tym stanowisku, co dodatkowo uderzyło w wizerunek premiera. Z kolei afera z malowaniem twarzy na czarno [gest uważany za rasistowski] w czasach studenckich odbiła się echem na całym świecie.

Pandemia początkowo pomogła premierowi. Codziennie pojawiał się w telewizji, by zapewnić ludzi, że państwo nad nimi czuwa. Spró-



FOT. RUBENS ALARCON / ALAMY STOCK PHOTO

Przygasa gwiazda

TRUDEAU
CHCIAŁ
ODEJŚĆ.
I WTEDY
POJAWIŁ SIĘ
RYWAL

bował wykorzystać ten moment, by odzyskać utraconą w 2019 r. większość parlamentarną, po której uformował rząd mniejszościowy. W sierpniu 2021 rozpisano nowe wybory, ale plan odzyskania większości się nie powiódł. Potem natomiast nadeszła seria ostrych protestów przeciwko szczepieniom i restrykcjom covidowym.

Pojawił się też nowy przywódca konserwatystów – Pierre Poilievre – skuteczny w mobilizowaniu konserwatywnego elektoratu. Punktuje Trudeau zwłaszcza w związku z rosnącymi kosztami życia w Kanadzie, inflacją, wysokimi ratami kredytów hipotecznych, brakiem dostępnych cenowo mieszkań, a także imigracją.

Do tego liberalowie są już u władzy długo. To naturalne, że władza się „zużywa”. Ponadto Trudeau nigdy nie był popularny w Albercie, czwartej największej prowincji – wydobywającej ropę naftową, bardziej konserwatywnej, bogatszej.

„The Economist” swego czasu określił Poilievre’a mianem kanadyjskiego Trumpa. Béland: To zbyt nie uproszczenie. Jeśli mówimy o fali prawicowego populizmu, którą widać w Europie, Ameryce Łacińskiej i USA, to u nas wpisuje się w nią skrajnie prawicowa Kanadyjska Partia Ludowa, ale nie ma wysokich notowań. Poilievre potrafił odbić jej wyborców, umie-

jętnie podpinając się pod retorykę wolności i niezależności.

Będąc politykiem głównego nurtu w Kanadzie, nie możesz powiedzieć pewnych rzeczy. Np. wypowiadać się mocno przeciwko imigracji. Zamiast tego będziesz przekonywał, że powinniśmy ograniczyć liczbę pracowników z zagranicy. Jednak musisz bardzo uważać, bo tak wielu Kanadyjczyków to potomkowie imigrantów.

Przecież w wielu krajach imigranci albo dzieci imigrantów bywają bardzo antyimigrancy. Przypominają mi się rozmowy z Polakami wspierającymi UKIP, dawną partię Nigela Farage’a w Wielkiej Brytanii.

Béland: Kanada jest inna. Panuje tu przeświadczenie, że imigracja jest dla kraju pozytywna. Tylko w Quebecu jest trochę inaczej, częściowo z uwagi na obawy o ochronę języka francuskiego. Dawniej chodziło o ochronę katolicyzmu. Tyle że jesteśmy już świeckim społeczeństwem. Zostały jednak sprawy językowe i to dlatego imigracja rodzi w Quebecu napięcia większe, niż w innych częściach kraju.

Generalnie jednak, jak posłuchać Poilievre’a, to owszem, bywa bardzo bezpośredni i złośliwy w swoich atakach na rząd, posługuje się populistyczną retoryką, ale robi to w inny sposób, niż Trump. To człowiek, który jest w polityce, odkąd miał dwadzieścia kilka lat, szybko został posłem – przeciwieństwo Trumpa, „outsidera, który chce osuszyć bagno”. Ciężko mu mówić, że cała klasa polityczna jest skorumpowana, bo jest jej częścią od ponad dwóch dekad.

Turnbull: Pewne elementy retoryki Poilievre’a i Trumpa są podobne, ale jest też wiele różnic. Łączą ich populistyczne próby zjednywania sobie ludzi, którzy czują się wyrzuceni na margines społeczeństwa. Poilievre mówi, że fajnie byłoby wrócić do czasów, w których każdy ciężko pracował i razem budowaliśmy ten kraj – to trochę takie „Make Canada Great Again”. Jednak nie obwinia o wszystko imigrantów. Próbuje tylko powiązać kwestię imigracji z dostępnością mieszkań, przekonując, że musimy ograniczyć ją do poziomu, w którym dla każdego znajdzie się miejsce do życia. Odnosi w tym pewne sukcesy, bo sytuacja na rynku mieszkaniowym rzeczywiście wymknęła się spod kontroli. Wielu ludzi po prostu nie stać na własny dom.

Oczywiście wszystko zależy od poziomu dochodów, regionu, tego, czy żyjesz w mieście, czy na wsi. Atlantyczne wybrzeże Kanady bardziej odczuwa skutki kryzysu, ma mniejszą gospodarkę. Pandemia zwiększyła jeszcze różnice między biednymi a bogatymi. Dla uboższych dużym problemem są koszty opieki zdrowotnej. Badania pokazują korelację między problemami ekonomicznymi ludzi a ich podatnością na dezinformację.

Główna różnica między Trudeau a Poilievre’em?

Turnbull: Na pierwszy rzut oka na pewno osobowość. Trudeau to ekstrawertyk, ma charyzmę, czaruje uśmiechem, chce zjednywać sobie ludzi, czerpie od nich energię. A Poilievre dopiero zaczął się tego uczyć.

Mają też inne przesłanie. Poilievre nie podkreśla tak bardzo wartości, a już na pewno nie w progresywnym, równościowym wydaniu, tylko skupia się na go-

spodarce. To prostsza, bardziej tradycyjna polityka.

Jak na kanadyjską politykę wpłynąłby powrót Trumpa do Białego Domu po listopadowych wyborach?

Béland: Jeśli Liberalowie dalej będą wtedy przy władzy...

Zaraz, a mogą nie być?

Béland: Nasze wybory są zaplanowane na październik 2025, ale przecież rząd mniejszościowy może upaść w każdym momencie. Dlatego jestem ostrożny.

Tak czy inaczej, powrót Trumpa oznaczałby spory ból głowy dla Kanady. Pojawiłyby się obawy o kolejne ataki na układ NAFTA 2.0 [układ o wolnym handlu między Kanadą, USA i Meksykiem], spory o politykę handlową, kwestia kontroli granicy.

Za to w wymiarze politycznym... Trump nie cieszy się w Kanadzie zbytnią popularnością. Ma trochę zwolenników, z których wielu wspiera też Poilievre’a. Jeśli będzie szkodził Kanadzie, wywoływał konflikty, Trudeau będzie mógł wskazać palcem na Poilievre’a: „patrzcie, co się dzieje, kiedy wybierze się populistę”.

Liberalowie już próbują kojarzyć go z Trumpem.

Béland: W niezbyt udany sposób. Ale sam fakt, że Trump ubiega się o Biały Dom, daje im okazję do takich porównań.

Turnbull: Trudeau na pewno próbowałby straszyć konserwyzmem Poilievre’a i przekonywać, że pod jego rządami Kanada byłaby uległa wobec Trumpa. Z drugiej strony, nie wiem, czy ludzie są przekonani, że sam Trudeau potrafiłby poradzić sobie z Trumpem w jego drugiej kadencji.

Jeśli wyniki sondaży się potwierdzą i Poilievre dojdzie do władzy, to utrzyma proukraińską politykę Kanady?

Béland: Ostatnio konserwatyści opowiedzieli się przeciwko ustawie o wolnym handlu między Kanadą a Ukrainą, bo wiąże to z kwestią opodatkowywania emisji dwutlenku węgla. Generalnie jednak Kanada jest mocno oddana sprawom Ukrainy i NATO. Choć wydajemy na obronę znacznie mniej, niż powinniśmy. USA i inni sojusznicy naciskają na nas, byśmy zwiększyli te wydatki. Konserwatyści są bardziej jastrzębi w polityce zagranicznej...

Republikanie w USA kiedyś też tacy byli – ale w erze Trumpa przynajmniej niektórzy prze-dzierzgnęli się w piewców izolacjonizmu?

Béland: Na razie nie. Trzeba też podkreślić, że mocno słyszalni są tu ukraińscy Kanadyjczycy. To ważna grupa zwłaszcza w zachodniej Kanadzie, gdzie konserwatyści są mocni. Nasze mocne poparcie dla Ukrainy ma zatem korzenie także w demografii. Zwłaszcza że po inwazji z 2022 r. kolejni Ukraińcy przybyli do Kanady jako uchodźcy.

Są w Kanadzie skrajnie prawicowi politycy, którzy kwestionują nasze wsparcie i bywają nawet prorosyjscy, ale nie sądzę, by Poilievre zwrócił się w tę stronę. Liberalowie zaraz by to wykorzystali politycznie.

Jeśli chodzi o obecny rząd, nie zapominajmy, że ministra finansów Chrystia Freeland, praktycznie druga osoba w gabinecie po

Trudeau, ma ukraińskie korzenie i płynnie mówi po ukraińsku.

Jesienią było trochę spekulacji na temat rezygnacji Trudeau i nowego przywództwa Liberalów. Temat skończony?

Turnbull: Jest coraz mniej czasu, by to się stało. To jeszcze możliwe, lecz z każdym dniem staje się mniej prawdopodobne. Widać, że on chce poprowadzić partię do wyborów. Pojedynek z Poilievre’em jest dla niego ważny. W starciu politycznym czuje się jak ryba w wodzie. Wystarczy spojrzeć, jak zachowuje się w Izbie Gmin – wprost tryska energią. Jednak w kampanii będą liczyli się nie tylko przywódcy, ale i pomysły na gospodarkę, inflację, kryzys mieszkaniowy, opiekę zdrowotną.

Béland: Jesienią był bliski decyzji o odejściu, ale jeden z bliskich współpracowników przekonał go, by został. Tak powiedziała mi osoba z rządu. Niektórzy nadal uważają, że powinien odejść – to jasne. Parę miesięcy temu nawet jeden z jego posłów z Nowej Fundlandii i Labradoru, Ken McDonald, powiedział, że może nadszedł czas, by pomyśleć o nowym przywództwie. Jednak szybko się z tego wycofał. Nie ma więc otwartej rewolty. Nawet jeśli nie jest już tak popularny jak w 2016 r., to nie ma wyraźnej alternatywy. Niektórzy uważają, że Mark Carney, były szef Banku Kanady, może być przyszłością partii. Inni mają wątpliwości, czy pozbycie się Trudeau pomoże. Na tym etapie wydaje się, że wszystko zależy od osobistej decyzji premiera. Jeśli zechce odejść, nadal jest na to czas. Inflacja spadła, ale nadal jest problemem dla wielu Kanadyjczyków.

Ustawmy to w odpowiednim kontekście: w najgorszym momencie mieliście inflację na poziomie 8 proc., my w Polsce – 18 proc.

Béland: Jasne, w porównaniu do Argentyny to rzeczywiście nic. Teraz inflacja spadła poniżej 3 proc. Ale raty kredytów nadal są wysokie.

Poza tym konserwatyści byli naprawdę dobrzy w uwypuklaniu tego problemu. Jeśli ktoś bez przerwy powtarza, że jest źle, rozbudza w ludziach gniew na władzę. To akurat łączy ich z Republikanami w USA. Choć tu mamy raczej do czynienia z retoryką anty-Trudeau, a nie w ogóle z podważaniem władzy rządowej.

Owszem, w Kanadzie też mamy czasem libertarianie tyrały o tym, że każdy rząd jest zły. Ale ten nurt jest słabszy niż w USA. Historycznie kładzie się naciska na porządek i dobre rządzenie, które zapisane są w naszej konstytucji. W przeciwieństwie do naszych sąsiadów, nigdy nie mieliśmy wojny domowej ani rewolucji. ●

*Lori Turnbull

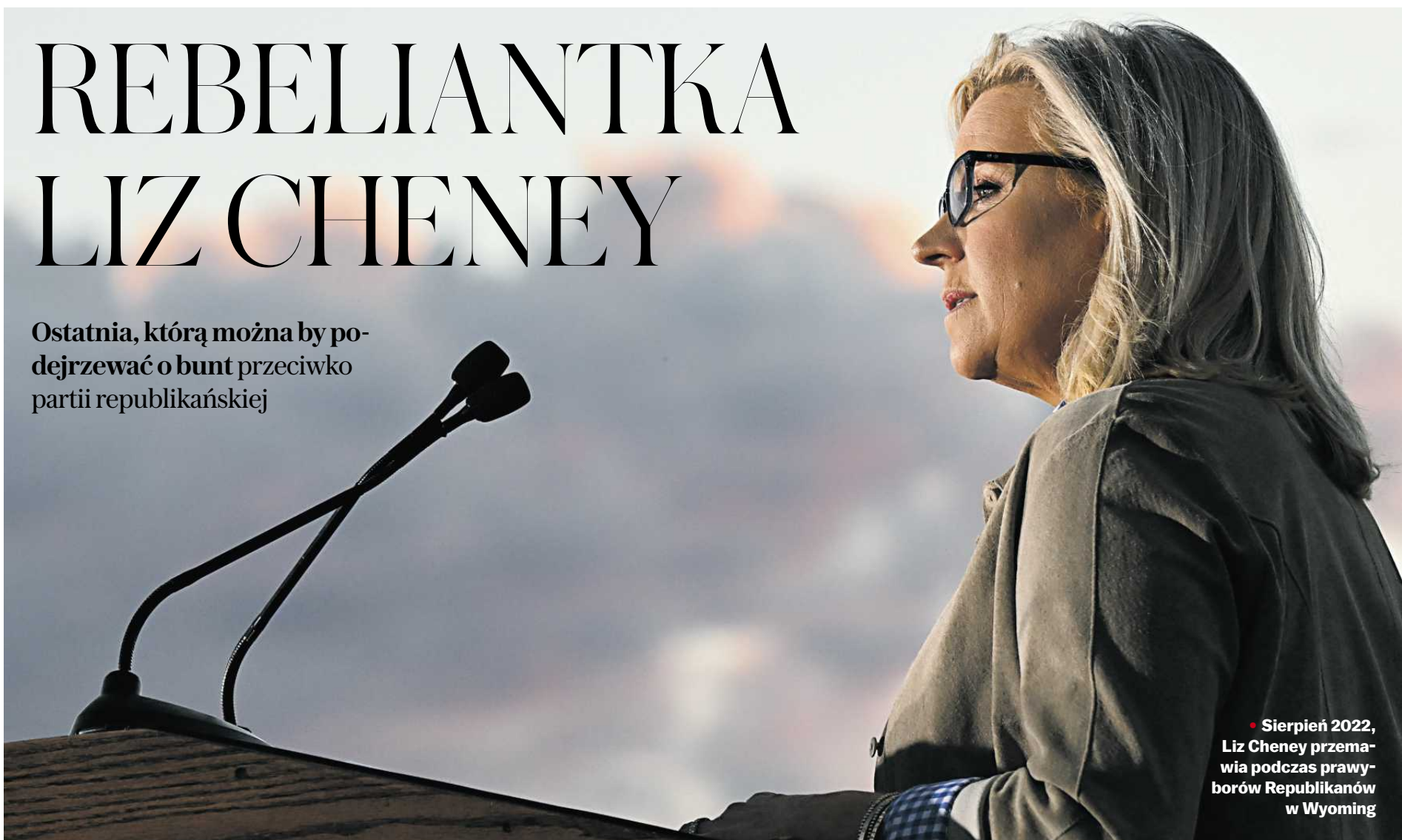
● politolożka z Dalhousie University w Halifaxie. Specjalizuje się w kanadyjskim parlamentarzystwie, etyce politycznej i systemach wyborczych.

**Daniel Béland

● socjolog polityczny z McGill Institute w Montrealu. Specjalizuje się w zagadnieniach federalizmu i kanadyjskiej polityce.

REBELIANTKA LIZ CHENEY

Ostatnia, którą można by podejrzewać o bunt przeciwko partii republikańskiej



• Sierpień 2022,
Liz Cheney przemawia podczas prawyborów Republikanów w Wyoming

FOT. PATRICK T. FALLON / AFP

Bohdan W. Oppenheim*

Liz Cheney, wieloletnia przewodnicząca Republikanów w Izbie Reprezentantów, zostaje usunięta z tej funkcji i otrzymuje od partii naganę. Staje się obiektem nienawiści wśród mas Republikanów i fizycznych ataków. Wszystko dlatego, że śmiała zagłosować przeciwko Donaldowi Trumpowi w trakcie drugiego procesu w sprawie jego impeachmentu i odgrywać główną rolę w dochodzeniu w sprawie jego roli w ataku tłumy na Kongres 6 stycznia 2021 r. Takiego ataku polityka amerykańska nigdy dotąd nie przeżyła.

Książka „Oath and Honor: A Memoir and a Warning” („Przysięga i honor. Wspomnienie i ostrzeżenie”), którą Cheney wydała w 2023 r., to szczegółowy opis tej rewolty i śledztwa w Kongresie. A zarazem twarda przestroga przed powtórnią prezydenturą Trumpa.

Liz Cheney nie była żadną liberałką. Reprezentowała najbardziej konserwatywne skrzydło Republikanów. Był to jednak konserwatyzm tradycyjny: jego punkty programowe to obniżanie podatków i ograniczanie świadczeń społecznych, ograniczanie roli rządu, silny przemysł zbrojeniowy, silne NATO i silna rola USA jako czynnik stabilizujący świat. Do czasów Trumpa, lepiej lub gorzej, Republikanie starali się przestrzegać konstytucji i prawa tak samo jak Demokraci.

Liz odziedziczyła tradycyjny konserwatyzm po ojcu, Dicku Cheney, wiceprezydencie za kadencji George’a W. Busha. Dick, który nosił przezwisko Darth Vader (jak ten z „Gwiezdnych wojen”), był znienawidzony przez liberałów za rozpętanie wojny w Iraku i silny konserwatyzm w polityce amerykańskiej. On i jego córka Liz byli ostatnimi, których można by podejrzewać o bunt przeciwko partii republikańskiej.

Trump odwrócił to wszystko do góry nogami. Poprzez skrajny populizm i zdolność przemawiania do tzw. prostych ludzi, kłamiąc i atakując elity oraz „wykształciuchów”, w ciągu czterech lat rządów przekształcił partię republikańską w partię kultu jego samego, a jej politykę w nacjona-

listyczną, izolacjonistyczną i rasistowską. Używając brutalnego języka, wyzwoilił wśród mas najgorsze instynkty, poparł też np. takie rasistowskie ugrupowania jak Proud Boys. Przekształcił wyborców partii republikańskiej w bezkrytycznych wielbicieli.

Kulminacją były wybory prezydenckie w 2020 r., przegrane przez Trumpa, co potwierdziły komisje wyborcze i nawet stacja Fox News, a także sędziowie w 61 sprawach, gdzie wyroki często wydawali ci mianowani przez samego Trumpa. Córka i zięć Trumpa, jego asystenci w Białym Domu oraz setki ekspertów przekonywało go, że przegrał. Bezskutecznie, a kilku lojalnych wobec niego prawników, jak i fanatyczne skrzydło Republikanów podtrzymywali kłamstwa o „oszustwie wyborczym”.

Okazało się później, że Trump doskonale wiedział, że mija się z prawdą, ale ciągle rozniecał kampanię kłamstw o rzekomej kradzieży zwycięstwa przez Demokratów (i czyni tak do dziś). W desperacji zaapelował do fanów, aby przybyli do Waszyngtonu 6 stycznia 2021 r. – w dniu, kiedy wiceprezydent Pence miał w obecności członków Kongresu zliczyć głosy stanowych elektorów. Owo zliczanie to tylko formalność i oficjalne potwierdzenie przekazania władzy nowemu prezydentowi. Pence nie miał prawa głosów kwestionować, zmienić ani zliczenia odłożyć na później.

6 stycznia Trump wszedł na trybunę przed Białym Domem, aby przemówić do tłumy wielbicieli. Rozpalili ich do białej gorączki. Nakazał maszerować pod Kongres, walczyć o „swoją wolność” i zmusić wiceprezydenta, aby unieważnił wybory.

Tłum w ogromnym podnieceniu przeszedł do pobliskiego budynku Kongresu. Tam natychmiast przystąpił do ataku fizycznego, bił nawet zaskoczonych policjantów (kilku zmarło), wybijał szyby, wyłamywał drzwi, szturmował wnętrza.

Ciężko przestraszeni członkowie Kongresu, zebrani w sali, w której Pence miał zliczyć głosy, zarówno Republikanie, jak i Demokraci, zostali ewakuowani do bezpieczniejszych pomieszczeń. W pewnym momencie agresorzy byli już tylko kilka metrów od Nancy Pelosi (szefowej Demokratów znienawidzonej przez Republikanów) i od Mike’a Pence’a, którego chcieli po-

wiesić. Uratowały ich tylko ściany i szybka ucieczka.

Setki dramatycznych telefonów do Białego Domu, błagające o przysłanie pomocy, Trump zignorował. Śledził te wydarzenia na kilku ekranach i radował się, że „tytu patriotów go uwielbia”. Dopiero po czterech godzinach, pod presją rodziny, mediów i wojska, wygłosił słabutkie przemówienie, chwając „patriotyzm i bohaterstwo” atakujących i prosząc ich, by się rozeszli. Gwardia Narodowa w końcu dostała rozkaz i ich przepędziła.

Cheney opisuje te wydarzenia krok po kroku, z niezmierną liczbą szczegółów, omówień rozmów członków Kongresu, słów służb porządkowych, mediów i dowódców wojskowych. Książka zawiera fascynujące opisy zmian postaw republikańskich liderów Kongresu. W dniu ataku nie wahali się ostro krytykować Trumpa, ale już w następnych dniach i tygodniach ci sami politycy, wystraszeni wpływem Trumpa na ich wyborców, zmienili zdanie: bronili go, twierdząc nawet wbrew nagraniom filmowym, że atakujący tłum to byli po prostu turyści, a nieliczne ataki sprowokowali agenci FBI nasłani przez Demokratów.

Natychmiast po ataku Demokraci podjęli proces impeachmentu (drugi z kolei dla tego samego prezydenta – amerykański rekord), zarzucając Trumpowi zdradę konstytucji i pośrednie spowodowanie śmierci kilku osób, obrażeń na ciele kilkudziesięciu, i ogromu zniszczeń fizycznych. Republikanie w Kongresie ucięli procesowi głowę. Tylko siedmioro z 50 senatorów republikańskich głosowało za impeachmentem, w tym Liz Cheney. Narodowy Komitet Re-

publikanów ogłosił, że „6 stycznia był prawowitą debatą polityczną”, a Liz Cheney działała na rzecz „destrukcji Republiki”.

Wkrótce potem Demokraci powołali w Kongresie „specjalną komisję ds. 6 stycznia 2021”, by ta zbadała wydarzenia prowadzące do rebelii, samą rebelię i by zajęła się naukami na przyszłość. We wstępie do końcowego raportu znajdujemy takie słowa: „6 stycznia 2021 r. był jednym z najciemniejszych dni naszej demokracji, w którym rebelianci próbowali uniemożliwić spełnienie spoczywającego na Kongresie konstytucyjnego obowiązku potwierdzenia wyboru prezydenta i przeprowadzili atak na budynki Kapitolu, powodując śmierć kilku osób i zadając fizyczne rany 140 ofiarom wśród służb porządkowych, oraz wznieśli terror i wywołali traumę wśród pracowników, mediów i członków Kongresu”.

Członkowie komisji powinni byli zostać wybrani z obydwu partii. Szefowa Izby Reprezentantów Pelosi wybrała sześciu Demokratów i dwóch Republikanów (Liz Cheney, Adam Kinzinger), i poprosiła szefa Republikanów o wskazanie trzech innych. Ten zgłosił dwa nazwiska najbardziej skrajnych wielbicieli Trumpa, którzy sprzeciwiali się samej idei komisji, twierdząc, że wydarzenia 6 stycznia to była pełnoprawna akcja obywatelska. Tych dwóch Pelosi nie przyjęła w obawie, że będą sabotować prace komisji. W końcu w komisji zostało tylko dwoje Republikanów, Cheney i Kinzinger.

Cheney, która odgrywała w komisji kluczową rolę, wprowadza czytelnika do sali przesłuchań i obrad, i przedstawia wyniki prac. Píše z brutalną szczerością, także o wątpliwościach i wysiłkach, aby być obiektywnym.

Raport końcowy opisuje przesłuchania ponad tysiąca świadków, z których większość zeznawała dobrowolnie, włącznie z członkami rodziny Trumpa oraz osobistościami z Białego Domu i z kręgu prawników służących Trumpowi; kilku zostało zmuszonych poprzez wezwanie prokuratorskie, a kilku wybrało wyroki więzienia za odmowę zeznań.

Konkluzje raportu nie pozostawiają wątpliwości: Trump złamał przysięgę, że będzie bronił konstytucji, i długotrwałą tradycję przekazania władzy następcy; zdradził demokrację, skonfliktował naród i po-

**Liz Cheney wykazała
wyjątkową klasę
obywatelską, uważając, że
obrona konstytucji i prawdy
jest ważniejsza od kariery
w Kongresie i popularności
wśród Republikanów**

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Wasył Stus*

*Cerkiew Świętej Iryny
puchnie we mgle od krzyku,
pewnie ci już, mój synu,
dusza przemarzła do szpiku.
Ciemność obłoży ci gardło,
zalegnie w ustach i w nosie.
Witaj, Zgryzoto czarna,
witaj, mój straszny losie!
Biją skrzydła zmęczone
o smutek, jak go rozpędzić?
Zostawiłem swą żonę,
wraz z matką wydałem ją nędzy.
Siostra niczym kukulka
odbija się piersią od ściany.
Boże! W świata przytulkach
zostaliśmy szaleńcami.
Chodzi Pan Bóg z kadzidłem –
przez dym bezsennych nocy
coś mnie o świetle wiodło,
choć miałem zamknięte oczy.
Cerkiew Świętej Iryny,
puchacz puchnie od krzyku,
chórem erynii napłynie
rozpacz, zawsze kaleka –
nie będzie karmić na wieki
wiecznego oczekiwania,
otwiera się cicho, jak wieko,
szara szpara świtania.*

Wiersz za: **Stus, „Czas twórczości / Dichtenszeit i listy do syna”**, wiersze przełożył Jacek Podsiadło, listy – Katarzyna Kotyńska, Staromiejski Dom Kultury, Warszawa 2023.



***Wasył Stus** - 1938-85, ukraiński poeta, eseista, tłumacz. Rzecznik pojednania ukraińsko-polskiego. W czasach ZSRR działacz opozycyjny, członek ukraińskiego Komitetu Helsińskiego. W latach 1972-79 i od 1980 r. więzień łagrów. Zmarł w obozie pracy na Uralu.

FOT. DOMENA PUBLICZNA



grażył kraj w ogromnym kryzysie, a wszystko tylko po to, aby zadowolić swoje pragnienie władzy; sięgnął po oszustwo, aby pozostać prezydentem.

Liz Cheney zestawia takie postępowanie z eleganckim przekazaniem władzy Johnowi Adamsowi przez Waszyngtona: „To było pierwsze przekazanie władzy przez jedną partię innej. Ci, którzy to widzieli, pamiętali to wspaniałe wydarzenie, gdzie wszystko działo się bez bałaganu, podłości i rozlewu krwi. Każdy prezydent aż do 2021 r. wykonał swój święty obowiązek pokojowego przekazania władzy. Co cztery lub co osiem lat, przez całą naszą historię, kandydaci z obydwu partii odkładali na bok, dla dobra narodu, swoje osobiste ambicje i walkę polityczną”.

Równolegle z obradami komisji prokuratura i FBI wylapywały napastników, a sądy skazały ponad tysiąc z nich na poważne wyroki (średnia ok. trzech lat więzienia). Kilku prawników Trumpa straciło licencje na wykonywanie zawodu. Sam Trump doczekał się 90 oskarżeń w czterech procesach: o oszukiwanie stanu Nowy Jork, o atak seksualny na znajomą, o łapówkarstwo i o namawianie ministra stanowego w Georgii, aby sfałszował wyniki wyborów. Raport komisji posłużył jako materiał źródłowy dla części oskarżeń. Te procesy trwają.

Niestety, im więcej takich wyroków, tym większa pewność wielbicieli Trumpa i „mas” republikańskich, że to wszystko jest gigantycznym spiskiem, „aby go pozbawić szans na następną świetlaną prezydenturę”. I na tym tle widać wyjątkową odwagę cywilną Liz Cheney.

Wykazała wyjątkową klasę obywatelską, uważając, że obrona konstytucji i prawdy jest ważniejsza od kariery w Kongresie i popularności wśród Republikanów. Za ten akt doczekała się pozbawienia przywództwa

w partii, nagany i poważnych gróźb – jej samej, jej rodziny i domu muszą strzec federalni ochroniarze.

W książce Cheney opisuje śmiertelne zagrożenia dla kraju i świata, gdyby Trump miał zostać wybrany po raz drugi. Trump grozi zemstą przeciwnikom i zapewnia, że otoczy się lojalnymi pracownikami, którzy „wymiotą bagno”. Wyraża uwielbienie i poparcie dla Putina, Kim Dzong Una, Orbána, Erdogana, Xi. Zachęca Putina do atakowania krajów NATO, które nie przeznaczają dostatecznych funduszy na obronność. W przemówieniach lamentuje na temat swoich krzywd, rzuca populistyczne hasła, atakuje wrogów; nie ma w nich za to sformułowania celów politycznych lub ekonomicznych na ewentualną drugą prezydenturę.

Cheney kończy słowami: „Każdy z nas – republikanin, demokrat, niezależny – musi działać tak, by Donald Trump oraz ci, którzy mu się podlizują, popierają go i z nim współpracują, przegrali”. A w niedawnym wywiadzie telewizyjnym stwierdziła: – Trumpa nie wolno dopuszczać nawet w pobliże Białego Domu.

Czy takie postacie jak Liz Cheney można spotkać w innych krajach? ●



FOT. LEAN CENTER

***Bohdan W. Oppenheim**

● – profesor w Loyola Marymount University w Los Angeles, specjalizuje się w zagadnieniach inżynierii systemów, publicysta.

Cierpimy z Ziobrą

Podkorowo w nasz krytycyzm wsącza się głębokie, ludzkie przekonanie, że „chory” znaczy „szlachetny”



Marcin Matczak

Dwa obrazy zapadły mi w pamięć w ostatnim czasie. Oba związane z domem, w obu występowali mężczyźni w towarzystwie swoich żon.

Najpierw Zbigniew Ziobro, przemawiający po tym, jak jego nieruchomość przeszukały służby. Potem Rafał Trzaskowski siedzący w kuchni i składający życzenia na Święta. To, jak Polacy zareagowali na te dwa obrazy, dowodzi, że karłowaciejemy intelektualnie. Nasze oczy przesłania zaćma emocjonalności.

Już 40 lat temu polihistor Jacques Ellul pisał: obraz zdominował tekst i ta dominacja doprowadziła do „upokorzenia słowa”. Wtedy robiła to fotografia, film i telewizja, obecnie milion razy bardziej robi to obraz w smartfonie.

I co z tego? Ano wiele. Im więcej obrazu, tym więcej emocji w naszym podejściu do świata. Im mniej słowa, tym mniej intelektu i analizy. „Osoba, która myśli obrazami, staje się coraz mniej zdolna do myślenia rozumowego i odwrotnie. Proces intelektualny oparty na obrazach jest sprzeczny z intelektualnym procesem rozumowania, związanym ze słowem”.

Pamiętacie zdjęcie syryjskiego chłopczyka w czerwonej koszulce, który martwy leży na piasku, bo utonął w czasie migranckiej przeprawy? Ten obraz to czysta emocja. Jak ją zestawić z analizami kryzysu migracyjnego, z zimnymi argumentami za i przeciw? Jeden powie, że to obraz wart więcej niż tysiąc słów. Inny oskarży o wycięcie ze złożonego kontekstu, o pokazanie emocji tylko jednej ze stron. I jako odpowiedź opublikuje film, na którym imigranci demolują sklepy i gwałcą europejskie kobiety. Równie wyrwany z kontekstu, równie emocjonalny i równie jednostronny. I tak będziemy się bić po oczach obrazami, aż całkiem przestaniemy myśleć.

Pisze Ellul: „Obraz rodzi poczucie dowodu. Wyjaśnia reakcję, którą tak często zauważamy wśród naszych współczesnych: gdy ktoś prosi ich o podanie powodu ich opinii, odpowiadają: „To oczywiste”. Takie myślenie, które tworzy uprzedzenia i stereotypy, jest domeną tego, co niepodważalne. To, co wywołuje natychmiastową zgodę, nie wytrzymuje procesu dyskusji. Przekonanie nabyte w ten sposób może być atakowane tylko na jego własnym gruncie: przez inne obrazy”.

Obraz to emocjonalny skrót myślowy, to włam do sfery naszych stereotypów i archetypów. Oto stoi przed nami wychudzony, z trudem mówiący Zbigniew Ziobro. Ni by wiemy, kto zacz, ale jakby zapominamy. Widzimy go bowiem w stanie, który naturalnie zasługuje na współczucie. I współczujemy. Podkorowo w nasz krytycyzm wsącza się odwieczne przekonanie, że „chory” znaczy „szlachetny”. Bo w zbiorowej podświadomości zwykliśmy uznawać za bohatera kogoś, kto walczy z przeciwień-

stwem losu – chorobą, nieszczęściem, stratą i ten obraz zastępuje nam myśl. Kibicujemy komuś, kto walczy, choć przygrywa..

I białe staje się czarne, zło zamienia się w dobro. Znika mściwość Ziobry, zastępuje ją nasza empatia. Zapominamy o ludziach, których skrzywdził i jak bardzo sam pozbawiony był empatii. Oto zaatakowano jego dom, podniesiono rękę na to, co dla każdego mężczyzny najcenniejsze. Staje się Zbyszek rycerzem i underdogiem jednocześnie. Obraz jego zmęczonej twarzy i uszkodzony chorobą głos powodują, że cierpimy razem z nim. A skoro cierpimy, nie możemy potępić. Obraz dokonuje na nas lobotomii – nie pamiętamy zła, które wyrządził. Ca-li jesteśmy czuciem, ogłupiliśmy zupełnie. Bo przecież choroba nie zmienia jego grzechów w cnoty.

Z Trzaskowskim robi obraz coś odwrotnego. Widzimy to ujęcie przy kuchennym stole, zawsze skora do paniki moralnej lewica odpowiednio podsycza nasze emocje, i z otwartego na świat polityka pozostaje kupka popiołu. Zastępuje go typowy polski janusz, czekający na zupe i pierogi, kąpoco pytający żonę, co też robiła przez cały dzień. Znika człowiek nowoczesny i zmanipulowany obrazem widzimy już tylko obrzydliwy symbol patriarchy. I pojawia się pytanie, które nasze umysły, zainfekowane 25 lat temu wizją „Matrixu”, będą sobie zadawać już zawsze: może nam się tylko wydawało? Że Ziobro to zamordysta, a Trzaskowski to liberal? Może za pozorem podłości kryła się szlachetność? Może to, co nowoczesne, było zaściankowe?

Nie, nie wydawało nam się. Polityk pracuje na swój wizerunek długo i wszystkim, co robi. I spokojna, niepodniecona emocjami myśl to wie. Ale jeden obraz może naszą racjonalność wyrzucić do kosza. Widząc mówiącego z trudem Ziobrę, nie myślimy o tym, co przez osiem lat zrobił Polsce jako minister sprawiedliwości. Patrząc na Trzaskowskiego przez lewicowe okulary, wszędzie widzące opresję, nie dostrzegamy tego, co zrobił dla równości i tolerancji. Emocjonalna gumka wymazuje przeszłość. Li-czy się uczuciowe tu i teraz.

Kiedyś współczucie dla płaczącej Beaty Sawickiej było ważniejsze niż to, że wzięła łapówkę. Dziś jeszcze bardziej emocje biorą górę nad racjonalną oceną Ziobry, Trzaskowskiego czy Hołowni. Niewielu wierzy w sensowną argumentację, że po wyborach samorządowych ustawa aborcyjna będzie mieć większą szansę na poparcie. Większość wrzeszczy w stylu posłanki Żukowskiej: „wyp.j z tym spokojem”, i z zimną kalkulacją. Politycy przestają być ludźmi, stają się ikonami: Beata Płacząca, Szymon Odraczający, Zbigniew Frasośliwy i Rafał – Anioł Patriarchatu. A my, wpatrzeni w ikony, stajemy się niezdolni do racjonalnego osądu.

Pisze Ellul: „Emocjonalna jakość tego, co my, współcześni, nazywamy naszą myślą, wytwarza skrajną gwałtowność przekonai połączoną ze skrajną niespójnością naszych argumentów. Nie angażujemy się w spokojne i obiektywne badanie znaczenia i konsekwencji danego faktu. Emocje usprawiedliwiają, które wciąż wydają się intelektualne i uzasadnione.”

Jesteśmy godni pożałowania w tej emocjonalności. Na każdy nowy polityczny „skandal” bądź „uwzniesienie” reagujemy jak małe dzieci widzące pierwszy raz ojca bez brody. Łapiemy się na chwyt propagandowe: skoro sędzia ukradł kielbasę, to oczywiście trzeba te sądy zaorać. Skoro Wirtualna Polska opisała aferę z udziałem naszych ulubionych bohaterów, trzeba z tą wolnością dziennikarską skończyć. Bo kto to, panie, słyszał?

Jeszcze więcej tych obrazów, jeszcze więcej emocji – reaktor wytrzyma. ●

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Liu Cixin, autor „Problemu trzech ciał”:

PARTIA UWAGA, ŻE SF
MA POTENCJAŁ INNOWACYJNY

„Piszę czystą fikcję naukową” – mówi, ale wszyscy i tak doszukują się w jego powieściach metafor politycznych. Czy to dlatego serial Netflixa nie będzie dostępny w Chinach?

Guillermo Abril

EL PAIS

Wsiadamy do samochodu, 60-letni Liu Cixin siedzi na tylnym siedzeniu i spogląda na przesu- wający się za szybą krajobraz Hajnanu, tropikalnej wyspy u południowych wybrzeży Chin, gdzie pisarz przybył, aby spróbować „odblokować się twórczo”.

Opowiada, jak lata temu, kiedy został zaproszony do Barcelony, aby zaprezentować swoją najbardziej znaną powieść, „Problem trzech ciał”, ulokowano go w hotelu, którego wystrój był inspirowany scenografią „Odysei kosmicznej” Stanleya Kubricka.

To jeden z jego ulubionych filmów. Ale nie z powodu efektów specjalnych, tylko słynnej sceny z hominidami i monolitem, tym czarnym kamieniem pozaziemskiego pochodzenia, który prowokuje ewolucyjny skok: małpy zyskują inteligencję, czego wyrazem jest przemoc – jeden klan zdobywa dominację nad innym, a ciężką kość – użytą jako broń i podrzuconą w triumfie w powietrze – Kubrick zamienia w statek kosmiczny przy dźwiękach „Tako rzecze Zaratustra” Richarda Straussa.

Według Liu życie też składa się z podobnych skoków, błysków innowacji, które przyspieszają bieg rzeczy. W jego przypadku pierwsze „spotkanie z monolitem” nastąpiło we wczesnych latach 80. Był dwudziestolatkiem, gdy w Chinach pojawiły się pierwsze tłumaczenia powieści SF Arthura C. Clarke’a, w tym ta, która za- inspirowała Kubricka. Przez długie lata science fiction było w komunistycznych Chinach tępi- one, ale po śmierci Mao Zedonga dość szybko zakończono ek- sesy rewolucji kulturalnej i roz- począł się okres względnej otwarto- ści na świat.

Tej nocy, kiedy 20-letni Liu skończył czytać książkę Clarke’a, wyszedł z domu i spoj- rzał w gwiazdy. „Po raz pierwszy w ży-

ciu byłem przerażony wielkością i tajemnicą naszego wszechświa- ta” – wspominał w 2018 r., gdy w Waszyngtonie wręczano mu prestiżową nagrodę Fundacji Arthura C. Clarke’a – „za wyobraźnię w służbie społeczeństwu”.

W tym czasie jego sława była już globalna. Dzięki angielskiemu tłumaczeniu pierwszego tomu trylogii „Wspomnienie o przesz- łości Ziemi” w 2015 r. został pierw- szym Azjatą, który zdobył nagro- dę Hugo, odpowiednik literackie- go Nobla w dziedzinie science fic- tion. Do tego czasu od premiery pierwszego wydania otwierają- cego cykl, „Problemu trzech ciał”, w samych Chinach sprzedano 1,2 mln egzemplarzy tej książki.

Amazon dawał miliard

Do jego rozgłosu w Ameryce przyczynił się m.in. Barack Oba- ma, który jeszcze będąc prezy- dentem i opowiadając „The New York Timesowi” o swoich odkry- ciach lekturowych nazwał Liu Cixina „nieprawdopodobnie po- mysłowym”. Nie trzeba było długo czekać, żeby rozgorzała zacieka walka o prawa do adaptacji, któ- rych Liu... pozbył się już w 2010 r. w zamian za stosunkowo niewiel- ką opłatę.

Walka toczyła się więc bez udziału pisarza, za to objęła m.in. domniemane zabójstwo przez otrucie w Szanghaju chińskiego potentata, który lata temu przejął prawa do monetyzowania pomy- słów z trylogii Liu Cixina.

„Financial Times” twierdził, że Amazon był skłonny zapła- cić miliard dolarów za możliwość sfilmowania trylogii. Ale to Net- flux zdołał sfinalizować transak- cję – jej kwoty nie ujawniono. Glo- balna premiera serialu odbyła się 21 marca, pracowali przy niej au- torzy filmowej „Gry o tron” i sta- nowi prawdopodobnie początek długo eksploatowanej franczyzy, która nadal będzie zwiększać za- sięg oddziaływania powieści Liu Cixina, które sprzedały się w po- nad 11 milionach egzemplarzy na całym świecie i w przekładach na ponad 30 języków.

Tymczasem jednak Liu wca- le nie ma powodów do satysfakcji, przeciwnie, coraz bardziej mar- twi się twórczą blokadą, która go ogarnęła.

Poza paroma krótkimi opowia- daniami nie opublikował nic no- wego od czasu ukończenia trzeciej części „Problemu...”, czyli „Końca

śmierci” w 2010 r. Mówi o tym po- nuro, siedząc na ocienionym przez palmy tarasie z widokiem na oce- an, otoczony zapachem grillowa- nych ryb i owoców morza. Jest śro- da, 31 stycznia, w Sanya, kurorcie na wyspie Hajnan. Zbliża się chiń- ski nowy rok, to ważne święto, pa- nuje ożywiony gwar. Na stoły wje- dżają parujące talerze, ktoś zapala flarę na brzegu, jakaś kobieta śpie- wa egzotycznie brzmiącą pieśń.

Blokada pisarska.
„Zwykle okazuje się,
że ktoś już kiedyś wpadł
na mój pomysł”

– Pisanie w ostatnich latach sta- je się dla mnie coraz trudniejsze. Kilka powieści, które zacząłem, porzuciłem nie rozwijając ich na- wet do połowy. Dla mnie kluczo- wa jest oryginalność. To moment największej satysfakcji, szczę- ścia w całym moim procesie pisa- nia: kreowanie zupełnie nieocze- kiwanych pomysłów. Ale w dzi- siejszych czasach coraz trudniej

zynier informatyki w elektrowni w Yangquan, w górniczej prowincji Shanxi. Wiele z jego opowia- dań, które zaczął publikować pod koniec lat 90., powstało właśnie w tej elektrowni: układał je w my- ślach podczas szychty, a następ- nie spisywał pod koniec dnia.

Pomysł na „Problem trzech ciał” wywodzi się z nierozwiązy- walnej zagadki w fizyce: jak prze- widywać dynamiczne położenie trzech ciał znajdujących się we wzajemnym przyciąganiu grawi- tacyjnym? Zastanawiał się, co by się stało, gdyby te trzy obiekty by- ły słońcami, a w ich układzie znaj- duje się także planeta, na której rozwija się cywilizacja – otóż nie- stabilność takiego układu wyma- gałaby od niej ciągłych skoków technologicznych, aby przetrwać.

I to jest właśnie drugi filar, na którym opierają się historie Liu Cixina: pragnienie przetrwania.

Ten koktajl generuje fabułę rozpiętą na ponad półtora tysią- ca stron i olbrzymi dystans cza-

owanego zniszczenia, która po- wstrzymywała USA i ZSRR od eskalacji nuklearnej podczas zim- nej wojny.

I oczywiście lektura nasuwa skojarzenia z wielką geopolitycz- ną konfrontacją naszej ery, czy- li walką Chin i Ameryki o pozycję globalnego hegemonu.

Uderzające jest podobieństwo kontekstu powieści do nasze- go deglobalizującego się świata, w którym Pekin próbuje dogonić USA, podczas gdy Waszyngton próbuje ograniczać Chinom do- stęp do krytycznych technologii – np. najnowocześniejszych pół- przewodników – aby zapobiec ich wykorzystaniu w zaawansowa- nych systemach uzbrojenia.

Liu twierdzi, że jakiegokolwiek podobieństwo do naszej rzeczy- wistości jest zwykłym zbiegiem okoliczności. Uważa się za auto- ra „czystej” science fiction, zain- teresowanego wyłącznie „tworze- niem wymagowanego świata, którego nikt inny nie wymyślił”.

Tylko że cała historia SF to hi- storia mniej lub bardziej zakamu- flowanych alegorii rzeczywistych zjawisk już nękających lub dopie- ro grożących naszej cywilizacji.

Wywiady z zachodnimi
mediami to sprawa
„delikatna”

Liu przekonuje, że nie stara się rysować analogii ani dokonywać krytyki rzeczywistości. Mówi, że nie może kontrolować tego, jak interpretowane są jego teksty.

Nie zmienia to faktu, że serial na podstawie „Problemu trzech ciał” rozprzestrzenia się po świecie w 2024 – roku naznaczonym glo- balnymi napięciami. Liu mówi, że widział zaledwie kilka odcinków; według niego adaptacja jest „bar- dzo interesująca”, zwłaszcza efek- ty specjalne są „imponujące”.

Jest jednak przekonany, że film nie spodoba się w Chinach. Po drodze bowiem zrezygnowano z „silnego chińskiego kontekstu kulturowego” jego książek, a głów- ni bohaterowie również nie są już Chińczykami. Słowem, Netflix za- projektował produkt dla globalnej publiczności, ale niekoniecznie dla ChRL, gdzie zresztą nie pro- wadzi działalności. I serialu nie będzie można legalnie obejrzeć w Chinach, chyba że ktoś ominie chiński wielki mur w sieci.

Widzowie w kraju mają za to jednak do dyspozycji trzyczęścio- wą serię dokumentalną; każdy z odcinków poświęcony jest na- ukowemu wyjaśnieniu innego z problemów podjętych w powie- ści Liu Cixina – seria miała w Chi- nach premierę przed rokiem.

Liu nie planuje teraz podró- ży do USA na żadne wydarzenia

W 2020 r. grupa amerykańskich senatorów
wezwała Netflix do anulowania produkcji
ze względu na poglądy autora wyrażone tekście,
który wydrukował „The New Yorker”.
Liu przekonywał,
że „demokracja nie jest odpowiednia
dla współczesnych Chin”,
dodając: „Gdyby teraz nawet trochę poluźnić
reżim w kraju,
konsekwencje byłyby przerażające”

o naprawdę oryginalne pomysły. Kiedyś pisząc w Chinach mogłem wymyślać bez przerwy, cały czas uważając, że nikt inny nie wpadł na coś takiego przede mną. Teraz, po rozprzestrzenieniu się inter- netu, już wiem, że prawie każda, nawet genialnie nowatorska kon- cepcja tak naprawdę w jakimś za- kresie już kiedyś gdzieś przez ko- goś została wymyślona. Ta świa- domość sprawia, że pisanie po- wieści science fiction, takich jak moje, jest wyzwaniem.

Liu postrzega pisanie jako led- wie dodatek do obmyślenia cen- tralnego pomysłu, który leży u podstaw całej fabuły. Dlatego większość czasu spędza na ana- lizowaniu abstrakcyjnych koncep- cji lub teorii naukowych.

Studiował na wydziale inżynie- rii hydroelektrycznej na Północ- nochińskim Uniwersytecie Zaso- bów Wodnych i Energii Elektrycz- nej, a do 2010 r. pracował jako in-

sowy. Liu stawia ludzkość w ob- lictu zagrożenia inwazją obcych i przedstawia klasyczne zderze- nie cywilizacji. Obcy, zwani Tri- solarianami, chcą uciec ze swo- jej planety i podbić naszą. Ale ich podróż na Ziemię jest długa, trwa 450 lat, co daje naszej cywiliza- cji, która wskutek pewnego zbie- gu okoliczności została uprzedzo- na o ich planach, szansę na przy- gotowanie się. Problem w tym, że Trisolarianie to cywilizacja znacz- nie bardziej zaawansowana, jest w stanie zaginać wymiary, mani- pulować czasoprzestrzenią, itd. Ziemianie próbują opracować broń zdolną odstraszyć agreso- ra, a w międzyczasie Trisolaria- nie usiłują zdalnie storpedować te wysiłki.

Mamy tu więc cały arsenał znany z twardej SF – ale między- wierszami toczy się geostrategic- na gra w szachy, inspirowana mi- litarną teorią wzajemnie gwaran-

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE



• Liu Cixin jako gwiazda ceremonii otwarcia 81. Światowej Konwencji SF w Muzeum Science Fiction w Chengdu, 18 października 2023 r.

FOT. WANG LEI/CHINA NEWS SERVICE/VCG VIA GETTY IMAGES

promocyjne i niechętnie zgadza się na wywiady z zachodnimi mediami, ponieważ, jak mówi, jest to „delikatny” temat. W 2020 r. grupa amerykańskich senatorów wezwała Netflix do anulowania produkcji ze względu na poglądy autora wyrażone tekście, który wydrukował „The New Yorker”.

Chodziło głównie o Xinjiang, autonomiczną prowincję w zachodnich Chinach, gdzie – zdaniem ONZ i wielu zachodnich obserwatorów – Pekin dopuszcza się zbrodni przeciwko ludzkości wobec muzułmańskiej mniejszości ujgurskiej.

Liu uzasadniał politykę Pekinu, mówiąc: „Czy wolelibyśmy, żeby [Ujgurzy] przeprowadzali ataki terrorystyczne na dworcach i w szkołach? Nasz rząd próbuje wyciągnąć ich z ubóstwa i ciemnoty”. Liu przekonywał także dziennikarza „New Yorkera”, że „demokracja nie jest odpowiednią dla współczesnych Chin”, a indywidualna wolność i prawo wyboru „nie są tym, na czym zależy Chińczykom”, dodając:

„Gdyby teraz nawet trochę połuźnić reżim w kraju, konsekwencje byłyby przerażające”.

Świat wraca do stanu normalnego. Czyli konfrontacji

Teraz na tarasie przy plaży na Hajnanie mówi mi:

– Gdyby Chiny nie były rządzone taką ręką, jak obecnie, znalazłyby się w chaosie.

Uważa też, że „pod względem standardów demokratycznych Chiny przeszły bardzo długą drogę” w porównaniu do czasów jego młodości, kiedy „jedno słowo mo-

gło zagrażać życiu tego, który je wypowiadał, i jego bliskim”.

– Po pandemii sytuacja na świecie stała się bardziej konfrontacyjna, odchodzimy stopniowo od ery globalizacji. Dziś w Chinach młodzi ludzie często pytają mnie, czy świat się cofa, dokonuje się jakiś regres. W rzeczywistości uważam, że świat powrócił do stanu normalnego. Pierwszą połowę mojego życia spędziłem w tym „normalnym” stanie.

I uważam, że to raczej ostatnie 30 lat były nienormalne. Nienormalne było to, że sprawy szły w pozytywnym kierunku – mówi Liu.

Liu należy do tych, których rodziny doświadczyły konsekwencji rewolucji kulturalnej, łącznie z głodem. Jego rodzice zostali zesłani do pracy w kopalni; on sam został od nich oddzielony i wysłany do krewnych na wsi, gdzie elektryczność pojawiła się dopiero w 1980 r. Wspomina, że wśród wydarzeń, które go naznaczyły i formowały, są: wystrzelenie pierwszego chińskiego satelity w kosmos w 1970 r. i wielkie powodzie pięć lat później, w wyniku których zginęło co najmniej 150 tys. ludzi. Zaczął pisać opowiadania science fiction już w szkole średniej, ale nie udało mu się niczego opublikować przez prawie dwie dekady. Dopiero pod koniec lat 90. otrzymał telefon z redakcji zajmującego się tym gatunkiem magazynu, który był zainteresowany nadesłanymi przez niego opowiadaniem.

SF przeżywała w Chinach renesans pod koniec tysiąclecia, a to „pobudziło” autora „do wznowienia pisania”, wspomina Yao Ha-

ijun, wtedy zaledwie dwudziestokilkuletni redaktor tamtego magazynu, a dziś punkt odniesienia dla całego gatunku w Chinach. Yao poznał Liu w 2000 r. Wspomina jego nieśmiałość i ogromną wiedzę. „Miałem wrażenie, że aż kipiał intrygującymi pomysłami. Konstruował od ręki i z łatwością całe wsapniałe i osobliwe światy. Zrazem znać było na tym jego osobistą pieczęć: styl i olśniewającą jasność, która odróżniała go od innych autorów”.

Jego opowiadania zaczęły zdobywać nagrody. Publikował swoje pierwsze powieści w czasach, gdy Chiny notowały błyskawiczny wzrost. Rozwój chińskiej SF i chińskiej gospodarki przebiegały równolegle. Według Liu to nie przypadek:

– Literatura science fiction może tworzyć wpływowe dzieła tylko w szybko rozwijających się krajach – mówi. – Gatunek narodził się w Wielkiej Brytanii, jakieś 200 lat temu, a kiedy Imperium Brytyjskie upadało, przeniósł się do USA, które zaczęły zajmować miejsce pierwszej potęgi świata. Uważam, że dzisiejsze zainteresowanie Chińczyków chińskim science fiction jest związane z szybkim procesem modernizacji społecznej.

Cenzura także ulega ciągłym zmianom. SF było kiedyś prześladowane w Chinach jako źródło „duchowego zanieczyszczenia”, dziś partia komunistyczna uważa je za narzędzie zgodne z jej celami i interesami. Film „Wędrująca Ziemia” (2019), oparty na jednym z opowiadań Liu, był jednym z najbardziej dochodowych filmów w historii kraju.

Wysoki rangą urzędnik powiedział kiedyś pisarzowi, dlaczego rząd wspiera ten gatunek: – Otóż oznajmił mi, że science fiction ma silny innowacyjny wpływ, a Chiny muszą stać bardziej innowacyjne.

Poszukiwanie przemyconej wywrotowości

Mimo to powieści Liu zawierają koncepcje polityczne i moralne, których dostrzeganie ma szczególnie dojmujący wymiar w jego kraju.

Punkt wyjścia „Problemu trzech ciał” dzieje się podczas rewolucji kulturalnej i opowiada o epizodach straszliwej przemocy (w chińskim wydaniu fragmenty te zostały umieszczone w środku, aby nie dawać cenzorom zbyt łatwego pretekstu). W drugim tomie trylogii, podczas lotu międzygwiezdnego, wojskowi dyskutują o systemach rządów. Jeden opowiada się za dyktaturą. Inny na to: „Fakty historyczne pokazują, że system totalitarny jest największą barierą dla postępu ludzkości”.

No i jeden z bohaterów: człowiek, który został wysłany, aby żyć z Obcymi. Zdobywa ich uznanie, stając się wspaniałym gawędziarzem. Publikuje na ich planecie dziesiątki historii, które ich zachwycają. Wydają się nieszkodliwymi fantazjami, jednak ukrywają „wielowarstwowe” metafory, które wymykają się obcej cenzurze i przesłane na Ziemię, służą ostrzeganiu przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

Liu opowiada, że ostatnio bada związek między religią a technologią. Przyznaje, że jest to lejtmotyw powieści, którą ma nadzieję zakończyć lata twórczej posuchy. – Jaką formę przyjmie religia przyszłości, zwłaszcza gdy sztuczna inteligencja rozwinie się do stopnia, w którym sama poczuje potrzebę duchowości? To interesujące pytanie, prawda? – pyta.

Pisarz uważa, że AI będzie znacznie głębszą zmianą niż rewolucja przemysłowa. – Zastąpi ona najbardziej fundamentalne zdolności człowieka. Będzie zerować zarówno na zawodach wymagających wysokich, jak i niskich kwalifikacji, np. zawód pisarza SF ma jeszcze jakieś pięć lat przed sobą – mówi Liu.

– Będzie to wymagało kolosalnej adaptacji społecznej i reformy systemu dystrybucji dochodów – kontynuuje. – Praca może przestać być niezbędna dla zdobywania środków do życia, a niepokoi społeczne mogą być znacznie większe niż ruch luddystów przeciwko maszynom w XVIII w.

I jeszcze na koniec Liu ostrzega: – Każdemu kto wierzy, że utrzymamy kontrolę nad AI, mówię, żeby wyobraził sobie świat, w którym żyje tuzin dorosłych i miliony trzylatków. Czy miliony trzylatków mogą kontrolować i rządzić tymi kilkoma dorosłymi? Otóż te dzieci to my. I odpowiedź brzmi „nie”. ●

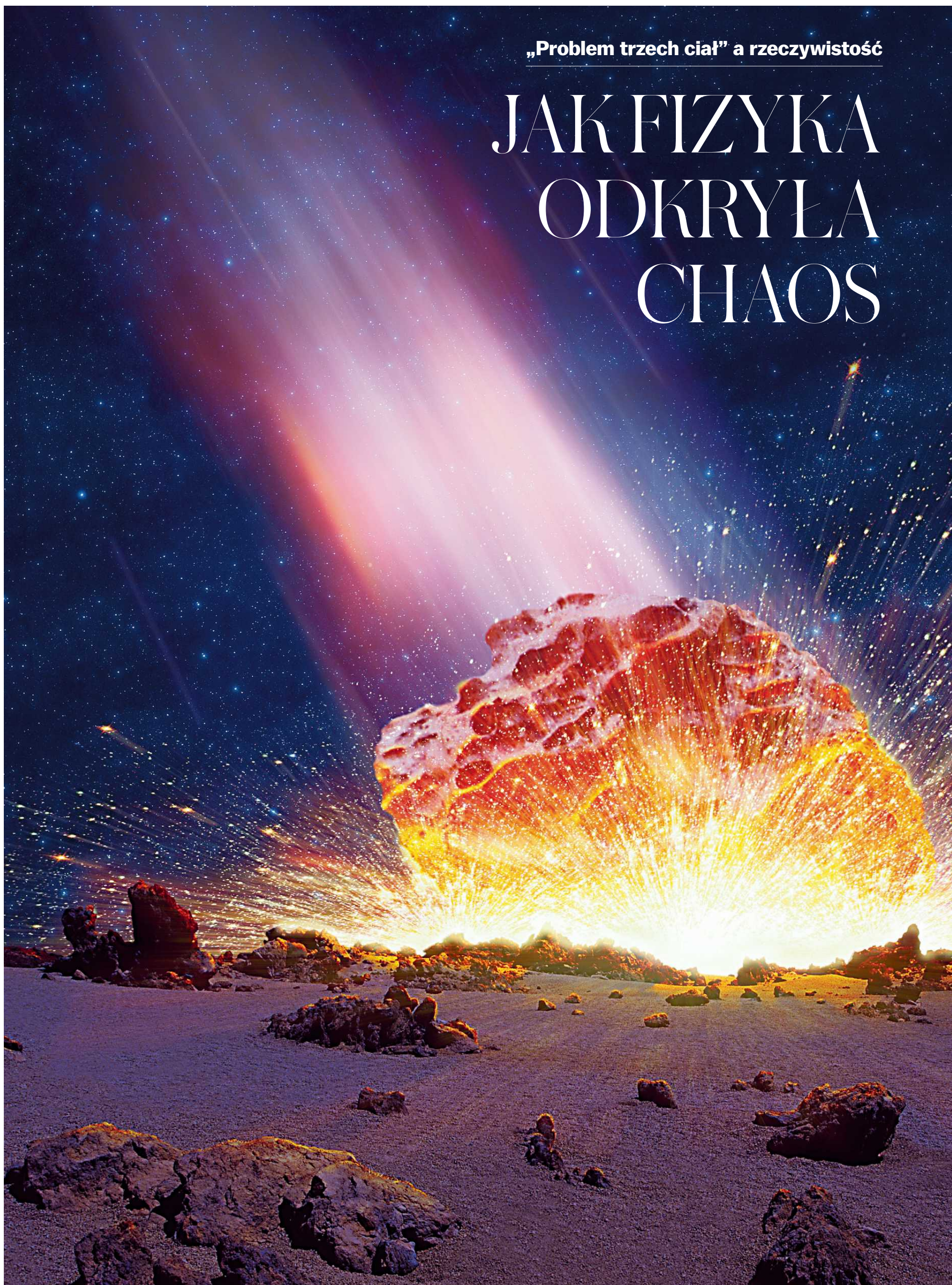
tłum. Łukasz Grzymiśławski



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

„Problem trzech ciał” a rzeczywistość

JAK FIZYKA ODKRYŁA CHAOS



Nie musimy się niczego obawiać ze strony czterech zewnątrznych wielkich planet Układu Słonecz- nego. Ale...

Piotr Cieśliński

Problem trzech ciał”, nowy serial Netflix’a oparty na globalnym bestsellerze s.f., odnosi się do jednej z kluczowych teorii naukowych XX w., która wraz z mechaniką kwantową wywróciła wiarę w porządek i regularność panujące w przyrodzie. Wszystko, co możemy zrobić, to stawiać mniej lub bardziej trafne prognozy.

Od kiedy Izaak Newton w „Principia mathematica” podał prawa, jakie rządzą zarówno ruchem ciał na Ziemi, jak i na niebie, wydawało się, że prognozowanie losów Układu Słonecznego jest tylko kwestią techniczną. Ot, trzeba rozwiązać odpowiednie równania ruchu. Metodę przeprowadzania takich obliczeń podał blisko sto lat później francuski matematyk Pierre-Simon Laplace. W swej „Mechanice nieba” butnie pisał:

Możemy uważać, że obecny stan Wszechświata jest wyznaczony przez jego przeszłość i jednoznacznie wyznacza jego przyszłość

„Inteligencja, która by w danym momencie знаła wszystkie siły, przez które jest ożywiona, oraz wzajemne położenia bytów ją tworzących i przy tym byłaby dostatecznie obszerna, by te dane poddać analizie, mogłaby w jednym wzorze objąć ruch największych ciał Wszechświata i najmniejszych atomów; nic nie byłoby dla niej niepewne i zarówno przyszłość, jak i przeszłość byłyby dostępne dla jej oczu”.

Te słowa zdawała się potwierdzać biegłość, z jaką astronomowie już wtedy potrafili obliczać czas przyszłych zaćmień, planetarnych koniunkcji i tory lotu komet.

W powszechnej opinii sfera niebieska była jak dobrze naoliwiony szwajcarski zegar, w którym planety regularnie przemierzają od wieków tę samą drogę i będą tak robić wiecznie.

Wkrótce okazało się jednak, że w praktyce idei Laplace’a nie daje się zrealizować. Równania różniczkowe opisujące ruch ciał związanych siłami grawitacji są tak skomplikowane, iż nikt nie był w stanie znaleźć ich ogólnych rozwiązań. Dla dwóch ciał – np. Słońca i Ziemi – zadanie jest banalnie proste, ale już przy trzech staje się zbyt trudne.

Na tym właśnie polega osławiony problem trzech ciał.

W drugiej połowie XIX w. był to jeden z największych nierozwiązanych problemów, z jakimi zmagali się matematycy.

Kiedy w 1885 r. organizowano konkurs matematyczny dla uczczenia zbliżających się 60. urodzin króla Szwecji Oskara II (wielkiego orędownika nauki), jedno z pytań dotyczyło właśnie znalezienia rozwiązań dla ruchu planet.

Nagrodę 2500 koron zgarnął sławny francuski matematyk Henri Poincaré, choć nie dał pełnej odpowiedzi. Co więcej, zdumiony odkrył, że w niektórych sytuacjach nie sposób jest obliczyć położenia planet, bo we wzorach pojawiają się matematyczne szeregi, które są rozbieżne, tj. ich suma dąży do nieskończoności.

Przypominało to zjawisko rezonansu, w którym amplitudy drgań w układzie rosną nieograniczenie. W rezonansie mała przyczyna może wywołać dramatycznie duży skutek – np. oddział żołnierzy wkraczający miarowym krokiem na most może go tak rozkołysać, że cała konstrukcja się zawali.

W podobne rezonanse obfituje też nasz Układ Słoneczny. Każdy z nich może całkowicie rozstrzocić harmonijny ruch planet.

W ogólności każdy układ, który złożony jest z trzech (lub więcej) grawitacyjnie oddziałujących ciał, może się wymknąć spod kontroli. Na własnej skórze doświadczają tego mieszkańcy bardzo niestabilnego układu planetarnego z serialu „Problem trzech ciał”.

Nasz Układ Słoneczny jest dużo bardziej przewidywalny, ale... okazuje się, że także tu nie sposób obliczyć precyzyjnych położenia ciał niebieskich po upływie więcej niż ok. 10 mln lat. Wskazują na to rachunki przeprowadzane w ostatnich latach przy użyciu su-

perkomputerów (więcej o tych obliczeniach na końcu tekstu).

Wbrew przekonaniu Laplace’a fizycy są więc bezsilni. Mogą się jedynie starać stworzyć statystyczną prognozę, mniej lub bardziej pewną, na temat tego, co w dalekiej przyszłości stanie się z Ziemią i innymi planetami.

Przypomina to przewidywanie pogody, choć – trzeba przyznać – układy atmosferyczne są dużo bardziej zmienne i nieprzewidywalne niż Układ Słoneczny. Prognoza pogody z reguły staje się bezwartościowa już po upływie kilku dni.

Przekonał się o tym jako pierwszy amerykański meteorolog Edward Lorenz na początku lat 60. Pracował wtedy w Massachusetts Institute of Technology i obliczał zmiany atmosfery za pomocą komputera Royal McBee LGP-30 (zbudowanego częściowo jeszcze na lampach elektronowych). Pewnego razu zaprzął maszynę do rozwiązywania równań opisujących unoszenie się ciepłego powietrza, tj. konwekcję. Kiedy otrzymał kolumny liczb (wtedy nikt jeszcze nie marzył o grafice komputerowej), postanowił powtórzyć obliczenia, ale dla dłuższego okresu. Następnego ranka rzucił okiem na wyniki i osłupiał. Robiąc po raz drugi te same obliczenia, komputer powinien najpierw odtworzyć pierwsze ciągi liczb, a potem drukować dalsze. Tymczasem te początkowe liczby były całkiem inne niż za pierwszym razem. Wyglądało na to, że komputer liczył to samo, ale za każdym razem drukował inne wyniki.

Lorenz długo sprawdzał maszynę, czy np. jakaś lampa się nie przegrzała. Ale wszystko było w porządku. W końcu zrozumiał, w czym tkwi błąd.

Jego maszyna żonglowała w pamięci liczbami z dokładnością do szóstego miejsca po przecinku, ale na wydruku dla oszczędności miejsca były one zaokrąglone do trzeciego miejsca. Powtarzając obliczenia, Lorenz dla uproszczenia wprowadzał do maszyny te zaokrąglone dane. Przykładowo, zamiast liczby 0,506127 wprowadził wartość 0,506. W końcu, jakie znaczenie mogła mieć różnica na czwartym miejscu po przecinku? Jak się jednak okazało – ma znaczenie, i to wielkie.

Wystarczy nawet minimalna początkowa różnica w stanie powietrza, by konwekcja rozwinęła się całkiem inaczej, np. zamiast spokojnego przepływu pojawiły się turbulentne wiry. Jeśli to dotyczy tak prostej sytuacji, jak ruch ogrzewanego powietrza, to tym bardziej złożonych układów pogodowych – niżów i wyżów, frontów atmosferycznych. W artykule z 1963 r. dla publikacji nowojorskiej Akademii Nauk Lorenz pisał, że wystarczy machnięcie skrzydeł mowy, by wprowadzić drobne zakłócenie do bieżącego ruchu powietrza i całkowicie zmienić pogodę w przyszłości. Wkrótce w swym przykładzie ptaka zastąpił motylem.

Ten „efekt motyla”, jak go od tej pory zwykło się nazywać, jest przyczyną porażek współczesnych meteorologów. Nigdy nie będą w stanie uwzględnić najdrobniejszych niewiadomych, które – jak dowiódł Lorenz – mogą prowadzić do diametralnie różnej prognozy.

Potem odkryto, że podobna nieprzewidywalność towarzyszy zjawiskom z dziedziny hydrodynamiki, fizyki jądrowej, ekonomii, biologii czy astrofizyki. Jedną z pozorów nieistotna spekulacja na giełdzie w Tokio może spowodować krach na światowych rynkach. Drobne zakłócenie rytmu pracy serca czasem z nagłą kończy się nagłym zatrzymaniem krążenia. A brak jednego źdźbła trawy może zdecydować o wymarciu całej populacji królików.

Taki przebieg zjawisk ochrzczono mianem deterministycznego chaosu. Niby są to zjawiska zdeterminowane, tj. ich losem rządzą znane równania, ale jakaś drobna, mała przyczyna – wydawałoby się nieistotna – może prowadzić do nieprzewidywalnego wyniku.

Lorenz był pionierem nowej dziedziny wiedzy zwanej teorią chaosu, która do góry nogami wywróciła wiarę w porządek i regularność panujące w przyrodzie. Niektórzy za-

liczają ją – obok teorii względności i mechaniki kwantowej – do trzeciej wielkiej rewolucji naukowej XX w.

Układ Słoneczny ma tę przewagę nad układem opisanym w „Problemie trzech ciał”, że jest stabilny w skali czasu życia człowieka, istnienia gatunku ludzkiego, a nawet w jeszcze dłuższej perspektywie czasowej.

Przeprowadzane w XX w. numeryczne analizy pokazały, że nie musimy się niczego obawiać ze strony czterech zewnętrznych wielkich planet (Jowisza, Saturna, Urana, Neptuna). One powinny krążyć stabilnie przez wiele miliardów lat.

Niestety, nie da się tego powiedzieć o skalistych planetach bliższych Słońcu – Merkury, Wenus, Ziemi i Marsie. One mogą płatać psikusy.

Z przeprowadzonych kilkanaście lat temu symulacji ruchu planet, jakie przeprowadzili francuscy fizycy Jacques Laskar i Mickaël Gastineau z Obserwatorium Paryskiego, wynika, że zarzewiem chaosu jest przede wszystkim małeńki Merkury, najszybsza planeta. Jej peryhelium – punkt orbity położony najbliżej Słońca – co tysiąc lat przesuwa się o 1,5 stopnia i – jak wynika z obliczeń Francuzów – może zsynchronizować się z ruchem peryhelium Jowisza, najbardziej masywnej z planet. To zaś doprowadzi do groźnego rezonansu, w wyniku którego Jowisz „rozkołysze” Merkurego i znacznie wydłuży jego obecną orbitę.

Konsekwencje mogą być poważne: Merkury spłonie w Słońcu, Wenus odleci w kosmos, a Mars rozpadnie się na kawałki, które zroszą Ziemię śmiercionośnym deszczem.

Naukowcy przeprowadzili 2501 symulacji. Każdą z nich zaczynali od nieco innych parametrów orbity Merkurego, bo jej obecne rozmiary znamy tylko z dokładnością do kilku metrów. A jak się okazało, nawet różnica kilku milimetrów może mieć decydujące znaczenie dla losu Układu Słonecznego.

W kilku symulacjach Merkury spadał na Słońce lub uderzał w Wenus. – Jeśli to kiedyś nastąpi i ktoś jeszcze będzie żył na Ziemi, zobaczy na niebie błysk światła, planety połączą się w jedno ciało, trochę większe niż Wenus – mówił w BBC prof. Laskar. Jego zdaniem taka katastrofa nie zagroziłaby Ziemi.

W jednej z symulacji dochodzi jednak do zakłócenia ruchu Marsa, który zostaje zepchnięty w kierunku Ziemi. – Zderzenie oznaczałoby kompletną dewastację naszej planety – komentował prof. Laskar. – Mars zbliżyłby się z prędkością 10 km na s, dziesięć razy szybciej niż kula karabinowa. Nawet jak nie trafi w nas bezpośrednio, to siły pływowe rozerwą go na kawałki, a te zbombardują Ziemię.

Już raz w swej historii Ziemia doświadczyła takiej kolizji – w jej wyniku ok. 4,5 mld lat temu powstał Księżyc.

Cztery lata temu Garrett Brown i Hanno Rein z Uniwersytetu w Toronto opublikowali nowsze wyniki numerycznej analizy Układu Słonecznego na najbliższe 5 mld lat. Także ich obliczenia wykazują, że orbita Merkurego jest mocno chaotyczna – już błąd rzędu ułamka milimetra w znajomości obecnego położenia tej planety uniemożliwia ustalenie, jaki będzie kształt orbity za nieco ponad 200 mln lat.

Można się tylko pocieszać, że zgodnie z numerycznymi obliczeniami ryzyko katastrofalnych wydarzeń w Układzie Słonecznym w ciągu najbliższego miliarda jest mniejsze niż 1 do 100. Z drugiej strony, naukowcy w ogóle nie brali pod uwagę zakłóceń zewnętrznych – np. bliskiego przejścia innej gwiazdy.

W równaniach mechaniki niebieskiej jest jeszcze wiele niewiadomych. Przypadkowe wydarzenie może sprawić, że Układ Słoneczny rozreguluje się dużo szybciej. A wtedy będziemy zmuszeni poszukać nowego domu. ●



Książkowy pierwowzór serialu Netflix’a, „Problem trzech ciał” Cixin Liu, dostępny w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl

FOT. GETTY IMAGES/MAX DANNENBAUM

ANNA S. DĘBOWSKA: W Warszawie atak na pomnik Syrenki, w Paryżu na Monę Lisę, w Londynie na „Słoneczniki” Van Gogha – aktywiści klimatyczni oblewają farbą bądź innymi płynami muzealne dzieła sztuki. Wszystko to w obronie klimatu. Czy pana też to coraz bardziej denerwuje?

JACEK OLENDER: Mam bardzo mieszane uczucia. Z jednej strony, uważam, że walka ze zmianami klimatu jest prawdopodobnie największym wyzwaniem, przed którym stoi dziś ludzkość. I rozumieć desperację ludzi, których całe życie upłynęło pod znakiem kryzysu klimatycznego.

Z drugiej strony rachunek zysków i strat jest przez aktywistów przedstawiany w sposób zafalszowany. Nie jest bowiem prawdą, że ataki na dzieła sztuki nic nie kosztują i że nic złego się w gruncie rzeczy nie dzieje, jeśli parę osób obleje farbą lub zupą obraz, który i tak jest za szybą.

A wydawałoby się, że to nic takiego.

– Bzdura. W mediach panuje przekonanie, że wystarczy przetrzeć szmatą obłany pomnik lub szybę ochronną. Jako konserwator zabytków mogę zapewnić, że nie chodzi tu o koszt dodatkowej godziny pracy ekipy sprzątającej, tylko o poważne obciążenia finansowe.

43 tys. euro kosztowała interwencja konserwatorska po tym, jak w Leopold Museum w Wiedniu aktywista oblał czarnym tłustym płynem, najpewniej ropą naftową, wystawiany za szybą obraz Gustava Klimta.

– Wielkie muzea mają wielkie budżety, to fakt. Sęk w tym, że one są przeznaczone na konkretne zadania. Gdy dochodzi do takiej sytuacji, jak w Wiedniu, nie mają rezerw finansowych na naprawianie skutków. Myślę, że 43 tys. euro było sporą wyrwą w budżecie Leopold Museum.

Na czym polega interwencja konserwatorska w takim przypadku?

– Wiedeński Klimt czy również zaatakowana „Mała czternastoletnia tancerka” Edgara Degasa pokazywana w specjalnej kasecie w National Gallery of Art w Waszyngtonie, to obiekty wrażliwe na wahania wilgotności i temperatury. Wszystkie zresztą obiekty artystyczne, zwłaszcza obrazy olejne, akwarele, rysunki czy ryciny wykazują taką wrażliwość. A ta rośnie w zależności od materiałów malarskich użytych w procesie tworczym – niektóre z nich są po prostu bardzo nietrwałe. Dlaczego obrazy mają spękane warstwy malarskie? Wynika to z naprężania się i rozprężania płótna, które „pracuje” pod wpływem wahań wilgotności. Nie nadąża za tym warstwa malarska i pęka. Mówimy więc o bardzo kruchych obiektach. Niektóre z nich, ze względu na wartość artystyczną, chronione są w muzeach w hermetycznych gablotach ze specjalnym mikroklimatem w środku. Inne po prostu pokazuje się za szkłem, aby złagodzić te wahania, przy czym nie uszczelnia się tych gablot na sto procent. To nie jest wanna w łazience.

Nie jest tak, że można zmyć i po krzyku.

– No nie jest. Istnieje poważne ryzyko uszkodzenia obiektu. Co się dzieje, gdy obraz za szkłem zostanie obłany zupą pomidorową, dyniową, masą ziemniaczaną lub innym płynem, którego składnikiem jest skrobia? Być może sam płyn nie spowoduje gwałtownego skoku wilgotności, szkodliwego dla płótna. Pojawi się natomiast problem związany z koniecznością oględzin obiektu. Muzealnicy muszą ocenić, czy w wyniku ataku nie doszło do uszkodzenia płótna, czy nie powstały choćby mikroskopijne zacieki, a cząsteczki płynu nie przedarły się przez szpary w gablocie. Trzeba ją otworzyć, z obrazu zdjąć ramę. I to jest niebezpieczna sytuacja. W przypadku nagłej interwencji, zwłaszcza gdy zaatakowany obiekt utrzymany był w specjalnym mikroklimacie, odmiennym od reszty ekspozycji, może

NIE MA SZTUKI NA MARTWEJ PLANECIE

– mówią aktywiści oblewając zupą van Gogha.
Ale czy to ma sens?

Z JACKIEM OLENDREM,
FILOZOFEM I KONSERWATOREM DZIEŁ SZTUKI
ROZMAWIA
ANNA S. DĘBOWSKA



• Aktywistki wysmarowały ręce farbą i klejem i przykleiły się do „Ogrodu w Giverny” Claude’a Moneta. Muzeum Narodowe w Sztokholmie, 14 czerwca 2023 r.

dojść do groźniejszych napięć płótna. Każda taka interwencja skraca okresy pomiędzy koniecznymi pracami konserwatorskimi, skraca więc życie obiektu.

Brzmi dramatycznie, ale do tej pory żadne z tych dzieł nie zostało uszkodzone. Aktywiści nie zamierzają ich niszczyć, chcą zwrócić uwagę na kryzys klimatyczny, korzystając z tego, że uwaga mediów koncentruje się na sławnych obrazach. Mówią „No art on a dead planet”, żeby nam uświadomić zagrożenie.

– Po pierwsze, mam wrażenie, że coraz częściej te akcje wywołują w ludziach złość i działają na odwrót. Aktywiści kierują się szlachetnymi pobudkami, ale budzą coraz większą irytację. Badania pokazują, że takie akcje zbiorczo określane jako ‘disruptive’ – ‘przeszkadzające’ mają wpływ zerowy lub minimalnie pozytywny, ale nikt nie badał konkretnie, jak to jest w przypadku ataków na dzieła sztuki. Więc nie można wykluczyć, że to akurat może szkodzić sprawie.

Po drugie, nie mamy dostępu do dokumentacji instytucji, w których nastąpiły ataki. Nie możemy zatem mieć stuprocentowej pewności, że gdzieś nie doszło do nieodwracalnych uszkodzeń. W Madrycie aktywistki przykleiły się do ram obrazów Francisco Goi klejem super glue. Nie da się usunąć takiego kleju bez zniszczenia ramy. Kleje cyjanoakrylowe na skutek odparowania rozpuszczalnika chwytają w sekundę.

A w pozostałych przypadkach? „The Guardian” obliczył, że było już 38 takich ataków.

– Większość płynów, które wylano na obrazy, to farby wodne. Niektórzy aktywiści mówią na przykład o zupie, później zmieniają zeznania. Tym niemniej mówimy o czymś, co z grubsza można nazwać farbą wodną, czy to będzie zupa, czy mieszanka skrobi z pigmentem i wodą.

Spójrzmy, jak to działa na ramy. Są drewniane, złożone z zaprawami wodno-zmięczalnymi lub nawet wodno-rozpuszczalnymi, w związku z czym nawet woda może być dla nich szkodliwa. Zupa zawsze będzie trochę tłustsza i będzie miała różne dodatki, które łatwiej mogą wnikać w strukturę drewna. A w przypadku wody ze skrobią, nastąpi spęcznienie zaprawy i drewna, a następnie wnikanie barwnika.

Skrobia też może zrobić wiele szkód?

– Jest cukrem złożonym, bardzo lubianym przez różne żyjątka, bakterie i grzyby. Cukier trzeba wypłukać, żeby nie mogły zerować i niszczyć ram. Oczywiście, skrobię stosuje się czasami w konserwacji jako klej, ale pod kontrolą. Jeśli więc szybko dojdzie do interwencji, to będzie ona polegała na przykład na usunięciu skrobiowego płynu wacikami nasączonymi wodnym rozpuszczalnikiem. Mogą być potrzebne okłady, tak aby nie uszkodzić zaprawy pod spodem.

To nie wydaje się takie kosztowne.

– Nie jest kosztowne w materiałach. Chodzi o wymierny czas pracy kogoś, zwykle specjalisty lub grupy specjalistów, którzy godzinami będą siedzieli nad taką szkodą. Problem polega na tym, że to są koszty nagłe, które się nie zwracają, a co gorsza nachodzą na siebie. Im więcej takich zdarzeń, będą się one napędzać.

Mówimy też o rosnących nakładach na ubezpieczenie cennych obiektów?

– Jeśli twoje muzeum staje się celem ataków, to składki ubezpieczenia rosną. To jest szok systemowy. Ubezpieczyciele mają w pakiecie różne muzea. Jeśli będą musieli brać na siebie dodatkowe koszty wypłacania ubezpieczenia, to zaczęły podnosić składki i niedługo wszystkie te instytucje będą musiały płacić więcej. A przecież już teraz ubezpieczenie pochłania lwia część ich budżetu. Zakładam, że w przypadku największych muzeów są to miliony dolarów rocznie. Gdy mówimy o takich kwotach, to nawet pod-

wyżka składki o pięć proc. jest bardzo dużym obciążeniem. A koszty ochrony też będą rosły.

Ktoś może powiedzieć: „Nie czas żałować ram, gdy płonie świat”. „Właśnie skończył się ekstremalnie gorący luty. Jesteśmy jak alarm pożarowy, którego nikt nie chce słuchać. Nieprzyjemny, ale konieczny, by zareagować. Gdyby płonęła filharmonia, musiałybyśmy awaryjnie przerwać koncert. Dziś płonie nasz cały świat” – mówiła jedna z aktywistek, które zakłóciły koncert w Filharmonii Narodowej w Warszawie.

– Rzeczywiście, ktoś może powiedzieć, że te akcje nadal są warte poniesionych kosztów i ciągle stoimy po właściwej stronie.

Ja natomiast chciałbym uświadomić opinię publiczną, że istnieją koszty, o których się nie mówi. Ludzie, którzy nie wiedzą, jak zbudowane są obiekty zabytkowe, obrazy i ramy mogą faktycznie myśleć, że można je oblewać bezkarnie. Nie wiedzą, że nawet bez złej woli mogą doprowadzić do uszkodzeń, które będą nieodwracalne.

Zastanawiał się pan, dlaczego oni atakują właśnie dzieła sztuki, które nie mają przecież bezpośredniego wpływu na kryzys klimatyczny?

– Tak, i nie pojmuję, dlaczego tak się dzieje. „Słoneczniki” Van Gogha nie reprezentują zmian klimatu, nie są za nie odpowiedzialne, nie są ich symbolem. Można to oczywiście obrócić w żart. Za pierwszym razem, gdy tego rodzaju protest odbył się w Londynie i obraz olejny zaatakowała organizacja Just Stop Oil, w środowisku żartowano, że to byli radykalni akwareliści.

Może chodziło o to, że National Gallery w Londynie podpisała umowę sponsorską z koncernem paliwowym BP na 50 mln funtów?

– Takie rzeczy nie powinny się zdarzać, instytucje kultury są na świeczniku. Chodzi jednak o coś innego.

Kultura, mimo że niedofinansowana, jest medialna i jest pewnego rodzaju ikoną. Również ikoną turbokapitalizmu. Proszę zwrócić uwagę, o czym mówi się w mediach w kontekście sztuki. Mamy relacje z wielkich blockbusterowych wystaw, jak ubiegłoroczna wystawa obrazów Vermeera w Amsterdamie, doniesienia z aukcji, na których obrazy idą za setki milionów funtów i które czasem są przeznaczone dla milionerów, a czasem są po prostu spekulacją podatkową.

Ten szum przykrywa gigantyczną robotę, którą wykonują małe muzea, galerie czy domy kultury, organizujące wystawy lokalnych artystów lub utrzymujące kilka pomniejszych zabytkowych obrazów.

Nie mówi się w mediach lub mówi się zdecydowanie za mało o małych kościołach parafialnych, gdzie są czasami naprawdę wspaniałe zabytki, które przetrwały wichry historii, a dziś opiekują się nimi konserwatorzy.

Gdyby o tym mówiono, być może nie powstałoby przekonanie, że sztuka jest tylko aukcją w Christie’s czy Sotheby’s, gdzie wystawiany jest Van Gogh za 100 mln dolarów.

Drażni mnie bałamutny argument: „Jeśli jesteś przeciwko atakom na dzieła sztuki, kwestionujesz kryzys klimatyczny”.

– Chyba nie znam żadnej osoby pracującej w muzeach czy w konserwacji sztuki, która by negowała istnienie kryzysu klimatycznego. Muzea są pod taką samą presją, jak wszystkie inne instytucje publiczne – mają obniżyć emisję dwutlenku węgla i zredukować zużycie energii. I robią to.

Ponieważ większość muzeów jest finansowana w mniejszym lub większym stopniu przez władze publiczne, poważnie traktują swoje zobowiązania i cele klimatyczne. I nie znam żadnej takiej instytucji, która by sabotowała działania proklimatyczne, chociaż nie wykluczam, że może gdzieś istnieje

je taka jednostka muzealna lub grupa muzealników.

Może np. w Dubaju? Zjednoczone Emiraty Arabskie to jeden z największych producentów ropy naftowej, w dodatku w czołówce, jeśli chodzi o emisję gazów cieplarnianych.

– Niekoniecznie, w kulturze pracują tam bardzo często ludzie albo wykształceni na Zachodzie, albo stamtąd pochodzący, a więc świadomi zagrożeń. Dużą część PR poświęca się tam ochronie środowiska, a większość jednostek muzealnych na Bliskim Wschodzie to budynki nowe, jak choćby Muzeum Narodowe Kataru czy Muzeum Sztuki Islamskiej w Dosze, a co za tym idzie powstałe z uwzględnieniem efektywności energetycznej.

Można zarzucić muzeom, że są zagrożeniem dla klimatu?

– Często są olbrzymimi przestrzeniami, które potrzebują dużej ilości energii do regulowania klimatu wewnątrz budynku. Oświetlenie, ogrzewanie, chłodzenie, klimatyzacja, utrzymywanie wilgotności na właściwym poziomie to jest największy koszt klimatyczny w muzeach.

Dodatkowa linia autobusowa, jeśli chodzi o emisję gazów, z powodzeniem zrównoważyłaby działalność niejednego muzeum

Praktycznie wszystkie światowe konferencje konserwatorskie, na których jestem, mają całą masę paneli poświęconych dodatkowym sposobom na redukcję tych kosztów.

Jakie to sposoby?

– Najbardziej luksusowe to wznoszenie nowych budynków, które zmniejszają zużycie energii, dzięki zastosowaniu najnowszych materiałów. Niektóre instytucje wprowadzają pasywne magazyny dzieł sztuki, które nie potrzebują zewnętrznych źródeł energii. Magazyn jest tak zbudowany, że rozwiązania architektoniczne regulują w nim temperaturę i wilgotność, na podobnej zasadzie, jak w jaskiniach. Oczywiście, trzeba mieć choćby rezerwowe podłączenie do sieci, ale ścina się koszty magazynowania dzieł sztuki prawie w stu proc.

A taki Luwr, mieszczący się w olbrzymich zabytkowych budynkach pałacowych z różnych epok, co może zrobić, aby zredukować koszty zużycia energii, które muszą być przecież olbrzymie?

– Większość stowarzyszeń czy organizacji konserwatorskich i muzealnych ma już wytyczne, w jaki sposób muzea mogą zmniejszać koszty energii. Dla takich gmachów jak Luwr rozwiązaniem jest modernizacja. Jeśli budynek jest zabytkowy, nie można obłożyć go styropianem, ale nadal można wykonać termoizolację okien i poddaszy, ograniczać wpadanie promieniowania słonecznego w lecie, stosować dodatkowe kotary czy kurtyny, które ograniczają utratę ciepła w zimie.

Paryskie Centre Pompidou rozpocznie w przyszłym roku renowację swej siedziby pochodzącej z 1977 r., a obejmuje ona m. in. optymalizację zużycia energii.

– Do tego dochodzą wszelkiej maści wewnętrzne regulacje dotyczącego tego, w jakich warunkach obiekty mogą przebywać. Po II wojnie światowej muzea raczej zastrzeżały wymagania dotyczące wahań wilgotności i temperatury wewnątrz sali wystawowej. A oprócz światła, są one jednym

z podstawowych czynników, które długoterminowo niszczą obiekty.

Władze Luwru obliczyły, że muzeum gości ok. 45 tys. osób dziennie. Wyobrażam sobie te wahania.

– Muszą być niesamowite. Jak się spojrzy na wykresy temperatury i wilgotności w muzeach, od razu widać moment, w którym otwiera się drzwi. Rozstawione w różnych salach czujniki śledzą, dokąd rozchodzi się tłum zwiedzających. Dzięki temu widać, że w wielu przypadkach wymagania ochronne są przesadne. Teraz można je częściowo rozluźnić. Można ograniczać działania tych systemów, zmniejszać ich intensywność.

Wyobraziłam sobie, ile zużywa energii stadion, na którym odbywa się koncerty gwiazd popu. Tutaj jakoś nikt nie protestuje, nie przerywa, nie oblewa.

– Bo gwiazdy popu mają rozbudowaną ochronę, a muzea niestety nie, skoro te protesty udają się jeden za drugim. Społeczeństwo musi sobie odpowiedzieć, co jest gotowe poświęcić, aby zatrzymać zmiany klimatu. Czy chce likwidować całą kulturę i z niej zrezygnować? Może niektórzy artyści uważają, że muzea faktycznie są zbyt obciążające dla klimatu.

Ale spójrzmy, ile szkodliwych dla środowiska spalin emituje jedna osoba, dojeżdżając codziennie do pracy samochodem, zamiast autobusem. Dodatkowa linia autobusowa z powodzeniem zrównoważyłaby działalność niejednego muzeum.

Możemy też mniej zamawiać na Sheinie, który wypuszcza rocznie 10 mln ton dwutlenku węgla.

– No właśnie, dla porównania londyńska National Gallery w raporcie za lata 2022-2023 podaje, że wyemitowała 5 273 tony. W ubiegłym roku mieli wycieki z klimatyzacji, które zostały naprawione, dzięki czemu udało się obniżyć emisję o 770 ton. To jest kropla w morzu tego, co emituje Shein, nie mówiąc już o pastwiskach dla bydła pod produkcję wołowiny czy o plantacjach ryżu. Mimo to Unia Europejska częściowo wycofuje się z założeń Zielonego Ładu pod presją protestów rolników.

Atakowanie naprawdę malutkiej części życia społecznego, a więc muzeów, nie ma przełożenia na decyzje polityków.

Wracając do aktywistów klimatycznych atakujących dzieła sztuki – czy to nowi barbarzyńcy?

– Nie. Ich działania uważam za chybione i bardziej szkodliwe niż się o tym mówi, ale ci ludzie znają wartość zabytków. Atakują je jako coś cennego, wiedząc, że to poruszy opinię publiczną. Uważają, że jest to koszt, który w imię wyższej sprawy warto ponieść. Nie sądzę, żeby to była walka z kulturą jako całością.

A więc jest to słuszny protest, ale skierowany w niewłaściwą stronę?

– Tak mi się wydaje. Ostrze tych ataków jest rzeczywiście źle skierowane. I nie da się ich porównywać z protestami Black Lives Matter, kiedy to w Bristolu zniszczono pomnik handlarza niewolników Edwar-da Colstona. Tam artyści domagali się usunięcia tego pomnika od lat. Wystarczyło ich wysłuchać. Pomnik został zrzucony zokołu, pokryty sprejem i zatopiony w porcie. Władze miasta wydobły go

z wody, po czym został on zakonserwowany razem z farbą, którą został obłany, z łańcuchami i sznurami jako symbol społecznego protestu. W tej formie jest ekspozowany na leżąco w muzeum miejskim M Shed w Bristolu. Różnica polega na tym, że tam zaatakowano pomnik człowieka, który był twarzą przemocy, a nie dzieło sztuki.

Pan nazwał aktywistów klimatycznych ikonoklastami, nawiązując do średnio-wiecznego ruchu religijnego, który sprzeciwiał się kultowi obrazów i wizerunków świętych.

– To jest moje skojarzenie, nie badałem tego środowiska jako socjolog czy etnograf. Ale widzę, że artyści często wyrażają przekonanie, iż kultura jest domeną jakiejś wąskiej grupy społecznej. Wolalabym nie mieć racji, bo takie podejście jest dla mnie – konserwatora – szalenie przykre. Przez ostatnie dwieście lat ludzie zaangażowani w kulturę i sztukę starali się poszerzać jej definicję, zakres i odbiór, tak aby miało do niej prawo jak najwięcej ludzi. Oczywiście była cała masa potknięć i złych decyzji po drodze, ale udało się częściowo osiągnąć cel i uczynić muzea dużo bardziej inkluzywnymi. Myślę,

że znakomita większość pracowników kultury podpisałoby się pod postulatem, żeby dostęp do niej był jak najszerszy dla wszystkich, którzy tego chcą. I żeby starać się włączyć wszystkich tych, którzy jeszcze w kulturze nie uczestniczą. Staramy się, żeby każdy, kto nawet przychodzi do muzeum „na świeżo”, bez przygotowania, odnalazł coś dla siebie. I stąd moja niezgoda na nazywanie sztuki zabawką dla bogatych.

Może dla wielu młodych ludzi skupianie się na przeszłości i dziedzictwie jest zbędne, bo mają przed sobą przyszłość, która rysuje się coraz bardziej pesymistycznie?

– Nie wierzę, że na poziomie całego społeczeństwa jesteśmy w stanie kompletnie oderwać się mentalnie od naszego dziedzictwa. Nawet XX-wieczna awangarda, która kwestionowała wszystko, była odpowiedzialna za to, co było i sporo czerpała z przeszłości, którą deklaratywnie odrzucała. Uchodźcy, zawsze zabierali ze sobą rodzinne pamiątki, jakąś rzecz, choćby najmniejszą. Dopóki są ludzie, będą istniały rzeczy. I te rzeczy będą miały dla ludzi sentymentalne znaczenie.

Dzisiaj ludzie uciekają ze swoimi telefonami, nie tylko dlatego, żeby mieć narzędzie kontaktu, ale też dlatego, że mają tam albumy zdjęć bliskich. I zawsze ten fizyczny, materialny element kultury będzie funkcjonował. Nie sądzę więc, aby nagle w tej akurat dekadzie miałyby się skończyć. Taką mam przynajmniej nadzieję. ●

Dr Jacek Olender

• filozof i konserwator dzieł sztuki. Specjalizował się w konserwowaniu malarstwa i rzeźby polichromowanej. Pracownik Rochester Institute of Technology, gdzie bada właściwości plastików, zwłaszcza klisz fotograficznych pod kątem zrównoważonej opieki nad kolekcjami. Rozmówca zastrzega, że jego opinie nie wyrażają stanowiska Rochester Institute of Technology.

Adam Michnik poleca Dwóch Janów Józefów

CO TO JEST PATRIOTYZM? TO MIŁOŚĆ BLIŻNIEGO

Intelektualista, zwłaszcza pisarz, **nie może być po stronie władzy w żadnym ustroju**, ponieważ to jest przeciwne jego społecznej i moralnej funkcji

Łukasz Garbał*

Kiedy zaczynałem prace nad biografią Jana Józefa Lipskiego, zapytałem o niego pracowniczkę dawnej biblioteki ZLP w warszawskim Domu Literatury – i usłyszałem piękne wspomnienie, ale dotyczące Jana Józefa Szczepańskiego, dobrze pamiętanego przez panie bibliotekarki. Sprawa się wyjaśniła, rozmawialiśmy dalej o Lipskim, ale myślę, że to było symboliczne – i nie chodziło tylko o zbieżność imion. Lipskiego i Szczepańskiego łączy także postawa wobec rzeczywistości autorytarnej władzy – oraz fakt, że oddziaływali na innych, dając wzorzec wierności.

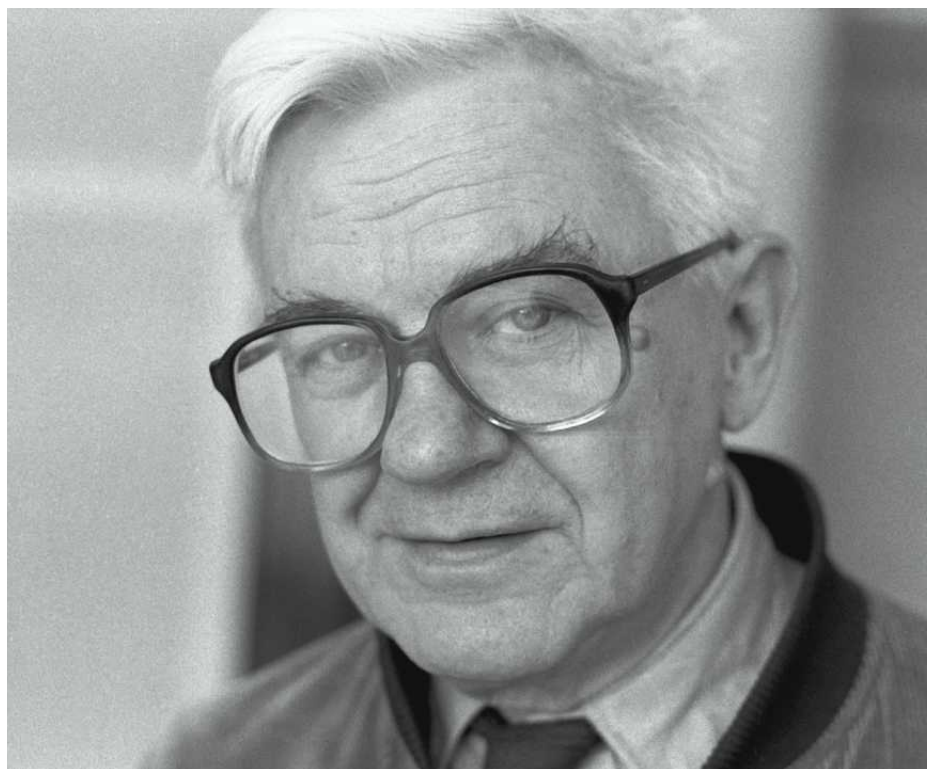
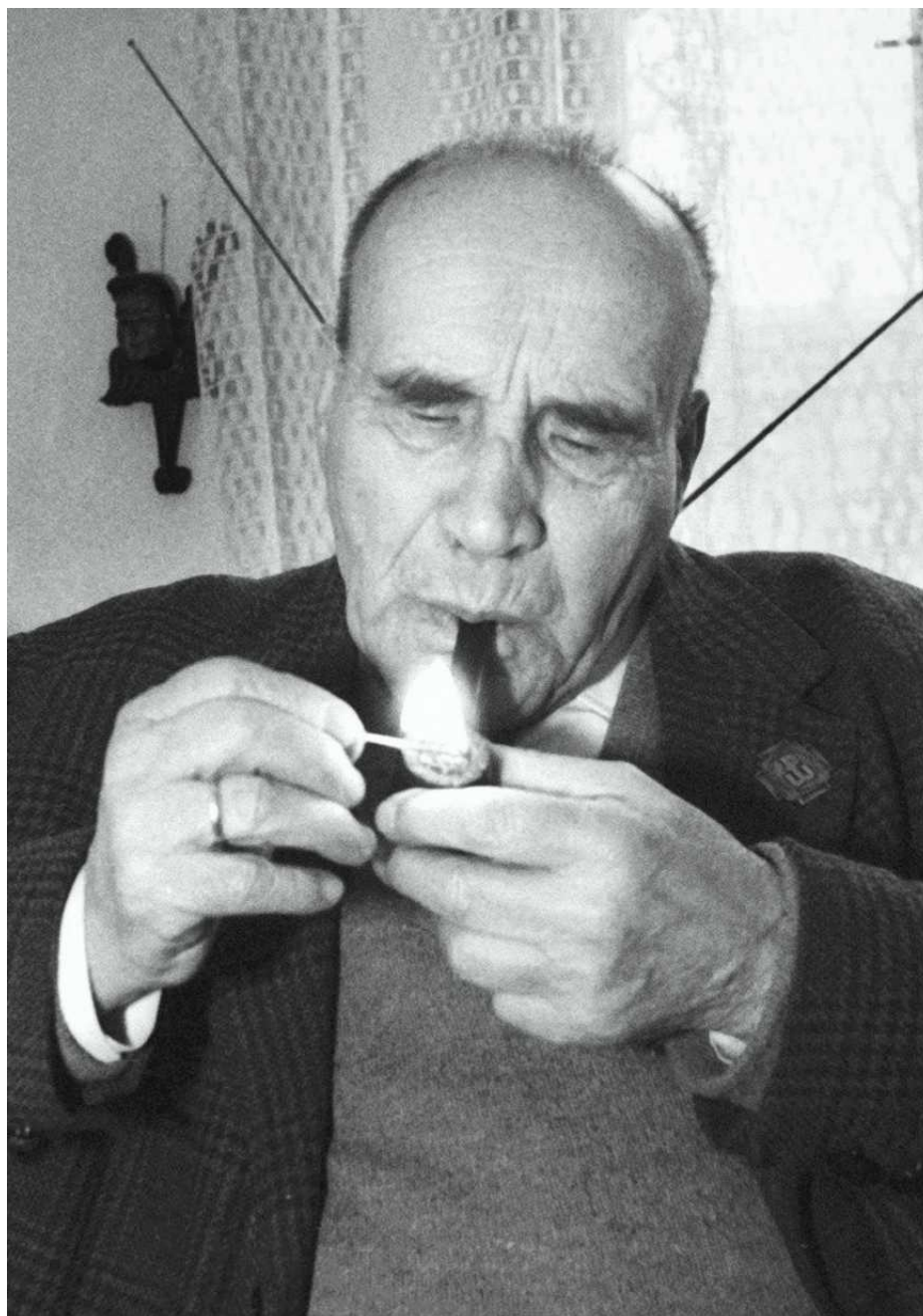
Działali w różnych warunkach i środowiskach. Lipski jako „wieczny opozycjonista”, łącznik między wieloma odległymi od siebie grupami starającymi się zachować niezależność wobec władzy – od AK-owców czy Klubu Krzywego Koła po młodych dysydentów na czele z Adamem Michnikiem, ale szukający także porozumienia z opozycyjnymi katolikami, wielokrotnie więziony niepodległościowy socjalista spod znaku PPS-u.

Szczepański zaś jako pisarz drukujący w „Tygodniku Powszechnym”, ale nienależący ściśle do tej grupy, a od połowy lat 70. członek zarządu głównego ZLP, kojarzony z opozycją i karany zakazami druku, próbujący jednak mediować i działać na rzecz całego środowiska pisarskiego bez ulegania pokusie zmiany pryncypiów z powodów taktycznych.

Podobieństwa i różnice między Lipskim i Szczepańskim widać w ich reakcjach na te same wydarzenia. Łączyło ich to, że przy zachowaniu koncyliacyjnej postawy nie zmieniali swoich przekonań na potrzeby taktyki, przy czym Lipski na ogół działał w ramach samej opozycji – próbując wywierać presję na władze, Szczepański zaś presję tę próbował wywierać w środowisku oficjalnego związku pisarzy.

Lipski organizował listy protestacyjne do władz, Szczepański takie listy podpisywał. Kiedy Lipski został uwięziony za swoją opozycyjną działalność, Szczepański organizował naciski na władze, by go uwolnić. Lipski był współzałożycielem jawnego KOR-u, z którym Szczepański współpracował, a sam był współzałożycielem tajnego Polskiego Porozumienia Niepodległościowego.

Zarówno postawa Lipskiego, jak i Szczepańskiego była inspiracją w latach zniewo-



• Jan Józef Szczepański (u góry) i Jan Józef Lipski (poniżej)

FOT. ADAM GOLEC, PIOTR WÓJCIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

lenia przez autorytarną władzę nie lubiącą wieloświatopoglądowości. Inspirować powinna także i dzisiaj.

•

Wywodzili się z różnych miejsc i środowisk: Szczepański, rocznik 1919, dorastał nad granicą dzielącą Śląsk, mając ojca wychowanego w Rosji i matkę z ziem dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Lipski, rocznik 1926, chociaż z Warszawy, także dorastał nad granicą; granica ta w jego przypadku była jednak społeczna, oddzielała nowe osiedla zamieszkałe przez elitę, z domem premiera Składkowskiego, od obozowisk bezdomnych kryjących się pod pałatkami; ojciec Lipskiego był nauczycielem, a matka pochodziła z rodziny chłopskiej.

Zarówno Szczepański, jak i Lipski wychowali się zatem w środowisku, w którym naturalne były różnego rodzaju kontrasty – w Polsce wieloetnicznej, wielowyznaniowej, wielokulturowej.

Obaj zaangażowali się w konspirację w czasie wojny: Lipski przez Szare Szeregi do pułku „Baszta” AK, w którym walczył na Mokotowie w powstaniu warszawskim – Szczepański w NSZ, a później w AK i partyzantce. I to doświadczenie wojny – nigdy nie pięknej, zawsze niosącej zło, nawet w obronie dobra – odcisnęło piętno na obu.

Pamięć o zabitych cywilach, ponoszących konsekwencje pochopnych decyzji, była stale obecnym przed oczami Lipskiego ostrzeżeniem – ceną, która wyznaczała granicę retorycznych szarż; Szczepański miał zaś przed oczami nie tylko scenę, którą opisał w noweli „Buty” („Tygodnik Powszechny”, rok 1947), ale także „zwijanie się Polski” jak „pozłotki na deszczu”, co ze współczującym smutkiem sportretował w [poświęconej polskiemu Wrześniowi '39] powieści „Polska jesień”.

Przedwojenną Polskę i marsz. Rydza-Śmigłego przemawiającego w sierpniu 1939 r. w Krakowie – z hasłem „gwałt zadawany siłą – musi być siłą odparty”, wykorzystanym za chwilę na plakatach ludzających militarną potęgą – zapamiętał i 13-letni Lipski.

Od 1956 r., wobec społecznej niepopularności komunistów obawiając się niebezpieczeństwa oddania przez Moskwę władzy w Polsce nacjonalistom z grupy Bolesława Piaseckiego, Lipski interesował się ideologią ONR – „Falangi”, tworząc pojęcie „Katolickie Państwo Narodu Polskiego”. Z ideologią tą – a raczej jej praktyczną realizacją: pałką, którą nacjonałisci pobili jego starszą siostrę Zofię (później Celińską), w geście solidarności przeciw gettu ławkowemu stojącą razem z koleżankami Żydówkami – Lipski zetknął się jeszcze jako mały chłopiec.

Niechęć do nacjonalistów odczuwał też Szczepański, który pod koniec życia w radiowym wywiadzie powiedział: „Pamiętam z gimnazjum początki wpływów skrajnej prawicy, Obozu Narodowo-Radykalnego, który starał się energicznie rekrutować młodzież gimnazjalną. Zawsze czułem rodzaj wstrętu do tego ruchu, wydawał mi się groźny i groteskowy”.

Obu Janom Józefom studia opóźniła wojna. Obaj zachowali niezależność wobec autorytarnego państwa.

Nie wiem, kiedy Szczepański i Lipski spotkali się osobiście po raz pierwszy;

młody polonista Lipski znał „Buty”, czytał „Portki Odyssa”. Symbolicznie połączyła ich jednak sprawa zasadnicza – protest przeciwko cenzurze, obrona niezależności inteligencji wobec władzy, jaką był List 34 z 1964 r. Bo chociaż Szczepański nie był w tym wąskim i symbolicznym kręgu osób, które inicjatorzy tej petycji do władz prosili wówczas o podpis, to kilka dni po zatrzymaniu zbierającego pod nią podpisy Lipskiego w swoim dzienniku zanotował generalną obserwację:

„Intelektualista, zwłaszcza pisarz, nie może być prorządowcem w żadnym ustroju, nie może być po stronie władzy, ponieważ to jest przeciwne jego społecznej i moralnej funkcji”.

Jednym z miejsc wspólnych postawy Szczepańskiego i Lipskiego jest ich stosunek do patriotyzmu. Do tego pojęcia, które bywało kradzione przez władze o różnych barwach ideowych, lecz o tym samym mianowniku, którym była niechęć do demokracji, do ludzi inaczej myślących.

Możemy użyć wielu określeń, by opisać postawę Lipskiego i Szczepańskiego: etyka powinności, klasyczny etos inteligencji, praktyczna realizacja wiersza „Pan Cogito o postawie wyprostowanej”, patriotyzm krytyczny (czyli niebojący się trudnych pytań). Sądzę jednak, że warto podać nie jedno określenie, tylko formułę: „wierność niepodlegająca negocjacom – przy jednocześniej otwartości na drugiego człowieka”.

Ale wobec czego – czy też wobec kogo – była to wierność?

Wydaje mi się, że w przypadku Szczepańskiego wobec tych wszystkich, „dla których wojna i okupacja nie były jedynie nagromadzeniem mniej lub więcej przerażających zdarzeń, ale przede wszystkim lekcją pogładową, z której koniecznie należy wyciągnąć pewne wnioski” – jak napisał w 1947 r. w odpowiedzi na zarzuty wobec opublikowania noweli „Buty”.

Podobnie jest z wiernością Lipskiego, który, czytając podręcznik do historii swego syna – z podawanym jako wzorzec postawy mitem Głogowa i tradycyjnym nastrojem „patriotycznych piosenek (»poszli nasi w bój bez broni«)”, będących jego zdaniem także „zapewne powodem, iż nie szczedzono ani jedenastolatków, ani ich starszych o 5 lub 7 lat braci” – wzywał w roku 1972: „nieletnim bohaterom należy się pamiętać i cześć, pomniki, a głównie książki dokumentacyjno-historyczne. Przede wszystkim należy im się to, by ich śmierć (...) czegoś przecież, na miły Bóg, nas nauczyła!”. Tak apelował ten były powstaniec warszawski, który NAPRAWDĘ, a nie w książkach widział śmierć swoich kolegów i strzelał do Niemców w ich obronie.

Ich postawa wynikała z poczucia, że mają zobowiązanie świadczenia prawdy o przeszłości takiej, jaką była – wobec tych, którzy są i będą w przyszłości. Chodziło o tworzenie wzorców i uczenie się na błędach.

Przyjęło się uważać, że ich etyka powinności wzięła początek z lektury książek – w przypadku Szczepańskiego z Conrada, u Lipskiego zaś z „Traktatu moralnego” i „Ferdydurke”, ale także z potrzeby osobistego zadośćuczynienia za sytuację, kiedy nie zareagowali na zło, którego byli świadkami. W przypadku Szczepańskiego to sytuacja opisana w „Butach” (zamordowanie przez partyzantów jeńców – prawdopodobnie Rosjan), w przypadku Lipskiego zaś także historia z „zarażania śmiercią” przez wojnę, kiedy to w trakcie patrolu w powstaniu warszawskim z powodu choroego serca po pewnym czasie nie mógł już nieść rannego chłopca i milcząco uległ innym, by go pozostawić.

W noweli „Buty” Szczepański nie usprawiedliwiał zabicia jeńców – ale też nie uważał popełnianych zapewne przez nich złych czynów za usprawiedliwienie zła im wyrządzonego. W tym sensie nowela ta była – i jest – ilustracją tego samego myślenia, którego owocem będzie powstały pod

koniec lat 70. esej Lipskiego „Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy”. Agnostyk Lipski, wielokrotnie nawiązując do orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich, które nazwał „najbardziej dalekowzrocznym czynem w powojennej historii Polski” – do orędzia odwołującego się do chrześcijańskiego rachunku sumienia i widzącego winy także po własnej stronie – napisał, że „zło nam wyrządzone, nawet największe, nie jest jednak i nie może być usprawiedliwieniem zła, które sami wyrządziliśmy”.

W gruncie rzeczy to samo ponad 30 lat wcześniej pisał Szczepański. Stwierdził wówczas, że „stwarzanie bezkrytycznej legendy jest niewątpliwie zadaniem przyjemniejszym i piękniejszym niż wyciskanie wrzodów, jednak ta druga, brzydka czynność jest na pewno konieczna”, bo „świętość” walki w obronie ojczyzny „nie uprawnia do zamknięcia oczu na szereg spraw złych”; zamykanie oczu na winy po własnej stronie znieczula na zło, którego jad może długo zatruwać i być niesiony w kolejne pokolenia.

W 1985 r. Lipski w zwięzłym wystąpieniu wskazał na moralne niebezpieczeństwa nacjonalizmu i egoizmu narodowego („Moralność a patriotyzm”). Ostrzegał przed kazuistyką nacjonalistów dowodzącą, że „stosunki między narodami nie podlegają tym samym czy też analogicznym normom moralnym, co stosunki między ludźmi”, co czasem przybiera formę ogólniejszej tezy, że polityka w ogóle „jest ze swej istoty amoralna” i „tylko taką być może, a nawet powinna”. Mówił wprost, że „sama przynależność do narodu jest faktem obojętnym moralnie. Być Polakiem nie jest to żadna kwalifikacja moralna. Nie jest lepiej moralnie być Polakiem niż Niemcem – ani też odwrotnie”.

W epoce zamętu, zamazywania znaczenia słów konieczny jest powrót do postawy inteligenta wątpliwego, pytającego – i działającego przeciw złu, bo „tak trzeba”

Później Szczepański napisał podobnie: „szczęście, czy pech – nic na to nie poradzę. Po prostu (...) urodziłem się Polakiem i fakt ten decyduje nieodwołalnie o charakterze i jakości mojej ludzkiej kondycji. Nieodwołalnie, ale nie jednoznacznie. (...) Polak, Czech, Zulus czy Chińczyk jest – niezależnie od etnicznych, kulturalnych lub geograficznych uwarunkowań – przede wszystkim człowiekiem, dysponującym wolną wolą oraz własnym, moralnym rozważaniem. (...) Bycie Polakiem (Czechem, Zulusiem, Chińczykiem) może być równie dobrze czymś wspaniałym, jak i czymś haniebnym. Od każdego z nas zależy – czym będzie”.

I niemalże wprost odwoływał się do „Dwóch ojczyzn...” z wezwaniem Lipskiego do wyboru jednej z dwóch tradycji. I wskazywał swój wybór, obejmujący m.in. religijną tolerancję, powstania pod hasłem „Za wolność naszą i waszą”, moralną i polityczną krytykę Piotra Skargi – i kontynuującą ją „przenikliwość wielkich sztyrderców współczesnej literatury” oraz Jana Pawła II – nie chcąc zaś szlacheckiej anarchii, sejmowładztwa (czyli partyjniactwa), flirtu z faszyzmem czy szowinizmu i antysemityzmu z ducha ONR.

Słowa „patriotyzm” obaj używali rzadko – świadcząc o nim raczej swoim działaniem i sprzeciwem wobec prób jego zawłaszczania na oznaczenie nacjonalizmu, szowinizmu, ksenofobii i egoizmu.

Lipski w esaju „Dwie ojczyzny...” pisał: „patriotyzm jest z miłości – i do miłości ma prowadzić, jakakolwiek inna jego forma jest deformacją etyczną”. Odwoływał się przy tym do chrześcijaństwa: „szowinizm, megalomania narodowa, ksenofobia, czyli nienawiść do wszystkiego co obce, egoizm narodowy – nie dadzą się pogodzić z chrześcijańskim nakazem miłości bliźniego”. Stwierdzał jasno, że kształt patriotyzmu zależy nie tyle od stosunku do „swoich” – co właśnie od stosunku do „obcych”.

Stworzył katalog sytuacji, w których uzasadniana „miłością do wszystkiego co polskie” bywała nienawiść. Wskazywał, że patriotyzm „to nie tylko szacunek i miłość do tradycji, lecz również nieublagana selekcja elementów tej tradycji” – czyli dokonywana nieustannie rewizja historii. Fałszywa ocena przeszłości, przemilczanie „ciemnych plam”, utrwalanie narodowych mitów – jest także źródłem zła.

Innymi słowami: zamiast budowania pomników – lepsze jest krytyczne, samodzielne myślenie, czytanie różnych książek. Lipski wzywał do patriotyzmu odważnego, który chce dokonać rachunku sumienia własnego, nie cudzego.

W esaju „Cienie zapomnianych przodków”, napisanym w roku 1973, a wydrukowanym w paryskiej „Kulturze” pod pseudonimem Bartłomiej w 1975, dźwięczy to samo spojrzenie, kiedy autor przy ocenie Pilsud-

ług których kształtowane miały być postawy młodych Polaków. Pisali tak – bo im zależało; tak jak kiedy komuś zależy na drugim człowieku, nie mówi mu samych pochwał, ale delikatnie powie i przykrą prawdę. Oni byli wewnątrz. Współtworzyli tę wspólnotę – czuli się współodpowiedzialni.

Najważniejsze nie były dla nich materialne znaki państwowości (godło, flaga, reprezentanci władz), ale przede wszystkim wspólnota spojona wartościami, z których podstawowym miało być dobro i wolność każdego człowieka (czyli demokracja). Wielkość czy niepodległość państwa nie może tłumić wolności jakiegokolwiek z jego mieszkańców – czy mieszkańców innych państw.

Już w wolnej już Polsce Szczepański „niebezpiecznym błędem” nazwał sytuację, w których wymiennie traktuje się słowa „niepodległość” i „wolność”. Niepodległość jest prawdziwą wartością dopiero przy poszanowaniu godności i praw każdego człowieka, czyli warunkiem „dobrej” niepodległości państwowej jest wolność osobista, poszanowanie praw każdego człowieka – myślącego inaczej niż chciałaby władza.

Wartością nie jest sama białoczerwona flaga, ale to, żeby pod tą flagą nie czyniono zła.

Dzisiaj to, co napisali, bywa określane jako „pedagogika wstydu”. A przecież nie chodziło o „kalanie gniazda”, miała to być „próba ratunku przed podwójną moralnością”, niebezpieczną przez usprawiedliwianie zła moralnego; przed zamazaniem znaczenia słów, a nawet zamianą znaczeń. Ten patriotyzm wynika po prostu z zobowiązania, jakie są zaciągnęło, przyjmując dziedzictwo przodków. Tak, jest to wstyd – przed złem, przeciw któremu się nie zaprotestowało.

Przywróćmy słowom ich znaczenie – za Szczepańskim, Lipskim i Janem Pawłem II (tym prawdziwym, nie wyrwanym z kontekstu). Polskę tworzy nie otoczka władzy, nie jest ona nazwą firmy „którą można w jednej chwili wymazać z szyldu” – „zostają rzeczy inne, znacznie trwalsze”; w polityce nie można „zawiesić” normalnej moralności, obowiązującej między ludźmi; patriotyzm ma być jak miłość bliźniego.

W epoce zamętu, zamazywania znaczenia słów konieczny jest powrót do postawy inteligenta wątpliwego, pytającego – i działającego przeciw złu, bo „tak trzeba”.

Postawa Lipskiego i Szczepańskiego nie była postawą moralistów – zimnych postaci z pomników. Oni doświadczyli sytuacji granicznych, byli świadkami zła – i chcieli przed tym złem ochronić innych.

Pisarstwo Szczepańskiego jest wciąż, niestety, aktualnym thrillerem społeczno-politycznym. Oby „Buty” i „Przed nieznanym trybunałem” wróciły na listę szkolnych lektur! Czytajmy Szczepańskiego, bo bardzo go dzisiaj potrzebujemy; żeby, tak jak on, nie zapominać o pytaniu – nie innych, ale przede wszystkim siebie – czy zrobiłem wszystko tak, jak trzeba? ●

***Łukasz Garbał** – ur. w 1976 r., polonista, edytor, kustosz dyplomowany w Instytucie Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, oddziale Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie. Autor m.in. biografii Lipskiego oraz rodziny Wedłów, przygotowuje biografię Melchiora Wańkowskiego pt. „Życie na kraterze”. Laureat m.in. Nagrody Znaku i Hestii im. ks. Tischnera.

Fragmenty tekstu wygłoszonego podczas konferencji „Jan Józef Szczepański (1919-2003) – pisarz na czas nie-pokoju”, która odbyła się na Uniwersytecie Jagiellońskim 5-7 października 2023. Pełna wersja ukaże się pod koniec roku w książce pokonferencyjnej, przygotowywanej przez Wydawnictwo UJ.

wyborcza.pl

• Więcej: [Wyborcza.pl/magazyn](https://wyborcza.pl/magazyn)

Światowe agencje usunęły ze swoich zbiorów zdjęcie, które dostały od Pałacu Kensington, jako zmanipulowane. Taka decyzja stosowana jest niezwykle rzadko, zazwyczaj do zdjęć z... Korei Północnej.



Księżna Kate
właśnie wypuściła
strzałę. Bhutan,
14 kwietnia 2016 r.

FOT. REUTERS/CATHAL MCNAUGHTON - DIAESYHULWAA/FILE PHOTO

Dlaczego Windsorowie zaliczają PR-ową wpadkę za wpadką?

SEKRETY I KŁAMSTWA

Maja Staniszevska

Wpiątkowy wieczór 22 marca, kiedy oczy świata zwrócone były na Moskwę, gdzie doszło do zamachu terrorystycznego, brytyjskie telewizje informacyjne przerwały program, by wyemitować krótkie oświadczenie.

Księżna Walii Catherine, żona następcy tronu, poinformowała w nim, że wykryto u niej nowotwór i przechodzi chemioterapię. – Oczywiście był to dla mnie ogromny szok, a William i ja robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by przepracować to i poradzić sobie z tą diagnozą prywatnie, mając na względzie dobro naszej młodej rodziny. Jak możecie sobie wyobrazić, zajęło to trochę czasu – mówiła księżna Kate.

Podkreślała, że czas był potrzebny także po to, by wyjaśnić sytuację dzieciom, George'owi, który ma 10 lat, ośmioletniej Charlotte i pięcioletniemu Louisowi. Dzięki kowala za wsparcie, zapewniła, że wróci do obowiązków, gdy tylko będzie gotowa. Innym chorym na raka przesłała wyrazy wsparcia.

Oświadczenie przyszłej królowej jest wydarzeniem bezprecedensowym. A winni temu, że w ogóle musiała je nagrać, z pomocą ekipy telewizji BBC, aby jego autentyczność

trudno było podważyć, ponoszą PR-owcy i służby prasowe. I te jej, i jej męża (czyli Pałac Kensington), ale także króla (czyli Pałac Buckingham).

Ich wcześniejsze manipulacje i kłamstwa, którymi karmiły zaprzyjaźnioną prasę, sprawiły, że prosty komunikat, który wywołałaby w opinii publicznej falę współczucia i sympatii dla księżnej, w końcu ciężko chorej matki trójki małych dzieci, być może pojawił się za późno.

Oczywiście nie dla wszystkich. W stronę Kate i jej rodziny popłynęły natychmiast liczne życzenia powrotu do zdrowia i dowody troski, także od głów państw, w tym z Białego Domu. Media społecznościowe jednak, w których od tygodni trwały spekulacje, że coś z księżną Walii jest nie tak, i w których rodziły się najdziwniejsze teorie spiskowe, dały się uspokoić tylko częściowo.

Dlaczego? Bo podejrzenie, że z niewidzianą publicznie od Bożego Narodzenia księżną dzieje się coś niedobrego, całkowicie się potwierdziło.

Nigdy się nie tłumacz

„Never complain, never explain” – „Nigdy się nie skarż i nigdy nie tłumacz”. Tą filozofią kierowała się brytyjska rodzina królewska od czasów królowej Wiktorii. Jej wyznawczynią była także przez całe swoje rekordowo długie panowanie Elżbieta II.

Gdy raz zrobiła wyjątek, szybko tego pożałowała. W 1968 r., wśród narastających oskarżeń, że monarchia oddala się od poddanych i nie rozumie Wielkiej Bryta-

nii lat 60., przechodzącej w erę swingującego Londynu rewolucję społeczną i obyczajową, królowa wpuściła do swojego codziennego życia ekipę telewizyjną. Tak powstał film dokumentalny „The Royal Family”, pokazany w BBC i ITV. Nie przypadł jednak do gustu widzom. Jedni nie chcieli widzieć rodziny królewskiej jako „normalnej rodziny”, inni irytowało jej wystawne życie. Film został schowany do sejfów i przez dekady pokazywany był tylko wybrańcom. Aż wyciekł i dziś można go zobaczyć na YouTube.

Utrzymywanie nimbu niedostępności i tajemniczości pomagało monarchii. Emisję tego dokumentu historycy wskazują jako moment, w którym w społeczeństwie zaczął maleć szacunek do niej.

W kolejnych dekadach o tajemniczość i niedostępność było coraz trudniej. Ale nawet coraz agresywniejsze tabloidy dawało się jakoś kontrolować. W dobie mediów społecznościowych kryzysy wokół rodziny królewskiej wybuchają może nie, jak mówi popularne powiedzenie, w weekendy czy też co weekend, ale z pewnością coraz częściej. I coraz trudniej nad nimi zapanować. Afera dotycząca księżnej Kate jest tego doskonałym przykładem.

Gdzie jest księżna Kate?

Kate ostatni raz pokazała się światu podczas bożonarodzeniowego nabożeństwa. W styczniu ogłoszono, że czeka ją „planowa operacja brzucha”. Suche komunikaty mówiły, że jest w szpitalu, a potem, że

z niego wyszła i że do królewskich obowiązków wróci po rekonwalescencji, najwcześniej po Wielkanocy.

Na rutynowy zabieg prostaty udał się w tamtym czasie jej teść, król Karol II. Wkrótce potem przekazano, że w jego trakcie u monarchy wykryto raka. Królową Camillę wielokrotnie fotografowano podczas odwiedzin męża w szpitalu. Sam Karol wkrótce po wyjściu ze szpitala wrócił do królewskich obowiązków, o czym świadczyły fotografie i filmy ze spotkań.

Zainteresowani rodziną królewską zaczęli zadawać sobie pytanie, dlaczego nie ma podobnych zdjęć Williama odwiedzającego w szpitalu żonę – był u niej ponoć tylko raz. Ani zdjęć Kate, choćby z podziękowaniem za życzenia powrotu do zdrowia. Pałac Kensington milczał, a w internecie zaczęły krążyć teorie spiskowe, w których księżnę spotykały przeróżne nieszczęścia. Niektóre z nich ją wręcz uśmiercały i zastępowały dublerką.

Bardziej rozsądni komentatorzy próbowali je mitygować, pisząc, że być może księżna po prostu potrzebuje czasu, żeby do siebie, że jest dopiero przyszłą, a nie obecną królową i ma prawo do prywatności. Fala spekulacji jednak wzbierała. Kiedy książę William w lutym w ostatniej chwili wycofał się z udziału w nabożeństwie poświęconego pamięci jego ojca chrzestnego, zaczęło się tsunami.

Pochłaniało ono zresztą kolejne osoby ze świecznika, w tym lady Rose Hanbury, czyli markizę Cholmondeley, która jest żoną przy-

jaciela króla Karola III. Według plotkarzy miałyby być ona kochanką księcia Williama.

Zdjęcie warte milion słów

W końcu, z okazji Dnia Matki, który na Wyspach obchodzono 10 marca, na oficjalnym profilu książęcej pary opublikowano zdjęcie Kate z dziećmi. Kilka dni wcześniej miał je zrobić William. Jednak już wieczorem światowe agencje, które dostały od Pałacu Kensington zdjęcie do dystrybucji, zaczęły je usuwać ze swoich zbiorów jako zmanipulowane. Tego typu decyzja zwana „kill notice” stosowana jest niezwykle rzadko, zazwyczaj do zdjęć z... Korei Północnej.

W agencjach pracują wykwalifikowani fotoedytorzy, ale nawet niezbyt wprawnym okiem można wychwycić, że na oficjalnym zdjęciu znika fragment rękawa sweterka Charlotte, a kolano dziewczynki się rozmywa. Coś dziwnego dzieje się też z jej włosami po lewej stronie. Dział fotograficzny „Guardiana” wykrył później 17 innych śladów zmian, m.in. przesunięć i nieostryści. Zdaniem jego szefa Davida McCoya zdjęcie zmontowano z kilku.

Księżna przeprosiła za zamieszanie w poniedziałek, napisała, że czasem eksperymentuje z edycją, ale wtedy już wszystkie tamy puścili. O zmanipulowanym zdjęciu pisały na czołówkach największe brytyjskie gazety, a agencja AFP oświadczyła, że Pałac Kensington nie jest już dla niej wiarygodnym źródłem.

Wkrótce potem okazało się, że inne zdjęcie, tym razem zrobione przez Kate i opublikowane w kwietniu ubiegłego roku z okazji 97. rocznicy urodzin zmarłej Elżbiety II, a przedstawiające królową z wnucami i prawnukami, też zostało zmanipulowane. Ludzie zaczęli pytać, czy Windsorom można jeszcze wierzyć. I to nie tylko internetowy komentarz, ale również poważne media.

Pałac spróbował sztuczki z odwróceniem uwagi, którą z powodzeniem stosuje od dekad. Gdy ktoś z rodziny królewskiej nie chce, żeby prasa mu się przyglądała, podsuwa jej inny temat, zazwyczaj innego członka rodziny królewskiej. Oczywiście nieoficjalnie, przez swoich ludzi i ich kontakty w mediach. Za dostęp do informacji z Pałacu (jednego lub drugiego) prasa tabloidowa wyświadcza przysługi. Teraz tabloidy umniejszały rangę zdjęciowego kłamstwa, przy okazji pisząc, że „poprawione” zdjęcia publikują także brat Williama, księżę Harry oraz jego żona Meghan, którzy od lat mieszkają za oceanem i nie pełnią oficjalnych funkcji.

Fotograf, który zrobił jedno z rzekomo zmienionych zdjęć Harry’ego i Meghan, szanowany i nagradzany twórca, wystosował oficjalne dementi, pokazując metadane zdjęcia. Pałac Kensington odmówił natomiast pokazania metadanych zdjęcia Kate oraz ujawnienia oryginału zdjęcia. Gdy próba wciągnięcia w aferę Harry’ego i Meghan (więcej o nich niżej) się nie powiodła, tabloidy nakarmiono innym materiałem.

Sobowtórka mówi, że to nie ona

Książęcą parę „przypadkowy przechodzien” nagrał w niedzielę 17 marca na targu w Windsorze. Filmik i kadry z niego opublikowały jako pierwsze „The Sun” i amerykański serwis plotkarski TMZ. Wszystkie tabloidy umieściły je na okładkach, jeden wprost stwierdził, że skoro uśmiechnięta Kate chodzi na zakupy z mężem pora już skończyć spekulacje. Zakłęcie jednak nie podziałało. W mediach społecznościowych szerzyła się teoria, że na filmie jest dublerka.

Marianna Spring, dziennikarka BBC specjalizująca się w śledzeniu dezinformacji i mediów społecznościowych, relacjonowała, że teoria o dublerce niosła się przez TikTok i Instagram jak pożar. Filmiki analizujące nagranie zbierały po kilka milionów wyświetleń i tysiące komentarzy. W ciągu 24 godzin zgromadziły też 12 mln odsłon na Twitterze.

Z kolei „Guardian” wyliczał, że ciągu tygodnia między pojawieniem się zdjęcia na Dzień Matki i filmiku z targu hasztagi #whereiskate #katebodydouble oraz #ka-

temiddleton były używane w postach i na stronach internetowych docierających łącznie do 400 mln odbiorców, a posty z nimi, przede wszystkim na Instagramie i TikToku, zebrały 2,2 mln polubień i były podane dalej 2,3 mln razy.

Wywołana do tablicy poczuła się nawet Heidi Agan, która dorabia jako sobowtórka księżnej, a która zapewniła, że na targu z Williamem nie była. — To szaleństwo należy zakończyć — stwierdziła.

Czy leci z nami PR-owiec

W końcu ktoś w Pałacach przypomniał sobie podstawowe zasady PR-owego *damage control*: zrób to osobiście, zrób to szybko i powiedz prawdę. Po trzech miesiącach publicznego niebytu księżna Walii wygłosiła wspomniane dwuminutowe oświadczenie, w którym opowiedziała o swojej chorobie.

Niektórych uspokoiła, u tych, którzy z wypiekami czytali krążące o niej plotki, wywołała pewnie dyskomfort. Media zaczęły nawet publikować teksty o tym, że publiczność powinna się wstydzić swojej ekscytacji i żartów z księżnej. Czasem były to te same media, np. „The Sun” czy „Daily Express”, które wcześniej publikowały plotki albo, gorzej, kłamstwa Pałacu Kensington, np. o tym, że księżna pracuje w domu nad nowym, dużym projektem.

Niektórych jednak nic już nie przekona. BBC musiała opublikować oficjalne oświadczenie, że nagranie z księżną nie było edytowane, bo natychmiast pojawiły się i takie oskarżenia. W sieci zaś zaczęły krążyć zestawienia zdjęć dwóch księżnych Walii siedzących samotnie na ławkach: Diany w Ta-dź Mahal, które stało się symbolem rozpadu jej małżeństwa z Karolem, oraz Kate, u boku której nie ma Williama, choć w nagraniu mówi, że „jest on dla niej wielkim źródłem komfortu i otuchy”.

Czy Pałace znów, zgodnie z długoletnią tradycją, postanowiły rzucić prasie na pożarcie kogoś mniej ważnego, w tym przypadku Kate, by osłonić następcę tronu? To William miał zrobić feralne zdjęcia, to Williama wcześniej tylko raz widziano w szpitalu, w którym Kate spędziła kilkanaście dni, to o jego niewierności się plotkuje. Do tej pory zasłaniano go Harrym, ale Harry jest na innym kontynencie.

A może po prostu nie są przygotowane na nową rzeczywistość?

Nie tylko na media społecznościowe, ale też na to, że wraz ze śmiercią królowej Elżbiety II skończyła się dla monarchii pewna epoka. Epoka, w której działał jeszcze królewski majestat i pewnych rzeczy nie wypadało pisać i mówić. Wokół królowej unosiła się lekka zasłona tajemnicy. O pozostałych Windsorach, z królem włącznie, wszyscy wiedzą już zdecydowanie za wiele. Od lat 90. liczba ich wizerunkowych katastrof tylko rośnie, a odstęp czasu między kolejnymi aferami jest coraz krótszy.

„Mocny temat” na Netfliksie, czyli książę i pedofil

Na aferze zdjęciowej nieoczekiwanie zyskał Netflix. Serwis, który do ubiegłego roku produkował serial „The Crown” o królowej Elżbiecie II, w samym jej środku wypuścił bowiem zwiastun filmu, który po premierze 5 kwietnia, na pewno na nowo rozgrzeje dyskusję wokół rodziny królewskiej.

„Mocny temat” przedstawia kulisy wywiadu, jakiego w listopadzie 2019 r. książę Andrzej, młodszy brat króla, udzielił dziennikarce BBC Emily Maitlis. Wywiad okazał się wizerunkową katastrofą nie tylko dla niego, ale nawet dla królowej. Andrzej nie cieszył się szacunkiem, nazywano go Andy Randy (w filmie przetłumaczone jako Andrus Zboczuś), ale ponieważ nie było ryzyka, że obejmie tron, to aż tak bardzo jego poczynaniami się nie przejmowano.

Do czasu, kiedy zaczęły krążyć informacje o jego przyjaźni z finansistą Jeffreyem Epsteinem, skazanym pedofilem, który zmarł w areszcie, czekając na kolejną sprawę o handel ludźmi, a który stręczył nieletnie swoim wpływowym znajomym. Ktoś

z ludzi księcia uznał, że wywiad będzie dla księcia szansą na przedstawienie swojej wersji wydarzeń. Rozmowa zakończyła się jednak całkowitą kompromitacją księcia.

Okazało się, że Andrzej nie rozumie, na czym polega problematyczność jego zachowania. Stwierdzenia, że nie zerwał znajomości z Epsteinem nawet po oskarżeniach, bo taką ma szlachetną naturę, mu nie pomogły. Co więcej, Virginia Giuffre, jedna z ofiar Epsteina, która twierdziła, że gdy była jeszcze nieletnia, została zmuszona do seksu z księciem, postanowiła go pozwać. Andrzej wszystkiemu zaprzeczał, nawet zdjęciu, na którym obejmuje Guiffre w pasie, a z tyłu stoi Ghislaine Maxwell, przyjaciółka i współpracownica Epsteina, odsiadująca obecnie 20-letni wyrok za handel ludźmi.

Królowa nie miała wyjścia, odsunęła ulubionego syna od obowiązków. Gdy później wyszło na jaw, że sfinansowała wielomilionową ugodę pozasądową, jaką zawarł z Guiffre, nawet jej czyniono zarzuty. Teraz film, w którym Maitlis gra Gillian Anderson a księcia Rufus Sewell, na pewno zgromadzi dużą widownię. I przypomni o skandalu, o którym wszyscy chcieliby zapomnieć.

Harry złożony na ołtarzu

Afera z księciem Andrzejem w 2019 r. dała chwilę wytchnienia dyżurnemu skandalistce i czarnej owcy rodziny, czyli księciu Harry’emu, młodszemu synowi króla Karola III. Harry miał w młodości na koncie kilka spektakularnych wpadek, m.in. narkotyki, bójkę z paparazzi i, chyba najsłynniejszą, przyjście na bal przebierańców w hitlerowskim mundurze.

Z czasem jednak się ustatkował, w czym pomogło wojsko. A potem zakochał się w amerykańskiej aktorce Meghan Markle, oświadczył i ożenił. Przez moment wydawało się, że przed Windsorami nowy rozdział z czarną księżną jako symbolem otwartości na nowe czasy. Ale szybko dał o sobie znać rasizm. I to zarówno w brytyjskiej prasie, jak i w samej rodzinie królewskiej. Ani Harry, ani jego żona nie nazwali nikogo po imieniu, ale Harry zdecydował się na wycofanie z Firmy, jak rodzinę nazywać mają sami Windsorowie, i przeprowadzkę z żoną i małym synem do Stanów.

W ubiegłym roku książę opublikował autobiografię zatytułowaną „Ten drugi”, w której opisywał nie tylko to, jak została potraktowana jego wybranka, ale też kulisy życia rodziny królewskiej, krewki temperament swojego brata i to, jak został rzucony na pożarcie tabloidom. Zrobiono to ponoć, by odwrócić uwagę mediów od Williama, przyszłego następcy tronu, ale przede wszystkim od Camilli Parker Bowles, wtedy jeszcze kochanki jego ojca, dziś królowej. Harry pisze wprost, że „został złożony w ofierze na ołtarzu jej PR-u”.

Tłok w małżeństwie Karola i Diany

Nie da się ukryć, jeśli ktoś u Windsorów rądzi sobie PR-owo, to właśnie królowa Kamila. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że kobieta obwiniana o rozpad małżeństwa księcia Karola i Diany Spencer, obiekt niewybrednych żartów i paskudnych karykatur, została z czasem przez Brytyjczyków, zakochanych przecież w Dianie, zaakceptowana?

O tym, że Karol zdradza Dianę z Camillą zaczęto plotkować jeszcze w latach 80. W 1992 r., który królowa Elżbieta w oficjalnym wystąpieniu z okazji 40-lecia wstą-

Coraz bardziej absurdalne spekulacje wokół księżnej Kate przecięło w końcu wystąpienie, w którym poinformowała, że ma raka. Ale czy na pewno? Teorie spiskowe nie tak łatwo wyciszyć

pienia na tron nazwała „annus horibilis” (strasznym rokiem) za sprawą biografii „Diana. Jej historia” Andrew Mortona plotki zostały częściowo potwierdzone, Karol i Diana ogłosili separację. W tym samym roku rozpadły się małżeństwa jeszcze dwójki innych dzieci królowej – Andrzej ogłosił separację z żoną Sarah Ferguson, a Anna, jedyna córka królowej, rozwiodła z mężem Markiem Philipsem. Pożar zamku w Windsorze był już tylko dodatkiem.

Na początku 1993 r. miał miejsce chyba najbardziej upokarzający incydent dworskiej opery mydlanej, tzw. Tampongate. Tabloidy opublikowały zapis rozmowy Karola i Camilli z 1989 r., w której przysły król mówi do kochanki m.in., że chciałby być jej tampionem. Wtedy postanowiono sprawy nie komentować, ale rok później Karol, próbując poprawić wizerunek, zdecydował się na publikację autoryzowanej biografii i udzielił wywiadu telewizyjnego. Przyznał w nim, że nie był wierny żonie. Diana odpowiedziała słynnym wywiadem w programie BBC „Panorama” w 1995 r. Wyjaśniła, jak nieszczęśliwa była w małżeństwie, za co winą obarczyła Camilla Parker Bowles, przez którą „było w nim tłoczno”. Po tym nie zostało już nic innego jak rozwód, orzeczony w 1996 r.

Camilla jak feniks z popiołów

Camilla zniknęła wówczas z oczu opinii publicznej. Nie zamierzała jednak zostać chłopcem (dziewczynką?) do bicia. W Pałacu Kensington, wtedy siedzibie Karola, pojawił się specjalista od wizerunku Mark Bolland, który znał wszystkie najważniejsze osoby w prasie. Nie tylko pomógł zbudować narrację o Camilli jako „miłości życia” Karola (mieli romans w latach 70., ale ona nie jest arystokratką i królowa miała uznać, że nie nadaje się na żonę), dzięki której przysły król ma szansę wrzeszcząc zaznać szczęścia, ale dbał o wizerunek Karola i jego wybranki. Zwłaszcza po tym, jak 31 sierpnia 1997 r. księżna Diana zginęła w wypadku samochodowym w Paryżu.

Brytyjczycy pograżyli się wtedy żalobie, która momentami przypominała zbiorową histerię. I zaczęli dopytywać, gdzie jest ich królowa i dlaczego nie dzieli z nimi bólu. Elżbieta II była wtedy z Williamem i Harrym w Szkocji i nie zamierzała z niej wracać. Jej zdaniem Diana sama wypisała się z rodziny i to już nie była jej sprawa. Ale jej poddani byli innego zdania. Niezrozumienie nastrojów o mało nie zamieniło się w największą wizerunkową katastrofę Elżbiety II, z odsieczą przybył jej jednak nowy wybrany laburzystowski premier Tony Blair (jest o tym bardzo dobry film Stephena Frearsa „Królowa” z Helen Mirren w roli Elżbiety II i Michaeliem Sheenem w roli Blair’a).

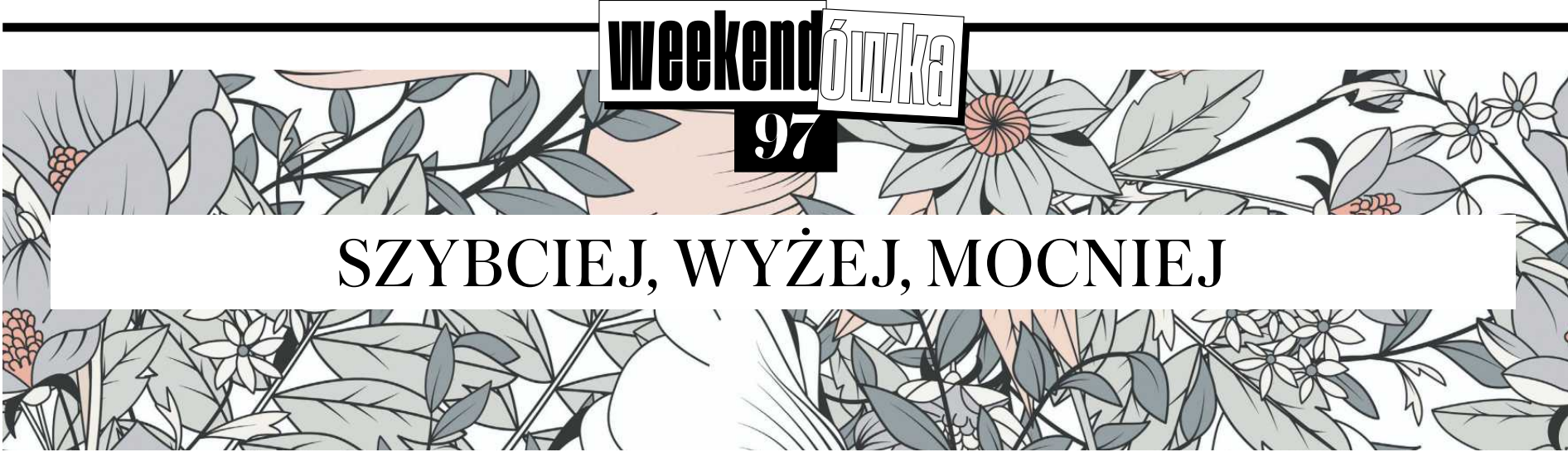
Nad Pałacem Buckingham zawisła opuszczona do połowy masztu flaga państwową, królowa przybyła do Londynu i wyszła do ludzi, oglądać kwiaty zostawiane dla Diany pod bramą. Wystąpiła nawet z orędziem do narodu, w którym chwaliła byłą synową, a potem pozwoliła na jej państwowy pogrzeb.

W kolejnych latach Camilla małymi krokami, ze wsparciem Bollanda, który z pomocą zaprzyjaźnionych dziennikarzy budował jej pozytywny wizerunek, pojawiała się w życiu Karola. W końcu zagościła w nim na stałe. W 2005 r. została jego żoną, w maju 2023 r. królową.

Gdy rozpętało się szaleństwo wokół Kate, królowa Kamila prezentowała się jako oddana żona, która zna swój nadrzędny obowiązek i wspiera chorego męża i króla. Nawet urlop w ciepłych krajach na początku marca jej nie zaszkodził, choć kiedyś nazywano ją „najbardziej leniwą kobietą w całej Wielkiej Brytanii”.

Gdyby chcieli jej się udzielić kilku lekcji pałacowym PR-owcom, afery z Kate może udałoby się uniknąć.

No, chyba że wywołano ją specjalnie, by odwrócić uwagę od chorego króla... Zamiast jednak brnąć w teorie spiskowe, postawmy tymczasowo kropkę w tej mydlanej operze. Coś mi mówi, że na kolejne odcinki długo nie będziemy musieli czekać. ●



SZYBCIEJ, WYŻEJ, MOCNIEJ

Aż dziw bierze, że do tej pory nie wzięliśmy w „Weekendówce” na warsztat tego przeznaczonego tematu, ale teraz już nie ma odwrotu i wy-mówek. Bo rocznica nam się zgrywa idealnie.

6 kwietnia 1896 roku, na stadionie Panathinaiko w Atenach (zbudowano go w 329 r. p.n.e., zrekonstruowano specjalnie na tę okazję), w obecności 80 tys. kibiców za-inaugurowano Igrzyska I Olimpiady, czy-li pierwsze nowożytne Letnie Igrzyska Olim-pijskie.

Pomysłodawcą wskrzeszenia olimpijskiej idei był francuski pedagog i historyk, Pierre de Fredy, baron de Coubertin. Igrzyska po raz ostatni rozegrano w 393 r. Potem zakazał ich cesarz Teodozjusz I Wielki, ostatni władca zachodniej oraz wschodniej części Cesarstwa Rzymskiego. Uznał, że stanowią relikw pogań-stwa, a jego poddani nie mogli wyznawać in-nej, niż chrześcijaństwo religii.

Tymczasem baron de Coubertin doszedł do wniosku, że sport i szlachetna rywalizacja to idealna metoda wychowawcza. Przedstawił swój pomysł zorganizowania sportowych za-wodów, kilka lat później, w 1894 roku powołał do życia Międzynarodowy Komitet Olimpij-ski. Co ciekawe, to nie on został pierwszym je-go prezydentem.

Godność tę piastował przed nim Grek, Dimitrios Wikelas. A na miejsce rozegra-nia pierwszych nowożytnych igrzysk wybra-no Ateny.

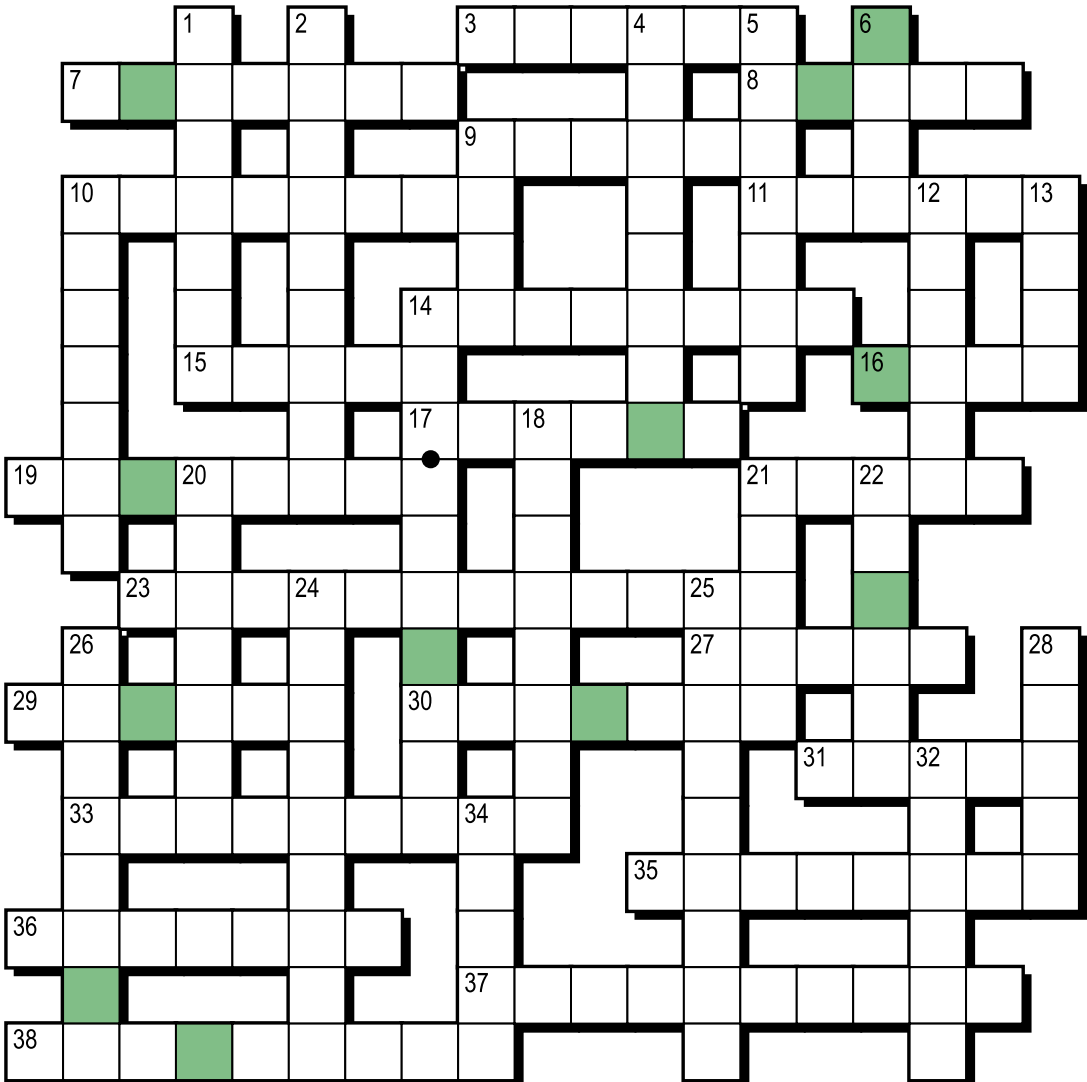
W ceremonii otwarcia wziął udział król Grecji Jerzy I, odbyła się też parada z udział-em sportowców. Nie było ani znicza olimpij-skiego (zapłonął po raz pierwszy w 1928 ro-ku w Amsterdamie) ani olimpijskiej przysię-gi (składa się ją od 1920 roku, od IO w Antwer-pii), ale odśpiewano specjalnie skomponowa-ny hymn.

Ostatecznie w rywalizacji wzięło udział prawdopodobnie 245 sportowców z 14 kra-jów, choć znakomitą większość z nich sta-nowili Grecy. Wyłącznie mężczyźni (kobiety po raz pierwszy wystartowały na igrzyskach cztery lata później w Paryżu). Rywalizowano w gimnastyce, kolarstwie, lekkoatletyce, pły-waniu, podnoszeniu ciężarów, szermierce, strzelectwie, tenisie oraz zapasach.

Pierwszym mistrzem olimpijskim został Amerykanin James Connolly, który wygrał zawody w trójskoku. Amerykanie zdobyli też największą złotych krążków (11) i wygrali kla-syfikację medalową, choć największej razy, bo cztery na najwyższym stopniu podium stawał Niemiec Carl Schuhmann. Triumfował w za-wodach gimnastycznych i zapasach.

Dzisiejszą „Weekendówkę” poświęca-my zatem igrzyskom olimpijskim. A zatem – na start!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki” nr 96
z 30.03:

Poziomo:

- 4) Baba 5) Janerka
- 9) przebój 11) Kryzys
- 13) Jones 14) Legenda
- 15) McLaren 16) Siekiera
- 19) panczur 20) skóry
- 21) Pop 23) zło 26) Noodles
- 27) Kult 29) ulice
- 30) Toten Hosen 31) Clash
- 33) Nina 34) Defekt
- 35) idole 37) Roman
- 39) oczy 40) Sid Vicious
- 41) Apteka

Pionowo:

- 1) Ramones 2) Dezerter
- 3) wakacje 4) Brygada
- 5) Brylewski 6) Green Day
- 7) Deadlock
- 10) Joe Strummer 12) sen
- 17) Idzie wojna 18) Riot
- 19) prąd 21) punkowiec
- 22) Proletaryat 24) Smith
- 25) Fugazi 27) Kennedys
- 28) Lehre 31) City 32) Klaus
- 36) Dzwon 38) Mark

HASŁO: **ANARCHISTA**

OLIMPIJSKA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 3) Kazimierz Paździor, Marian Kasprzyk lub Jerzy Kulej
- 7) traktat ..., międzynarodowa umowa w sprawie ochrony symbolu olimpijskiego
- 8) baza Zeusa
- 9) pierwszy do udekorowania
- 10) gospodarz letniej olimpiady w 2032 roku
- 11) Olimpijskie – w mieście z określenia 30 poziomo
- 14) uczniowie, którym poszło

- 15) „Citius, altius, fortius” – ... olimpijskie
- 16) symbole na fładze olimpijskiej
- 17) nieważny osiągnięty wynik, liczy się sam udział w igrzyskach
- 19) „Atlanta” Edyty Górniak
- 21) ostatni etap rywalizacji
- 23) olimpiada dla osób z niepełnosprawnościami
- 27) ... olimpijski, dostarczany na ceremonię otwarcia
- 29) pudło asów
- 30) szwajcarskie miasto z siedzibą Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego
- 31) on też chce zwyciężyć

- 33) Andy Murray lub Alexander Zverev
- 35) 4, 2, 1, 9, 5 – start! (wpisujemy w liczbie mnogiej)
- 36) K w skrótowncu PKOl
- 37) Dariusz, wieloletni komentator sportowy
- 38) grupa zawodników danego kraju biorąca udział w ceremonii otwarcia lub zamknięcia igrzysk

Pionowo:

- 1) ... olimpijskie, wynik, który dany sportowiec musi osiągnąć, by móc wystartować w igrzyskach
- 2) baron Pierre de ..., ojciec nowożytnego ruchu olimpijskiego
- 4) niesie 27 poziomo

- 5) spektakularność np. ceremonii otwarcia
- 6) zasiadł na stadionie albo przed telewizorem
- 9) tam taśma i fotokomórka
- 10) ... olimpijscy, w mitologii greckiej
- 12) błękitne koło na fładze olimpijskiej
- 13) ... Włoszczowska, kolarzka, członkini komisji zawodniczej MKOl-u
- 14) gospodarz letniej olimpiady w 2028 roku
- 18) starożytna Grecja – ... igrzysk olimpijskich
- 20) Olimpijski – we Wrocławiu
- 21) ... olimpijska, zaprojektowana przez 2 pionowo

- 22) startowe – na pancerkach zawodników
- 24) niepowtarzalna ... igrzysk
- 25) Halina, pierwsza polska mistrzyni olimpijska (rzut dyskiem, Amsterdam 1928)
- 26) antydopingowe
- 28) „Ostrza chwały”, „Berlin’36”, „Reggae na lodzie”, „Rydwany ognia”, „Monachium”...
- 32) olimpijska – bez softysa
- 34) wytyczana dla maratończyków

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ